



Niebo pachnie pomarańczą

Studenckie bajki
na dziecięce troski

**Niebo
 pachnie
 pomarańczę**

Niebo pachnie pomarańczą

Studenckie bajki na dziecięce troski

redakcja

Grażyna Aondo-Akaa, Dominik Strzelecki

© Copyright by Wydawnictwo Naukowe UP, Kraków 2022

Redakcja
Urszula Lisowska-Urbańska

Projekt okładki, opracowanie typograficzne, skład
Zuzanna Konieczna

ISBN 978-83-8084-848-1
DOI 10.24917/9788380848481

Wydawnictwo Naukowe UP
30-084 Kraków, ul. Podchorążych 2
tel./faks 12 662-63-83, tel. 12 662-67-56
e-mail: wydawnictwo@up.krakow.pl

Zapraszamy na stronę internetową:
<http://www.wydawnictwoup.pl>

Spis treści

Wstęp 7

Jesteśmy wyjątkowi

- Maciej Krokowski, *Moje futerko* 10
Emilia Mitera, *Króliczek Stefcio* 13
Natalia Targosz, *Gotowy? Do startu. Start!* 17
Zuzanna Kalicka, *Sokoli wzrok* 26
Alicja Kurowska, *Biało-czarna piłeczka dostrzega swój kolor* 30
Weronika Sobczyk, *Bramkarz Baribal* 32
Karolina Partyka, *Rower Lolka* 35
Anna Łozińska, *O flamingu Piotru i jego okularach* 38
Ewelina Wilk, *Franek i jego nowy przyjaciel* 44
Kamila Żukowska, *Niepowtarzalna drużyna* 47
Małgorzata Radziak, *Gepard Koo* 50

Gdy to, co nieznane, zaczyna przerażać

- Dominika Brocławik, *Nie ma się czego bać* 55
Angelika Michalska, *Frania i bolący ząbek* 59
Jadwiga Kulpińska, *Kto mieszka w Srebrnym Lesie?* 62
Karolina Bołoz, *Pokoik królisia* 66
Aleksandra Marchańska, *O lwie Leonie, który bał się samotności* 69
Gabriela Węgrzyn, *Krzyś i niespodzianka z szafy* 72
Emilia Brzyska, *Kangur Dylan* 75
Gabriela Łątka, *Bolący ząb Ptysia* 77
Adriana Hachuła, *Złamana łapka Basi* 80

Oswajamy się z przedszkolem

- Katarzyna Sawa, *Strach języka przed przedszkolem* 85
Aleksandra Kordel, *O smoku, który poszedł do przedszkola* 88
Agnieszka Banasik, *Basia i pierwszy dzień w przedszkolu* 91
Gabriela Seredyńska, *Mały miś* 94
Katarzyna Cebula, *Zabawek rozmowy* 97
Małgorzata Witek, *Bal w Zaczarowanej Dolinie* 101

Przyjaciele – razem na dobre i złe

- Agata Arendarska, *Stefan – nieśmiały hipopotam* 105
Aleksandra Zych, *Zośka* 108
Karolina Sroka, *Urodziny Zuzi* 111
Anna Kafel, *O biedronce Basi* 113
Emilia Jatczyk, *Wilcze sprawy* 116
Zuzanna Irzyk, *Nieidealna załoga* 122

Gdy w życiu dużo się zmienia...

- Emilia Bindulska, *Dwa domy* 127
Aleksandra Biedzian, *Już nie będę sam?* 132
Agnieszka Bodinka, *Milenka została siostrą!* 134
Klaudia Jastrzębek, *Sikorka w lesie uczuć* 138
Joanna Jasek, *Razem zawsze różnie!* 142

Wspólnie pokonujemy trudności

- Luiza Kolasa-Paździor, *Śpiący problem Basi* 147
Natalia Wierońska, *Gilbert i Albert w smoczej szkole* 150
Patrycja Świstak, *O orzełku Ignasiu* 154
Martyna Fedak, *Najpiękniejsze korale* 157
Aleksandra Mularczyk, *Grymaśna księżniczka* 161
Ewa Ruman, *Myszka uczy się na swoich błędach* 168
Aneta Dadaś, *Karolek, który nie lubił być miły* 171
Patrycja Rodziewicz, *Józio i chmurka Lila* 175
Edyta Ziajka, *Księżniczka Lukrecja i magiczna książka* 178
Zuzanna Zielińska, *Kot Zdzisław. W poszukiwaniu szczęścia* 181

Odważnie sięgamy po nasze marzenia

- Sabina Borek, *O myszce, która odkryła swój talent* 185
Honorata Opyd, *Solowy koncert trąbki* 189
Mateusz Mazur, *Historia gadożera* 192
Justyna Krzysztyniak, *O ptaszku, który miał problem z lataniem* 195
Katarzyna Gumieniak, *O rudziku, który bał się latać* 198
Dominik Strzelecki, *Klatka pozbawiona marzeń* 200
Klaudia Ktacz, *Sikorka Basia, która bała się latać* 204
Monika Lipińska, *Kocie przyjęcie* 207
Patrycja Płatek, *Skrzydła Marcelinki* 210
Oliwia Sowińska, *Śpiewający Tymek* 213
Anna Dziób, *Skrzydętka wrózek* 217

Wspólnie odpoczywamy

- Chiara Szewczuk, *Między grządkami lawendy* 220

Wstęp

Niekwestionowany mistrz dziecięcych baśni, Hans Christian Andersen, napisał, że „smutek jest gościem, którego niełatwo się pozbyć”^{*}. Doskonale wie o tym każdy, kto podejmuje pracę z dziećmi. My pedagodzy, psycholodzy, terapeuci doświadczamy niezwykle intensywnej dziecięcych przeżyć, emocji, które nie zawsze chciane, potrafią zagościć na długo, sprowadzając ciemne chmury do dziecięcego świata.

W takich trudnych momentach z pomocą dziecku może przyjść bajka. Opowieść o bliskim mu bohaterze, który mierzył się z podobnymi wyzwaniem, doświadczał podobnego lęku, strachu, niewiary, odrzucenia czy porażki, a jednak zdecydował się podjąć działanie, które może coś w konkretnej sytuacji zmienić. Śledząc decyzje, losy bohaterów, konsekwencje ich działania, dziecko może zauważyć analogie do własnej sytuacji i próbować znaleźć rozwiązanie dręczącego je problemu. Oczywiście, książki i bajki nie są magicznym remedium na dziecięce trudności, mają jednak moc wnoszenia w dziecięcy smutek odrobiny światła.

Ta myśl – chęć dzielenia się nadzieją na zmianę – przyświecała nam, kiedy podjęliśmy pracę nad niniejszym zbiorem. Autorami poszczególnych bajek są studenci pedagogiki specjalnej, którzy tworzyli je w ramach zajęć z biblioterapii. Nie chcieli przy tym, aby ich prace chować do szuflady. Pragnieniem ich serc było, aby swoją pracą dzielić się z innymi – z dziećmi, nauczycielami, terapeutami – z każdym, kto spotyka się z dziecięcym smutkiem, strachem, odrzuceniem.

^{*} H. Ch. Andersen (2003), *Autobiografia. Baśń mojego życia*, Łódź: Wydawnictwo JK.

Wstęp

W skład zbioru wchodzi 59 bajek. Zostały one podzielone na osiem kategorii, wyznaczonych głównymi tematami poruszonymi w tekstach. Kategorie te dotyczą odpowiednio: różnego rodzaju wyjątkowości dotyczącej dzieci, dziecięcych lęków i obaw, oswojania się z przedszkolem, przyjaźni, nagłych zmian zachodzących w życiu dziecka, rozwiązywania konfliktów, sięgania po marzenia oraz relaksacji. Mamy przy tym pełną świadomość, że podział ten jest z pewnością umowny, gdyż dziecięce trudności nie dają się prosto przyporządkować do naszych dorosłych etykiet.

Teksty te nie są w ścisłym tego słowa rozumieniu bajkami terapeutycznymi. Mogą jednak pokazywać dzieciom, jak radzić sobie z wyzwaniami wieku dziecięcego. Oddając niniejszy zbiór w ręce Czytelników, wierzymy, że będzie on pomagał dzieciom odzyskać uśmiech, odwagę i wiarę we własne siły.

*Grażyna Aondo-Akaa
Dominik Strzelecki*

Jesteśmy wyjątkowi

Moje futerko

W lasku, pod krzaczkiem żył sobie pewien jeżyk. Miał leśnych przyjaciół: lisa, niedźwiedzia, żubra, sowę i zająca. Wszyscy bardzo się szanowali i troszczyli o siebie nawzajem. Jeżyk podziwiał swoich przyjaciół. Widział w nich same dobre cechy. Uważał, że mają bardzo dużo szczęścia, będąc tacy, jacy są. Natomiast w sobie jeżyk nie potrafił dostrzec żadnych zalet. Krytykował się za wszystko, co robił, a najbardziej nie lubił swoich kolców. Zazdrościł przyjaciołom puszystych futerek i pięknych piór.

Pewnego razu jeżyk w melancholijnym nastroju spacerował po leśnej okolicy, wzdychając ciężko nad swoją nieatrakcyjnością, gdy nagle zza drzewa wyskoczył wilk. Był on znany z tego, że sprzedawał naturalną odzież wierzchnią. Widząc smutnego jeżyka, zapytał:

– Cóż się stało, młody jeżu?

Jeż spojrzał na wilka podejrzliwie, lecz był zbyt smutny, by doszukiwać się w jego słowach podstępów, i odrzekł:

– Aaa... Nic, nic, panie wilku...

– Czyżby? – z ciekawością w głosie dopytywał drapieжник.

– Jestem tylko smutnym jeżem, bo...

– Powiedz mi, może będę mógł ci pomóc – powiedział przejęty losem stworzonka wilk.

– Lis... Zając, nawet żubr, choć tak bardzo się od siebie różnią, są takie piękne... Mają puszyste, miękkie, ciepłe, piękne futerka, a ja... Cóż... Jestem tylko jeżem... moje kolce... ani ładne, ani puszyste...

Wilk wysłuchał jeżyka, głaszcząc się po podbródku. Żał mu było zwierzątka. Zaprzagnął mu pomóc.

– Tak się składa, że mam parę futer na sprzedaż. Mogę ci pomóc z twoim problemem.

Jeżyk aż podskoczył z radości i od razu zgodził się na propozycję. Wilk zaprowadził go do swojej jamy, gdzie zaprezentował mu pokazaną kolekcję futer. Wśród nich znajdowały się futra lisie, niedźwiedzie, borsucze, wiewiórcze i wiele, wiele innych. Jeżykowi zaświeciły się oczy z zachwytu. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Futra przeglądał aż do zachodu słońca. Spośród wielu wybrał to idealne – futro wiewiórcze. Cały podekscytowany od razu je założył. Przejrzał się w lustrze i nie mógł się powstrzymać od zachwytu nad sobą:

– Jestem piękny... Dziękuję, wilku!

Wilk skłonił się, jak na dżentelmena przystało, ściągając z głowy skórzany kapelusz.

– Niech ci się dobrze nosi, jeżyku, do widzenia.

Uradowany że opuścił jamę wilka, pobiegł od razu pochwalić się nowym nabytkiem przed przyjaciółką sową. Było już ciemno. Sowa, tak jak on, jest stworzeniem nocnym, więc miał pewność, że jej nie zbudzi. Idąc pewnie przez ciemny las, nie spodziewał się grożącego mu niebezpieczeństwa. Odgłosy lasu nocą nigdy nie robiły wrażenia na dzielnym jeżu. W swoim ubranku zmierzał do starego dębu, gdzie chciał spotkać sowę. Wtem na jego drodze stanął ryś. Duże zęby i ostre pazury nigdy nie martwiły jeżyka, bo zwierzę nie było nim zainteresowane. Tym razem stało się jednak inaczej. Ryś pokazał szereg białych, ostrych jak wykałaczki zębów i zamachnął się łapą. Jeżyk odskoczył w ostatniej chwili i spanikowany uciekał co sił w łapkach. Ryś był jednak szybszy. Kilka susów wystarczyło, by znalazł się na drodze jeża. Gdy ten zawracał, by znów rzucić się do ucieczki, sprytny kot chciał go zatrzymać swoją ciężką łapą. Gdy tylko naciskał grzbiet jeża, ten zwinął się w kłębek, a przez jego nowo zakupione futerko wyłoniły się szeregi kolców, które odstraszyły napastnika. Jeżyk długo się uspokajał po tej niebezpiecznej przygodzie. Wtedy nadleciała sowa. Zapytała:

– Jeżu, co ty masz na sobie?

Jeżyk zerknął na swoje futerko, westchnął ciężko, widząc je całe w dziurach.

– Ach... to jest... To było moje futerko... Ale ten ryś mnie zaatakował i...

– Rozumiem – przerwała mu mądra sowa – ryś wziął cię za wiewiórkę, dlatego cię gonił. Rysie mają w zwyczaju polować na takie drobne futerkowe stworzonka.

Moje futerko

- Jej... Wiewiórki mają ciężkie życie... – przyznał jeżyk.
 - Gdyby nie fakt, że jesteś jeżem... – mówiła sowa – ryś miałby niezłą ucztę. Na szczęście twoje kolce cię uratowały.
 - Moje... Kolce? – obejrzał się do tyłu, ściągając dziurawy skrawek futerka. – Może faktycznie moje kolce nie są puszyste, miękkie i piękne, ale dzięki nim mogę czuć się bezpiecznie mimo tak późnej pory.
 - O, tak... Wiele zwierząt zazdrości ci twoich kolców, jeżyku.
 - N... naprawdę? – spytał wzruszony jeż, a ptak skinął mu głową i odleciał.
- Od tej pory jeżyk już nigdy w siebie nie wątpił, bo odkrył, że puszyste futerko to nie jedyna piękna rzecz, a to, co na pierwszy rzut oka nieatrakcyjne, może pozytywnie zaskoczyć.

Króliczek Stefcio

Dawno, dawno temu, na skraju lasu mieszkał wraz z mamą króliczek Stefcio. Stefcio był bardzo radosny, uwielbiał bawić się wśród drzew i oglądać chmury. Miał starszą siostrę Zosię, którą bardzo kochał i z którą uwielbiał grać w karty. Niestety króliczek Stefcio miał kłopoty z chodzeniem, przez co jeździł na specjalnym wózku, dzięki któremu mógł się przemieszczać. Podczas zabaw wózek mu nie przeszkadzał, nauczył się, jak jeździć nim po leśnych ścieżkach, jak omijać dziury i przejeżdżać po grząskim terenie.

Pewnego dnia pod koniec sierpnia Stefcio wraz z siostrą poszli na spacer i spotkali grupkę dzieci: wiewiórkę, borsuka i zająca. Stefcio bardzo się ucieszył, kiedy zobaczył inne dzieci, i zapytał, czy może się z nimi pobawić. Małe zwierzątka popatrzyły na Stefcia i zaczęły się śmiać:

– Co to za królik, który nie potrafi sam chodzić? Nie jesteś już dzidziusiem, żebyś jeździł w wózku!

Kiedy Zosia to usłyszała, od razu nakrzyczała na dzieci, a one odwróciły się i pobiegły w głąb lasu.

Stefcio poczuł się źle, ale nie chciał, aby siostra zauważyła, że jest mu przykro, więc powiedział:

– Nic się nie stało! Mój wózek jest super szybki! Ich strata, że nie chcieli się ze mną pościgać! – Stefcio uśmiechnął się szeroko, choć w oczach zakręciły mu się łzy.

– Dzieciakami się nie przejmuj! Masz mnie i mamę, a my cię kochamy!

Kilka dni później zaczął się rok szkolny. Stefcio miał iść do pierwszej klasy szkoły podstawowej i bardzo się bał.

– W szkole jest super. Mają tam duży plac zabaw, na którym będziesz mógł się bawić, nauczysz się wielu rzeczy, poznasz nowych

kolegów i na pewno będziesz miał bardzo miłą panią – powiedziała mama.

Stefcio pełen obaw dotarł do szkoły. Okazało się, że jest w klasie z poznanymi wcześniej dziećmi: wiewiórką, borsukiem i zajęcem. Choć dzieci w klasie było dużo, Stefcio czuł się samotny – żadne dziecko z nim nie rozmawiało, a dodatkowo pani zapowiedziała, że jutro każdy będzie musiał opowiedzieć coś o sobie. Na przerwie między lekcjami wszystkie dzieci poszły bawić się na plac zabaw. Były tam karuzele, huśtawki, boisko z koszami do gry w koszykówkę, lecz nie były to takie zwykłe atrakcje. Stefcio zobaczył, że wyglądają one jakoś inaczej, okazało się, że są tak zbudowane, że da radę tam wjechać wózkiem i bawić się z innymi dziećmi – jednak tego nie zrobił. Stał przy ścianie i przyglądał się bawiącym dzieciom – bał się, że znowu zostanie wyśmiany. Nagle podeszła do niego sarenka Marysia:

– Dlaczego jesteś tutaj sam? Nie lubisz się bawić? – zapytała.

– Bardzo lubię, ale dzieci nie chcą się ze mną bawić. Śmieją się, że nie potrafię chodzić – odparł smutny króliczek.

– Ja się nie śmieję i bardzo chętnie pójde z tobą na karuzelę!

Sarenka i króliczek ruszyli razem w kierunku placu zabaw, gdy nagle pod koło wózka wpadł kamyczek. Stefcio nie mógł jechać dalej, wtedy Marysia stanęła na tylnych nogach, a przednimi chwyciła za uchwyt wózka i pomogła przejechać przez kamyczek i dalej aż do karuzeli.

Cała przerwa minęła szybko jak reszta lekcji. Stefcio wracał z mamą do domu i opowiadał o przebiegu dnia: o tym, jak bał się, że zostanie wyśmiany, ale w końcu znalazł przyjaciółkę. Nagle posmutniał, gdy przypomniał sobie o innych dzieciach:

– Szkoda tylko, że inne dzieci mnie nie lubią, a przecież jestem grzeczny i miły. Przed Marysią podszedł do mnie inny kolega, ale zobaczył mój wózek i szybko uciekł – zaszlochał króliczek.

– Jak myślisz, dlaczego uciekł? – zapytała mama.

– Hmm... może dlatego, że nigdy nie widział królika na wózku takim jak mój.

– Też mi się tak wydaje, syneczku... Pamiętasz, jak wystraszyłeś się swojej siostry, gdy przyszła do domu w okularach korekcyjnych? A później poznałeś, do czego służą i jak pomagają Zosi.

– Masz rację, mam! Mam świetny pomysł! Jutro na lekcji opowiem o sobie i o tym, jak wózek mi pomaga – zaproponował króliczek.

– Myślę, że to świetny pomysł, koniecznie pochwal się, jak szybko jest twój wózek!

Stefcio rozpromienił się i od razu zaczął obmyślać, co dokładnie jutro powie.

Następnego dnia szybko wybrał się do szkoły – nie mógł doczekać się lekcji. Króliczek słuchał, jak inne dzieci się przedstawiają, a potem sam zgłosił się do odpowiedzi:

– Mam na imię Stefcio, mieszkam na skraju lasu z mamą oraz siostrą Zosią i jestem królikiem, ale nie takim zwyczajnym. Jestem superszybkim królikiem, a to dzięki mojemu specjalnemu wózkowi. Jest mi on potrzebny, żebym mógł się swobodnie poruszać, bo niestety nie dam rady robić tego bez niego. Moim wózkiem mogę przejechać po każdym podłożu, mogę bawić się na szkolnym placu zabaw i nawet grać w berka.

Dzieci z uwagą słuchały Stefcia, a po lekcjach zaciekawione zadawały pytania króliczkowi. Potem wiewiórka, borsuk i zając zawołały do zabawy w berka wszystkich, oprócz Stefcia:

– Ty nie możesz się z nami bawić. Jesteś za wolny i tak zaraz odpadniesz – powiedziała wiewiórka.

– Hej! Jesteś niemiła! A poza tym Stefcio jest superszybki i dałby radę w mgnieniu oka cię prześcignąć – powiedziała sarenka Marysia.

– Tak? To, że tak mówi, nie znaczy, że tak jest – zrobmy wyścigi! Mnie na pewno nie prześcignie – powiedział zajączek.

– Nie podoba mi się, że się ze mnie śmiejecie, a nawet mnie nie znacie! Jest mi przez to przykro, a ja naprawdę chciałbym się z wami zaprzyjaźnić. Ale dobrze, skoro chcecie się ścigać, to możemy – powiedział Stefcio.

Wszystkie zwierzątka usiadły na boisku, a wiewiórka zaznaczyła linię startu oraz mety. Gdy zawodnicy byli już gotowi, rozległ się krzyk: STAAART!

I ruszyli... Na początku to zajączek był pierwszy, ale zaraz za nim jechał Stefcio i szybko znalazł się na prowadzeniu. Wyścig skończył się zwycięstwem króliczka, wszystkie zwierzątka biły brawo, choć były dosyć zdziwione. Stefcio podszedł do zajączka i powiedział:

– Dobry wyścig, jesteś bardzo szybki!

Króliczek Stefcio

– Dddziękuję... – zająknął się zajączek – ale ty jesteś dużo szybszy. Gratuluję wygranej i chciałbym cię przeprosić, za to, że nie chcieliśmy się z tobą bawić – spojrzął na wiewiórkę i borsuka, którzy pokiwali głowami.

– Jesteś bardzo szybki, ale przede wszystkim bardzo sympatyczny, przepraszamy, że byliśmy niemili dla ciebie – powiedzieli wiewiórka i borsuk.

Stefcio uśmiechnął się szeroko i podał rękę na zgodę nowym znajomym. Ale wyścigi się jeszcze nie skończyły, wszystkie dzieci chciały zmierzyć się ze Stefciem. Ustawiały się przed startem i czekały na swoją kolej, aby spróbować swoich sił.

Kiedy mama i siostra przyszły po Stefcia do szkoły, zobaczyły króliczka otoczonego grupą kolegów i koleżanek – wszyscy śmiali się i przybijali sobie piątki. Zosia była bardzo dumna ze swojego brata, a gdy odwróciła się do mamy, zobaczyła na jej twarzy łzy.

– Co się stało, mamó? Czemu płaczesz? – zapytała.

– To są łzy szczęścia. Jestem bardzo dumna ze Stefcia i cieszę się, że mam tak cudowne dzieci jak wy – odparła mama.

Gotowy? Do startu. Start!

– Gotowi? Do startu. Start! – wykrzyknęła mała gąska Tosia i machnęła skrzydełkami.

Wszystkie zwierzęta ruszyły naprzód, wydając najrozmaitsze odgłosy radości.

– Juu huuu! – zawył radośnie mały szczeniak Diego, wyprzedzając wszystkich przeciwników i tym samym po raz kolejny jako pierwszy dobiegł do mety.

Tuż za nim dotarli młody kucyk Teodor, świnka Pepita oraz zajęczek Truś.

– Brawo, brawo! – cieszyła się gąska.

– Diego, jesteś najszybszy! – sapał z podziwem mały zajęczek Truś.

– Tak, tak, chrum... – wtórowała świnka Pepita. – Nikt nie jest tak szybki jak Diego!

– Brawo, Diego, z dnia na dzień stajesz się coraz szybszy! – gratulował kucyk Teodor.

– Oj, dziękuję wam za miłe słowa – zawstydził się szczeniak. – Każdy z nas jest w czymś najlepszy, ja najszybciej biegam, Tosia opowiada najlepsze bajki, nikt nie potrafi skakać tak daleko jak Truś, Teodor jest najsilniejszy, a Pepita potrafi wszystkim poprawić humor.

– Masz rację – zgodzili się zadowoleni przyjaciele i wspólnie ruszyli do dalszej zabawy.

Ten ciepły, letni dzień w gospodarstwie był podobny do każdego innego wakacyjnego dnia pełnego przygód, beztrudnej zabawy, wygrzewania się na zielonych pastwiskach oraz odpoczynku w cieniu starego dębu, po owocowej grandzie w pobliskich sadach gospodarza. Kiedy dzień się kończył, przyjaciele do późnego wieczora snuli plany na zabawy następnego dnia, aż słońce zupełnie schowało się za horyzontem i tylko księżyc oświeślał im drogę do domów.

Gotowy? Do startu. Start!

– Dobranoc, chrum, chrum – pożegnała się świnka Pepita, skręcając do chlewika.

– Do jutra – odpowiedzieli Teodor i Truś mieszkający w tej samej stajni.

– Kolorowych snów – odpowiedzieli idący w dalszą drogę Diego oraz Tosia.

Podążając w stronę domu, Diego zagadał do Tosi:

– Wiesz... jestem taki szczęśliwy, mam najlepszych przyjaciół, uwielbiam szybko biegać, życie w gospodarstwie daje mi tyle wolności i chcę, aby ten czas trwał jak najdłużej...

– Wiem, wieem, Diego, wszyscy tutaj jesteśmy szczęśliwi – odpowiedziała ziewająca gąska i zniknęła w cieniu kurnika.

Diego postanowił poćwiczyć pobijanie rekordów prędkości na ostatnim odcinku, który dzielił go od domu.

– Gotowy, do startu, start! – juuhuu! – ale przyspieszenie.

Biegł coraz szybciej, pędził niczym błyskawica, aż nagle...

– Aaaaaaaa... Aaaa! – A!ć. Muszę jeszcze trochę poćwiczyć hamowanie... – powiedział, wychodząc z żywopłotu, wyciągając kolce róż, które wbiły mu się do ogona oraz strzepując płatki kwiatów. „Jestem naprawdę szybki” – pomyślał z zadowoleniem piesek, układając się w swoim pośłaniu na werandzie.

Dzień pełen wrażeń sprawił, że szczeniak szybko zasnął.

– Kuuuu – kku – ryy – ku! – zapiał stary kogut Henio, informując wszystkich o nastaniu nowego dnia i wzywając do codziennych obowiązków.

– Dzień dobry, panie Heniu!

– Dzień dobry, Diego.

– Dzień dobry, pani Gryzeldo!

– Dzień dobry, Diego, dokąd tak pędzisz? – spytała dama – pani koza.

– Biegnę do moich przyjaciół, zaplanowaliśmy dużo zabaw na dzisiaj.

– Bawcie się dobrze i uważajcie na siebie! – ostrzegła koza Gryzelda.

– Będziemy! – odpowiedział w biegu Diego i zniknął wśród pól.

Przyjaciele czekali już na łące w ustalonym miejscu codziennych spotkań. Ciepły poranek zapowiadał wspaniały dzień pełny nowych przygód. Gąska kończyła opowiadanie nowej bajki, podczas której

Truś ćwiczył skoki w dal. Teodor, słuchając, kończył przeżuwać świeżą trawkę, a świnka słuchała jak zaczarowana. Na sam koniec opowieści dołączył do nich Diego.

– Cześć, Diego, spóźniłeś się na bajkę Tosi – podskakując, zauważył Truś.

– Hej wszystkim... naprawdę? Biegłem do was, ile sił w nogach, ale muszę przyznać, że dobrze mi się dzisiaj spało.

– Nic się nie martw, dzień się dopiero zaczął, opowiem wam dzisiaj jeszcze niejedną bajkę – zapewniła gąska.

– Hej, Diego, posiłujemy się? – zapytał kucyk Teodor.

– Jasne! – i wszyscy zaczęli się przepychać oraz popychać, śmiejąc przy tym i przerywając, ilekroć Teodor użył większej siły, był bowiem najsilniejszy z całej ekipy, ale zawsze pilnował, by nikomu nie stała się krzywda podczas zabawy. Rozradowani i zmęczeni siłowaniem towarzysze postanowili poćwiczyć skoki w dal, ustalili linię, przy której należało się wybić, a miejsce lądowania zaznaczali kamieniem, ten zajączka jak zawsze znajdował się w miejscu znacznie oddalonym od reszty, był bowiem najlepszym skoczkiem.

– A teraz czas na biegi! – zawołał ucieszony Diego.

Wszyscy ustawili się wzdłuż linii startu, psiak zaproponował, że jego linia mety znajdować się będzie dużo dalej, aby wyrównać szanse. Zawodnicy zgodnie przytaknęli i gąska rozpoczęła zawody:

– Gotowi? Do startu. Start! – zawołała.

Przyjaciele wystartowali, rozmaite okrzyki radości jak zawsze towarzyszyły im podczas biegu.

– Juuhuu! – krzyknął Diego. Mijając przyjaciół, odwrócił głowę w ich stronę. Nagle rozległ się przeraźliwy dźwięk klaksonu:

– Piiii biiip!

Rozbawiony psiak nie zauważył traktora jadącego w pole, nie zdążył wyhamować i wpadł prosto pod koła. Przerażeni przyjaciele podbiegli do niego i nie wiedząc, jak mogą pomóc, opłakiwali los Diego. Kierowca zgasił silnik, wyskoczył na ratunek pieskowi, podniósł go i widząc, że oddycha, zabrał go ze sobą na traktor i zawiózł do weterynarza. Diego stracił przytomność i nie do końca pamiętał, co się wydarzyło. Ocknął się dopiero kilka dni później w obcym miejscu, odczuwał wielki ból. Ale najgorsze dopiero było przed nim... Kiedy próbował się podnieść, nie był w stanie utrzymać własnego ciężaru na tylnych łapach. Miał mętlik w głowie, nie rozumiał tej

sytuacji, czuł się samotny i zdezorientowany. W ten sposób spędził jeszcze kilka dni, jak mówiła całkiem miła pani, która odwiedzała go każdego dnia, donosząc wodę i jedzenie, miał poczuć się lepiej i nabrać sił. Dni mijały, Diego coraz bardziej tęsknił za przyjaciółmi, ale czuł, że każdego dnia ma coraz więcej siły i w końcu będzie mógł do nich wrócić. Największy niepokój budziły w nim bezwładne tylne łapy.

– A co, jeśli już nigdy nie będę mógł biegać... – rozmyślał smutno szczeniak.

Następnego dnia do przychodni przyszedł gospodarz, u którego mieszkał Diego, na jego widok szczeniak bardzo się ucieszył, skomlał z radości, machał ogonem i próbował się podnieść, aby go przywitać, ale niestety okazało się to niemożliwe. I wtedy wydarzyło się najgorsze. Miła pani, która codziennie odwiedzała Diego, oznajmiła gospodarzowi, że piesak już nigdy nie będzie mógł samodzielnie chodzić. Szczeniak poczuł, że jego świat się zawalił, skulił uszy, zawył z przerażenia i zaczął płakać... Miał ochotę zapaść się pod ziemię, nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie smutku, jaki mu wtedy towarzyszył... Chciał zostać sam, schował głowę pod wygodny kocyk i pograżony w rozpacz zasnął. Nazajutrz miła pani również go odwiedziła, ale nim wymieniła wodę i nasypała karmę, pokazała mu dziwny sprzęt.

– Cześć, mały, dziś wielki dzień, jesteś gotowy? – zapytała, pokazując dwukołowe urządzenie z pasami.

Diego nie rozumiał, na co ma być gotowy i o jaki wielki dzień chodzi.

– Przyniosłam wózek, który umożliwi ci poruszanie się, kilka dni rehabilitacji i jeśli nauka dobrze ci pójdzie, to wrócisz do domu – tłumaczyła, jak gdyby rozumiała zdezorientowanie pieska.

– No chodź tu, pomogę ci, spróbujemy – wyciągnęła ręce w stronę Diego, pomogła mu wstać i przypięła mu wózek, który utrzymywał tylną część jego ciała.

– Brawo, piesku, pasuje idealnie, a teraz spróbuj dotrzeć do miski – sympatyczna pani ustawiła miskę w niewielkiej odległości od pieska i wsypała tam jego ulubione smakołyki.

– No dalej, mały, wiem, że dasz radę – zachęcała szczeniaka.

Przerażony Diego nie był zadowolony z tej sytuacji, w dalszym ciągu czuł się zagubiony i nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Miła pani nie dawała za wygraną i dalej zachęcała go, aby spróbował

przejsć kilka kroków. Diego, wiedząc, że nie ma nic do stracenia, spróbował ruszyć przednimi łapami. I udało się! Dzięki temu wprawił koła wózka w ruch i dotarł do ulubionych smakołyków.

– Brawo, brawo! Mądry piesek! Wiedziałam, że dasz radę! – wykrzykiwała miła pani, ale było to niezrozumiałe dla szczeniaka.

Diego poczuł się trochę lepiej, ponieważ była to pierwsza samodzielnie dokonana przez niego zmiana miejsca, odkąd znalazł się w klinice weterynaryjnej. Niestety w dalszym ciągu nie rozumiał, co miła pani miała na myśli, mówiąc o rehabilitacji i nauce. Następnego dnia pani, która codziennie odwiedzała Diego, otworzyła drzwi i zachęcająco zapytała:

– Gotowy do startu? No to start! – i wskazała mu przejście z pomieszczenia, w którym się znajdowali, na zewnątrz, gdzie było więcej zwierząt poruszających się z pomocą takich samych wózków, jaki dostał Diego, oraz mających wiele innych problemów.

– Tutaj poznasz dużo różnych zwierząt, możesz tu przychodzić, kiedy tylko będziesz miał ochotę. A jak zobaczę, że świetnie sobie radzisz, to obiecuję, że wrócisz do domu. Musisz tylko dużo ćwiczyć – oznajmiła miła pani i uśmiechnęła się do szczeniaka. – No idź.

Na placu każdy zajęty był swoim treningiem, nikt nie zwrócił szczególnie uwagi na pojawienie się nowego zwierzątka. Każdemu zależało na jak najszybszym opanowaniu nowej umiejętności i powrocie do domu. Diego również przyjął taką zasadę, obiecał sobie każdego dnia ćwiczyć jak najwięcej poruszanie się przy użyciu tego, jak twierdził, „głupiego” wózka, aby najszybciej jak to możliwe znowu znaleźć się w domu. Wiedział, że zabawa z przyjaciółmi nie będzie wyglądała tak jak wcześniej, bo już nigdy nie będzie mógł robić tylu wspaniałych rzeczy jak przed wypadkiem. Nie bardzo mógł się z tym pogodzić, mimo wszystko chciał z powrotem znaleźć się w domu. Codziennie skoro świt wstawał i przychodził na plac, aby ćwiczyć poruszanie się. Zwierzęta w klinice czasami się zmieniały, ktoś odszedł, aby mógł przyjść następny, i to dodawało wiary malcowi, że to właśnie on wkrótce zwolni komuś miejsce. Podczas swojego pobytu poznał kilka przykrych historii, na przykład gołębia, który lecąc podczas porywistego wiatru, wpadł na drzewo i stracił jedno skrzydło, co na zawsze uniemożliwiło mu latanie. Poznał również kota, który z przyczyn, o których, jak mawiał, „nie ma co wspominać” – stracił wzrok. Jednak najsmutniejszą historią, jaką poznał

w klinice, wydawała mu się ta biednego cielaka, który urodził się ze zbyt krótkimi przednimi racicami i od urodzenia nie umiał chodzić.

– Może to i lepiej, bo nie wiesz, co tracisz... – próbował pocieszać go Diego.

– A ty umiałeś kiedyś chodzić sam? – spytał nowy kolega.

– Ha! Byłem najszybszym zwierzęciem w gospodarstwie, biegałem niczym błyskawica – rozmarzył się piesek.

– Wow, ale super... na pewno wszyscy ci zazdrościli – zasugerował cielak.

– Nie... oni, oni wszyscy byli ze mnie dumni. My wszyscy umiemy coś ekstra, moja przyjaciółka gąska opowiada super bajki, zajączek skacze najdalej, kucyk jest najsilniejszy, a świnka ma dar pocieszania każdego... tylko... tylko ja teraz nic nie umiem, będę do niczego, nie będę już mógł się z nimi bawić tak jak kiedyś – zasmucił się Diego.

– No co ty! – próbował pocieszyć go cielak. – Masz super przyjaciół, na pewno coś wymyślicie. A teraz może chcesz poćwiczyć zabawę ze mną?

– W co niby możemy się bawić z tymi głupimi wózkami?

– Jak to w co? Berek! – zawołał cielak, szturchnął pieska w nos i zaczął uciekać.

Jako że wózek towarzyszył mu od urodzenia, całkiem nieźle sobie z nim radził, a powodem jego obecnego pobytu w klinice była wymiana poprzedniego, z którego wyrósł, na większy. Diego przez chwilę się wahał, ale cielak ponownie zawołał:

– No! Goń mnie!

Malec ruszył do akcji, rozpędził się, jak tylko potrafił, i próbował dogonić cielaczka. Ich zabawie przyglądał się gospodarz z obecną opiekunką Diego.

– Proszę zobaczyć! Uważam, że Diego jest już gotowy, aby wrócić do domu – powiedziała pani.

– To wspaniała wiadomość – ucieszył się gospodarz.

Następnego dnia gospodarz znów pojawił się w klinice, tym razem po to, by odebrać psa do domu. Wypełnił wszystkie potrzebne dokumenty, odebrał dalsze zalecenia i zawołał psiaka. Diego pożegnał się z towarzyszami z placu:

– Do widzenia!

Gotowy? Do startu. Start!

– Pa, Diego! Pamiętaj, czego się tu nauczyłeś, możesz wszystko, musisz tylko uwierzyć, że dasz radę, powodzenia! – tymi słowami pożegnał go cielaczek.

– Dziękuję – odpowiedział Diego.

Zwierzęta pożegnały się, po czym piesek podszedł do opiekuna o własnych siłach.

– Brawo, mały, świetnie sobie radzisz, wracamy do domu, wszyscy na ciebie czekają.

Po tych słowach gospodarz pożegnał się z panią weterynarz i ruszył razem z pieskiem do samochodu, pomógł mu zająć wygodnie miejsce i ruszyli do domu. Diego wyglądał przez okno samochodu i im bliżej byli domu, tym bardziej się cieszył, ale też coraz więcej obaw pojawiało się w jego głowie.

„Co jeśli nikt nie będzie chciał się ze mną już bawić, a jeśli ktoś będzie śmiał się z tego «głupiego» wózka, przecież już nie jestem taki szybki ani zwinny, jak byłem... To nie ma sensu, strasznie się boję”. Im bliżej byli domu, tym mina Diego stawała się smutniejsza. W końcu dojechali na miejsce.

– No dawaj, mały! Wychodzimy! – gospodarz wyjął psa z samochodu. – Zrobiłem dla ciebie kładkę, żebyś mógł samodzielnie wchodzić na werandę i schodzić, kiedy tylko będziesz miał na to ochotę.

Psiak wyszedł po kładce na werandę i położył się na swoim pośłaniu.

– Jak dobrze być w domu – pomyślał i zasnął.

Wiść o powrocie Diego do domu szybko rozniosła się po gospodarstwie. Tosia, Teodor, Truś i Pepita, nie zastanawiając się wiele, ruszyli na powitanie przyjaciela. Tosia wymyślała po drodze nową bajkę dla Diego, Teodor i Truś zrywali kwiaty, a Pepita rozmyślała, jak pocieszyć kolegę. Kiedy dotarli na miejsce, zobaczyli przyjaciela smutno leżącego na swoim pośłaniu.

– Cześć, Diego! – pierwsza spróbowała Tosia.

– Bardzo miło cię widzieć! – dodała Pepita.

– Siemanko, młody! Nawet nie wiesz, jak nudno tu było bez ciebie, dobrze, że już jesteś – ucieszył się Truś.

– Hej, mały, co u ciebie? – przywitał go Teodor.

– Cześć! – ucieszył się Diego. – Wszystko dobrze – skłamał ze smutną miną.

Przyjaciele postanowili nie naciskać na psiaka i nie zadawać mu zbyt dużo pytań o to, gdzie przebywał, jak było, co musiał tam robić i jak mu się chodzi z pomocą „tego czegoś”. Codziennie odwiedzali go, opowiadali, co dzieje się w gospodarstwie, zając pokazywał nowe skoki, gąska opowiadała super bajki, grali w proste gry niewymagające zbyt dużo ruchu, a czasami nawet udało im się wyciągnąć psiaka na spacer po pobliskiej okolicy. Przyjaciele dalej spędzali razem dużo czasu, ale dni nie wyglądały już jak kiedyś, wszyscy traktowali Diego ze szczególną ostrożnością i współczuciem. To nie pomagało pieskowi.

– To w trosce o ciebie – tłumaczyła pieskowi świnka. – W końcu wszyscy się przyzwyczają i znów będzie normalnie – próbowała pocieszać dalej Pepita.

Dni były podobne jeden do drugiego, nadeszła jesień, a później zima, aż w końcu znów nastała wiosna, pojawiało się coraz więcej ciepłych dni i wszystko budziło się do życia. Pewnej spokojnej nocy, kiedy wszyscy już spali, Diego nie mógł zasnąć. Leżąc na postaniu i rozmyślając nad smutnym losem, jaki go spotkał, usłyszał nagle dziwny dźwięk z oddali. Nadstawił uszu, wyprostował się i nagle pędem ruszył w stronę niepokojącego go dźwięku!

– Ratunku, ko, ko, ko! Pomocy, ko, ko, ko! Złodziej, ko, ko, ko! Lis, lis w kurniku! Ko, ko, ko!

Diego, niewiele myśląc, pędem wskoczył do kurnika, czekając i warcząc przy tym tak groźnie, że przestraszony lis zaczął uciekać niczym struś pędziwiatr, zostawiając za sobą tylko tumany kurzu. Krzyki i hałas, jaki wywołała w gospodarstwie ta sytuacja, postawiła wszystkich na nogi, a kiedy okazało się, jakiego wyczynu dokonał Diego, został okrzyknięty bohaterem. Podziękowaniom nie było końca!

– Dziękujemy ci, ko, ko, ko. Uratowałeś nasze jajka i dzieci, ko, ko. Jesteś najszybszym i najbardziej odważnym zwierzęciem w całym gospodarstwie! – dziękowała w imieniu wszystkich najstarsza kwoka.

– Diego...! To było niesamowite! Biegłeś jak torpeda – opowiadała gąska Tosia.

– Próbowałem biec za tobą, ale nie mogłem cię dogonić – zauważył zajączek Truś.

– Diego! Jesteś bohaterem, przegoniłeś lisa złodziejzka i tym samym uratowałeś życie pisklakom! – skomentował kucyk Teodor.

Gotowy? Do startu. Start!

Tej nocy wszystkie zwierzęta wiwatowały na cześć dzielnego psa Diego, okrzyknęły go najodważniejszym i najszybszym psem stróżującym w gospodarstwie. Od tej pory nikt nie zwracał uwagi na wózek pieska, a on sam uwierzył w swoje możliwości i zauważył, że dzięki napędzaniu się kół może biec szybciej, a przy tym mniej się męczyć. Kiedy wszyscy się rozeszli do swoich domów, Diego i przyjaciele rozbawieni również wracali do siebie:

– To do jutra, widzimy się rano tam, gdzie zawsze – ustalili przyjaciele.

Psiak wrócił na werandę, ułożył się na legowisku tak samo szczęśliwy jak dawniej i zasnął. O świcie, zaraz po dźwięcznym kuuu – kuu – ry – ku koguta Henia, Diego pobiegł na umówione spotkanie z przyjaciółmi, mijając i witając wszystkich znajomych. Był ciepły letni dzień, kiedy wszyscy znajomi dotarli na miejsce, gąska Tosia opowiadała bajkę, zając ćwiczył swoje skoki, Teodor kończył przeżuwanie, świnka Pepita słuchała jak zaczarowana, a piesek Diego ćwiczył zwinność pomiędzy przyjaciółmi. Kiedy Tosia skończyła opowiadać bajkę, Diego zapytał:

– To co, ścigamy się?

– Jasne! – wspólnie zawołali towarzysze.

Wszyscy ustawili się wzdłuż linii startu, a gąska zawołała:

– Gotowi? Do startu. Start!

Zawodnicy ruszyli, radośnie pokrzykując.

– Juuuuuuu! – zawołał szczęśliwy, rozpędzony Diego.

Sokoli wzrok

Dawno temu, wysoko w górach, było sobie miasteczko o nazwie Sokołów. Mieszkały w nim sokoły słynące z bardzo wyostrzonego wzroku. Każdy z mieszkańców potrafił wypatrzyć nawet najmniejszy drobiazg z bardzo dużej odległości. Sokołów był miastem znanym na całym świecie. Wszyscy podziwiali jego mieszkańców i zwracali się do nich często z prośbą o pomoc w odnalezieniu różnych zagubionych przedmiotów. Sokoły chętnie pomagały, zawsze odnajdywały zguby i oddawały je zrozpaczonemu właścicielowi. Sami mieszkańcy byli bardzo dumni ze swojego talentu i organizowali huczne święta na cześć słynącego na cały świat wspaniałego wzroku.

Najważniejszą imprezą odbywającą się co roku była olimpiada, podczas której wybierano sokoła z najlepszym wzrokiem. W olimpiadzie tej brały udział wszystkie sokoły, które kończyły w danym roku 15 lat. Poziom prezentowany przez uczestników był zawsze bardzo wysoki, a wygrywający sokół zazwyczaj w przyszłości stawał się bardzo poważanym politykiem, znanym na całym świecie. Wszyscy mieszkańcy Sokołowa kochali olimpiadę i czekali na nią cały rok.

Tegoroczna olimpiada miała odbyć się jak zwykle w samym środku lata. Prawie wszystkie młode sokoły oczekiwały z ekscytacją na to wydarzenie. Prawie, ponieważ jednego z nich myśl o uczestnictwie w zawodach napawała takim przerażeniem, że wołałby do końca życia nic nie jeść i nie pić, niż zaprezentować swoje zdolności przed całym miastem. Sokołem tym był Jasiek, który w tym roku skończył 15 lat. Dlatego to właśnie między innymi jemu przypadał zaszczyt wzięcia udziału w tak uwielbianym przez całe miasto i nienawidzonym zarazem przez niego konkursie.

Powód wspomnianej nienawiści wynikał z bardzo prostej przyczyny – Jasiek jako jedyny z mieszkańców Sokołowa miał bardzo dużą

wadę wzroku. Nie widział tak dobrze jak inne sokoły i na dodatek nosił duże i ciężkie okulary. Rówieśnicy nie rozumieli Jaśka i często się z niego śmiali. Największą jednak przykrość sprawiał Jaśkowi jego własny tata. Ojciec naszego bohatera był jednym z najostrzej widzących sokołów w mieście. Tata Jaśka nigdy się nie śmiał ze swojego syna, ale młody sokół zawsze czuł, że jego tata chciałby, aby Jasiek był taki jak on.

W dniu olimpiady Jasiek przez cały ranek smętnie snuł się po domu. Pomimo zachęt mamy do uśmiechu i potraktowania zawodów jak dobrej zabawy Jasiek czuł, że ten dzień będzie jednym z najważniejszych i zarazem najtragiczniejszych w jego życiu. Tata Jaśka jak zwykle od samego rana mówił tylko o olimpiadzie, poprzednich zwyciężcach oraz własnej wygranej sprzed wielu lat. Jasiek widział, jak tata zerka na niego i oczekuje radosnych reakcji na opowiadane przez niego olimpijskie historie. Jednak Jaśka te opowiastki tylko drażniły i wprawiały w jeszcze gorszy humor (o ile to w ogóle możliwe!).

Olimpiada rozpoczęła się punktualnie. Zadania, przed którymi stawały młode sokoły, polegały na wypatrywaniu przedmiotów z daleka, łapaniu obiektów spadających z dużych wysokości, odnajdywaniu ukrytych rzeczy i rozróżnianiu wzrokiem podobnych do siebie przedmiotów. Podczas swoich występów na stadionie Jasiek słyszał szept i śmiechy, które rozlegały się jak echo po całych trybunach. Nie mógł nic na to poradzić. Starał się robić dobrą minę do złej gry i próbował podejmować wyzwania, przed którymi nie mógł uciec. W każdym z zadań Jasiek zajął ostatnie miejsce. Powrót do domu był bardzo smutny. Jasiek jechał ze spuszczoną głową, tata uparcie milczał i tylko mama nieudolnie starała się rozweselić całą rodzinę. Kolacja także odbyła się w ponurej atmosferze. Jasiek podziękował za jedzenie i poszedł do swojego pokoju. Odchodząc, słyszał rozpoczynającą się między rodzicami kłótnię. Nie chciał jej słuchać, gdyż znał jej powód – był nim on sam.

Kiedy leżał już w łóżku, usłyszał nagły trzask. W tym samym momencie w całym miasteczku zapanowała ciemność. Jasiek usłyszał krzyki przerażenia dobiegające z zewnątrz i wzajemne nawoływania przerażonych sokołów. Jasiek szybko zbiegł na dół. Mama i tata trzymali się w objęciach i powoli starali się podejść do okna, by zobaczyć, co się stało. Niestety na zewnątrz NIC nie było widać. Nikt nie wiedział, co się stało. Wiadomo było tylko, że w całym mieście zabrakło

prądu, który rozświetlał ulice miast i wnętrza domów mieszkańców Sokołowa. Rodzice Jaśka, nie wiedząc, co robić, polecili synkowi wrócić do łóżka i tam przeczekać do rana. Sami również postanowili nie ruszać się z domu i poczekać, aż nastanie świt. Gdy słońce zaczęło pojawiać się na horyzoncie, mieszkańcy Sokołowa wyruszyli ze swoich domów, by zobaczyć, co się stało ostatniej nocy. Okazało się, że ktoś włamał się do elektrowni energetycznej, zepsuł główny reaktor prądu, zamknął elektrownię, a jedyny klucz do budynku zabrał. Jedynym śladem, który pozostawił po sobie złodziej, była mała kartka na ogrodzeniu elektrowni. Oto jaki napis się na niej znajdował: „Klucz zabrałem. W ciągu dnia go nie znajdziecie, tylko nocą się dowiecie, gdzie klucz może być schowany i na zawsze pochowany”.

Gdy tylko burmistrz Sokołowa odczytał notkę zostawioną przez przestępcę, w mieście zapanował chaos. Każdy bowiem wiedział, że sokoły są znakomitymi poszukiwaczami, jednak do wykorzystania swojej największej zalety potrzebują światła. Po ciemku są zupełnie bezradne, ponieważ wszystkie działania opierają na swoim znakomitym wzroku. W jaki sposób mają poradzić sobie bez swojego najważniejszego zmysłu? Sokoły były przyzwyczajone, że wszystko widzą. Nie były w stanie w nocy wyjść z domu bez oświetlenia, by nie potknąć się na własnej wycieraczce, a co dopiero odnaleźć mały klucz. Sokoły są świetnymi poszukiwaczami przedmiotów, ale na pewno nie po ciemku!

Mieszkańcy Sokołowa zaczęli wysyłać swoich najlepszych poszukiwaczy w nadziei na cud i znalezienie ukrytego kluczyka. Niestety, wszyscy poszukiwacze, noc po nocy, wracali z niczym.

Dni mijały i mieszkańcy stawali się coraz bardziej ponurzy i bezradni. Podczas nocy pełnych lęku i rozpacz, kiedy wszystkie sokoły traciły nadzieję na powrót do normalności, Jasiek zaczął odkrywać, że nie ma tak dużych problemów w poruszaniu się po ciemku jak inne sokoły. Od zawsze widział zamazane kontury przedmiotów i nauczył się poruszać, wykorzystując nie tylko wzrok, ale także dotyk i słuch. Inne sokoły tego nie potrafiły. Do poruszania się wykorzystywały tylko swój wspaniały wzrok. Widziały ostro i z dużych odległości, nie potrzebowały więc wspomagać się innymi zmysłami.

Gdy nadeszła kolejna, pełna niepokoju noc, Jasiek postanowił, że to on odnajdzie klucz i uratuje miasto. Wymknął się z domu i wyruszył w drogę. Chciał obejść całe miasto i zajrzeć pod każdy kamień.

Szło mu bardzo dobrze. Poruszał się sprawnie. Jednak po kilku godzinach zmęczył się i usiadł nad strumykiem, by chwilę odpocząć. Nagle, gdy nachylił się nad wodą, by się napić, zobaczył błysk pochodzący z dna strumyka. Zbliżył główkę do tafli wody i zobaczył, że na dnie leży klucz. Złoty przedmiot spoczywał tam spokojnie i odbijał słabe światło księżyca. Jasiek znalazł klucz do elektrowni! Kluczyk, dzięki któremu życie całego miasteczka będzie mogło wrócić do normy!

Uradowany sokół złapał go i najszybciej, jak tylko było to możliwe, wrócił do domu. Pokazał rodzicom klucz i opowiedział historię jego odnalezienia. Rodzice postanowili jak najprędzej udać się do burmistrza, oddać mu cenną zgubę miasta i pochwalić się swoim dzielnym dzieckiem. Gdy burmistrz oficjalnie ogłosił odnalezienie klucza, radości nie było końca. Mieszkańcy cieszyli się i wiwatowali na cześć Jaśka. Każdy osobiście chciał złożyć mu gratulacje i podziękować. Rodzice Jaśka pękali z dumy. Tata przeprosił syna za swoje dotychczasowe zachowanie. Wyjaśnił mu, że zawsze uważał, że wyjątkowość sokoła można mierzyć tylko ostrością jego wzroku. Przez to wąskie i ograniczone patrzenie na świat nie zauważył, że pod jego własnym skrzydłem rośnie wyjątkowo dzielny, pomocny, myślący o innych młody sokół o dużym i dobrym sercu.

Co się dotyczy włamywacza, nigdy nie dowiedziano się, kto nim był. Policja Sokołowa ustaliła jednak, że prawdopodobnie był to ktoś, kto zazdrościł sokołom ich ponadprzeciętnego wzroku, był zły na ich przechwałki i uważał, że żaden sokół nie poradzi sobie w ciemnościach. Jeśli w taki sposób myślał przestępca, to po części miał rację, jednak nie przewidział, że jeden z mieszkańców Sokołowa wykaże się wyjątkowymi umiejętnościami poruszania się po ciemku, będzie miał odważne serce, wyruszy na poszukiwanie klucza, odnajdzie go i uratuje całe miasto.

Biało-czarna piłeczka dostrzega swój kolor

W niedalekiej krainie, gdzie dzieci na pożegnanie całują swoich rodziców, gdy zostają w przedszkolu, a rodzice życzą im miłego dnia, istniał inny niewielki świat, w którym kolorowe piłeczki uczyły się sztuczek i figli, aby dzięki temu zawsze być gotowymi do zabawy z dziećmi, które już doskonale znały przedszkole, jak i rozweselały te, które dopiero przekroczyły jego próg.

Małe kolorowe piłeczki miały swoją nauczycielkę zabawy – dużą ubraną we wszystkie kolory tęczy dużą piłkę. To właśnie ona uczy piłeczki turlać się po podłodze, skakać, cieszyć wszystkie dzieci swoimi sztuczkami. Jednak wśród tych wszystkich kolorowych piłeczek, była jedna, wyjątkowa piłeczka. Nie miała ona jednego koloru, jak pozostałe, lecz była biało-czarna. I chociaż wszystkie piłeczki podziwiały jej kolor, ona sama nie była zadowolona, że nie jest zielona jak trawa, żółta jak słońce czy pomarańczowa jak pomarańcza. Nie przyszło jej na myśl, że sama może być uważana za prawdziwą zebkę wśród piłeczek.

Niestety biało-czarna piłeczka, gdy tylko przyszedł czas nauki z dużą piłką, zaraz zaczynała przeszkadzać innym kolorowym piłeczkom – biła je, szczypała, a nawet próbowała ugryźć, tylko po to, aby duża piłka na chwileczkę zwróciła na nią uwagę. Takie zachowanie biało-czarnej piłeczki nie podobało się dużej piłce, jednak jeszcze bardziej nie podobało się kolorowym piłeczkom, które tak często zostawały przez nią poturbowane. Dlatego coraz częściej kolorowe piłeczki wybierały zabawę, do której nie zapraszały biało-czarnej piłeczki, a na jej propozycje zabawy odpowiadały „nie”, ponieważ bały się, że znowu ucierpią. Nie było to miłe dla biało-czarnej piłeczki, gdy słyszała śmiechy podczas zabawy innych piłeczek, a sama siedziała smutna.

Biało-czarna piłeczka dostrzega swój kolor

Duża piłka podjęła próbę wytłumaczenia biało-czarnej piłeczce, że jej kolor jest wyjątkowy, a inne piłeczki chętnie zaproszą ją do zabawy, jak tylko będzie chciała się z nimi bawić zamiast je bić, bo dla nich jej kolor nie jest ważny, lecz zachowanie. Jednak to nie pomogło... Biało-czarna piłeczka miała pretensje do dużej piłki, że w jakiś magiczny sposób nie zrobi z niej jednokolorowej piłeczki, co według niej wszystko by zmieniło! Biało-czarna piłeczka coraz częściej przeszkadzała kolorowym piłeczkom, nie zwracała uwagi na rady dużej piłki, aż do momentu, gdy w przedszkolu miał się odbyć bal karnawałowy.

Wszystkie dzieci przyszły w kolorowych strojach, niektóre kostiumy dziewczynek były z bajek, dlatego cała sala była wypełniona księżniczkami. Inne dzieci były z kolei przebrane za różnego rodzaju zwierzęta: ryby, ptaszki, koty i psy, a nawet w zebry! Zdarzało się, że były dwa takie same stroje kowboja lub księżniczki, ale dzieciom to nie przeszkadzało we wspólnej zabawie do wesołej muzyki. Aż w końcu biało-czarna piłeczka dostrzegła chłopca, który nie miał przebrania, był ubrany w zwykłe czarne spodnie i ciemnozieloną koszulkę, mimo to nie bił innych dzieci, zazdroszcząc im barwnej szaty lub fajnego kociego ogona, nie przeszkadzało mu, aby śpiewać i tańczyć z księżniczkami lub wspólnie z kowbojami brać udział w zawodach w zarzucanie lassa.

Gdy bal dobiegł końca, dzieci żegnały się z wychowawczyniami i ze sobą wzajemnie. Po chłopca bez stroju przyszedł tata, do którego chłopiec na całe gardło zawołał:

– Tatoooooo, ale była zabawa!

Biało-czarna piłeczka poczuła nagle, że to wcale nie jej kolor powoduje, że inne piłeczki nie chcą się z nią bawić, lecz to, jak ona je traktuje i jak traktuje samą siebie. Zauważyła, że chłopiec nie miał pretensji i żalu do taty za brak stroju, lecz z całym zapałem opowiadał o tym, jak tańczył z księżniczkami, rozmawiał z Kotem w Butach lub zarzucał lasso. Biało-czarna piłeczka zrozumiała, że to nie wygląd sprawia, że kolorowe piłeczki nie chcą się z nią bawić, tylko jej zachowanie w stosunku do nich. Postanowiła następnego dnia dołączyć do zabawy z kolorowymi piłeczkami, bez sprawiania komukolwiek przykrości, cieszyć się wspólnymi figlami, a w głowie utkwіło jej, że na balu była też zebra i... świetnie się bawiła z kolorowymi papugami!

Bramkarz Baribal

Całkiem niedawno temu w Korzennym Lesie żył sobie mały, czarny niedźwiadek. Miał na imię Baribal. Mieszkał razem z mamą, tatą i trzema braćmi w sporej chatce. Była ona zbudowana z solidnych patyków i desek, a dach miała pokryty zielonym mchem, z którego wyrastały brązowe grzybki. Baribal uwielbiał ich zapach. Często wybierał się na grzybobranie do północnej części Korzennego Lasu, aby przynieść do domu koszyczek grzybków. Mama zawsze robiła z nich pyszną zupę, a mały niedźwiadek uwielbiał się temu przyglądać.

Baribal był najmłodszy z całego rodzeństwa. Miał spokojną osobowość, lubił podziwiać piękno przyrody, wspinać się po drzewach. Jego zwinność pozwalała mu na wygibasy wśród konarów drzew. Uwielbiał także spacerować, lecz nie za długo, ponieważ często brakowało mu tchu. Bycie astmatykiem ma swoje minusy...

Baribal był zupełnym przeciwieństwem swoich braci. Najstarszy z nich, Niko, uwielbiał piłkę nożną. Zdarzało się, iż zabierał młodszych braci bliźniaków, Korsa i Kala, do swoich kolegów – wilczka Cezo i rysia Akima. Nieopodal szkoły znajdowało się leśne boisko. Chłopcy biegali po zielonej trawie, czując się jak rybki w wodzie. W drużynie Niko byli jeszcze łos, lis, dzik i mała sprytna wiewiórka.

W południe Niko, podskakując, krzyknął do swoich braci:

– Hop! Hop! Wstajemy leniuchy! Dzisiaj sobota, mamy piękny dzień, koniecznie musimy zagrać w piłkę. Nasza banda na pewno już jest na boisku.

– Jestem taki zmęczony... – powiedział Kal. – Przyniosłem z tatą dużo drewna na opał.

– Ja również z nimi byłem, dodatkowo na stopę spadło mi spore drewienko... – ciągnął Kors.

Bliźniaki tego dnia nie miały nastroju, aby biegać za piłką.

– Pff, mięczaki z was! – wykrzyczał Niko i już kierował się do drzwi, ale zatrzymał go Baribal.

– Niko, czy ja mogę pójść z tobą? – zapytał z nadzieją starszego brata.

Niko, zastanawiając się chwilę, odpowiedział zdecydowanym głosem:

– Myślę, że to nie jest najlepszy pomysł... chyba, że chcesz poglądać, jak gramy?

– Nie, chciałbym zagrać razem z wami – powiedział błagalnie Baribal.

Niestety starszy brat nie dał się przekonać i wyszedł z domu sam. Mały niedźwiadek bardzo się zasmucił. Poszedł do swojego pokoju i zaczął płakać. Usłyszała go mama, więc szybko przyszła i mocno przytuliła synka. Baribal przez łzy zapytał:

– Mamusiu, dlaczego Niko nie chciał zabrać mnie na boisko? Czy on mnie nie lubi?

– Synku, wszyscy twoi bracia bardzo cię kochają, tak samo jak ja i tatuś. Myślę, że Niko nie chciał cię zabrać, bo martwi się o ciebie.

– Ale ja tak bardzo chciałem... jestem taki smutny! – płakał Baribal.

– Baribalu, jesteś mądrym niedźwiadkiem. Kochasz przyrodę, która nas otacza, jesteś miłym i kochanym misiem, ale musisz na siebie uważać bardziej niż inni. Astma to poważna sprawa. Niko na pewno chciał dla ciebie jak najlepiej. Wiesz, że podczas meczu trzeba dużo biegać, a to może sprawić ci ból – tłumaczyła Baribalowi mamusia.

– Wiem, wiem, ale ja tak bardzo chciałbym zagrać. Wiele razy, oglądając chłopaków na boisku, byłem taki podekscytowany, uwielbiam im kibicować! – mówił z błyskiem w oku niedźwiadek.

Mama zamyśliła się. Po chwili przypomniała jej się pewna historia i zaczęła opowiadać o wielkim leśnym piłkarzu, który żył sto lat temu w sąsiednim lesie.

– Wielki Mogu – bo tak się nazywał – był sprytną, małą wydrą, która zasłużyła na taki pseudonim dzięki wybitnym osiągnięciom. Należał do drużyny piłkarskiej od samego początku jej istnienia. Podczas każdego meczu wykazywał się sprytem, skupieniem i opóźnieniem.

Baribal z zaciekawieniem słuchał opowieści o Wielkim Mogu i próbował wyobrazić sobie, jak mógł wyglądać.

– Potrafił obronić każdą piłkę... – kontynuowała mama.

Bramkarz Baribal

– Jak to obronić? – przerwał jej Baribal.

– Owszem, synku. Wielka wydra była najlepszym bramkarzem, jakiego do tej pory miał w swojej drużynie Korzenny... – mama nie zdążyła dokończyć.

Baribal zeskoczył z łóżka i powędrował w stronę boiska. Mama zdążyła tylko krzyknąć z okna:

– Uważaj, synku! – i tyle go było widać.

Cała drużyna grała między sobą towarzyski, sobotni mecz. Baribal dotarł na miejsce, a wtedy zauważył go Akim. Młody ryś siedział na ławeczce i widać było, że boli go noga.

– Witaj, Baribalu. Co u ciebie słychać? – zapytał.

– Cześć, dziękuję, u mnie w porządku. – odpowiedział Akimowi. – Co się stało z twoją nogą? – zapytał z troską.

Akim złapał się za głowę i wyraźnie posmutniał.

– Skręciłem kostkę, czekam na tatę, aby pomógł mi pójść do naszego leśnego lekarza, pana Sówki.

Wtem przyszedł Niko z całą drużyną.

– Chyba nici z meczu... Łoś nie nadaje się do stania na bramce... jest idealnym strzelcem, ale bramkarz z niego marny – żartował razem z kolegami.

– To prawda – powiedział Łoś. – Nie lubię stać na bramce, wolę skakać i biegać za piłką!

– Może Baribal mnie zastąpi? – rzucił Akim.

Wszyscy umilkli i zaczęli się zastanawiać. Najbardziej zastanawiał się brat misia, Niko.

– Nie chciałbym, żeby ci się coś stało – powiedział na ucho młodszemu bratu.

– Przecież jestem opanowany, spokojny, a także gibki i umiem wspinąć się na drzewa. Będę idealnym bramkarzem! – krzyknął Baribal.

Wszyscy byli zadowoleni, że mogą wracać do meczu. Baribal stał dumnie na bramce i bronił coraz to trudniejsze piłki. Wszyscy byli bardzo zadowoleni z gry Baribala. Miś zrozumiał, że zawsze jest wyjście z sytuacji. Czuł się dumny, ponieważ mógł spędzać czas z bratem i jednocześnie czuł się potrzebny zespołowi. Mama z tatą i bliźniakami kibicowali im na każdym meczu i cieszyli się, że na twarzy Baribala w końcu pojawił się uśmiech.

Rower Lolka

W odległej krainie, za górami, za lasami, żył sobie lisek Lolek. Dobrze mu się wiodło, był radosny i uczęszczał do szkoły wraz z innymi liskami. Lolek, pomimo swojej optymistycznej osobowości, różnił się od swoich kolegów i koleżanek. Urodził się bez jednej łapki. Nie przeszkadzało mu to, aż do pewnego słonecznego dnia. Podczas lekcji nauczycielka opowiedziała liskom o konkursie rowerowym, który będzie organizowany u nich w szkole. Lisek Lolek był bardzo tym podekscytowany i strasznie chciał wziąć udział w konkursie. Miał tylko jeden problem. Nie umiał jeździć na rowerze!

„Jak bardzo bym chciał nauczyć się jeździć na rowerze i wziąć udział w konkursie” – pomyślał.

Lolek był bardzo odważny i postanowił zapisać się na listę uczestników konkursu rowerowego, która wisiła na szkolnym korytarzu. Gdy pozostałe liski i reszta zwierząt zobaczyły, że ich kolega bez jednej łapki wpisał się na konkursową listę, ich śmiechom nie było końca! Zaczęły kpić z Lolka i wytykać go palcami podczas lekcji oraz przerw.

– Hej, ty, Lolek! – krzyknęła małpka. – Konkurs jest dla uczniów, którzy umieją jeździć!

– Dokładnie! – odpowiedział wilk. – Takim jak ty nigdy nie udaje się wygrać!

– Jeszcze dobrze nie zaczniesz jechać, a już się przewrócisz! – śmiała się obok wiewiórka.

Lisek Lolek, gdy tylko usłyszał te komentarze, zrobił się bardzo smutny, przygnębiony i ukradkiem ocierał łzy. Ze spuszczoną głową wracał tego dnia do domu ze szkoły.

„Przecież oni mają rację. Nie nadaję do tego. Po co się zapisałem?” – pomyślał.

Podczas gdy wszyscy jego przyjaciele ze szkoły przygotowywali się do zawodów kolarskich, lisek Lolek siedział załamany w domu. Mama poprosiła go, żeby poszedł na zakupy i choć na chwilę wyszedł z pokoju i pooddychał świeżym powietrzem. Lolek niechętnie wziął koszyczek na owoce i warzywa, a następnie wyszedł na targ. Kiedy szedł drogą, zobaczył starszego pana lisa, który jeździł na rowerze. Lisek ponownie posmutniał. Pan lis ujrzał zmartwioną minę Lolka i podjechał do niego.

– Czemu jesteś taki smutny? Mógłbym ci w jakiś sposób pomóc? – zapytał pan lis.

– Ładny rower. Szkoda, że nie umiem jeździć tak jak pan – odpowiedział Lolek.

Chłopiec opowiedział wszystko starszemu lisowi, który uważnie go wysłuchał. Bardzo przejął się historią Lolka i postanowił mu pomóc. Poprosił liska, aby ten przychodził do niego codziennie o tej samej porze na naukę jazdy na rowerze. Lolek nie wiedział do końca, co zrobić, ale w końcu zgodził się. Przez cały tydzień trenował z panem lisem. Nie było to dla niego łatwe zadanie. Na początku jazda nie wychodziła mu zbyt dobrze – spadał z roweru i nie mógł utrzymać na nim równowagi. Jednak z każdym kolejnym dniem Lolek jeździł coraz lepiej. Czasami tracił chęci i motywację, w szczególności w sytuacjach, kiedy mu coś nie wychodziło, lecz z pomocą pana lisa udało mu się zrealizować cel. Do rozwiązania pozostała jednak jedna rzecz. Następnego poranka miały odbyć się zawody rowerowe, na które Lolek się zapisał.

– Nie wiem, czy jestem wystarczająco dobry, aby brać udział w konkursie – mówił Lolek.

– Oczywiście, że jesteś! Wystarczy tylko uwierzyć w siebie. Nawet jeśli nie wygrasz tych zawodów, najważniejsze jest to, że nie bałeś się spróbować – odparł pan lis.

Nadszedł dzień konkursu rowerowego. Wszystkie zwierzęta ustawiły się na starcie na swoich rowerach. Obok nich stanął też lisek Lolek. Spojrzenia kolegów i koleżanek nie były miłe, nadal pod adresem Lolka padały obraźliwe słowa i rozbrzmiewały śmiechy. Lisek wiedział, że teraz nie może się poddać. Na słowo „start” Lolek z zapałem ruszył rowerem wraz z pozostałymi uczestnikami. Liskowi szło perfekcyjnie, wyprzedzał po kolei rywali i coraz szybciej zbliżał się do mety. Pod koniec drogi stało się jednak coś strasznego! Lisek

Rower Lolka

stracił równowagę i upadł na ziemię wraz z rowerem. Był bardzo zdezorientowany, ale przypomniał sobie słowa pana lisa, które pomogły mu się podnieść i jechać dalej. Bardzo szybko nadrobił straty i jako pierwszy znalazł się na mecie!

Widzowie bili brawo, a nawet zaczęła grać orkiestra. W momencie kiedy zawieszono na jego szyi złoty medal, zdał sobie sprawę ze swojego wielkiego czynu. Lisek Lolek był z siebie bardzo dumny. Wiedział, że dzięki swojej ciężkiej pracy udało mu się spełnić marzenia. Brak jednej łapki nie przeszkodził mu, aby wygrać konkurs.

flamingu Piotru i jego okularach

W pewnej dolinie, zamieszkałej przez wiele pięknych zwierzątek, żył sobie flaming Piotrek. Niedawno poszedł do pierwszej klasy i był z tego powodu bardzo dumny. Nie mógł się już doczekać, kiedy zacznie się uczyć tych wszystkich ciekawych rzeczy, o których opowiadali mu mama, babcia czy tatuś. Bardzo lubił słuchać bajek, a także rysować i lepić różne figurki z plasteliny. Mama wyjaśniała mu, że teraz w szkole będzie mógł robić to wszystko, nie tylko słuchać bajek, które będzie czytała pani na lekcji, ale także uczyć się literek i w rezultacie sam czytać, co tylko go zainteresuje. Natomiast co do prac z plasteliny, tak lubianych przez Piotruka, rodzice mówili mu, że teraz w dodatku będzie mógł dostawać za te prace piątki. Bo Piotrek był bardzo zdolny i nie mógł się już doczekać, kiedy zrobi coś ładnego i pochwali się tym przed kolegami i panią.

Pierwszy dzień w szkole Piotrek wspominał bardzo przyjemnie, choć był troszkę zestresowany, jak to bywa przed takim ważnym wydarzeniem. W końcu zaczyna się jakiś nowy, na pewno ciekawy okres w życiu. Troszkę bolała go głowa, ale to chyba od nadmiaru wrażeń. W sali gimnastycznej, w której odbywała się uroczystość rozpoczęcia nowego roku szkolnego, Piotrek siedział z tyłu i nie wszystko widział. Słuchał jednak z zapałem tego, co mówiła pani dyrektor, ponieważ chciał się dowiedzieć, która pani będzie jego wychowawczynią i do której sali powinien potem pójść na spotkanie ze swoją klasą. Wokół niego było dużo różnych zwierzątek, niektóre znał z podwórka, a mamy kilku z nich były koleżankami jego mamy.

Gdy już na dobre rozpoczęła się szkoła, Piotrek bardzo się cieszył. Zaczął uczyć się literek, cyferek – trzeba przyznać, że bardzo dobrze liczył. Umiał się już podpisać i był z tego bardzo dumny. Rodzice chwalili go, na pierwszej wywiadówce też usłyszeli, że Piotrek jest bardzo zdolnym ptakiem i powinien wspaniale sobie radzić w szkole.

W domu Piotrek zawsze starannie odrabiał zadania domowe, jednak ostatnio czasem piekły go oczy i trochę tarł je skrzydełkami, bo chciał, żeby pieczenie ustąpiło. Myślał, że dzieje się tak dlatego, że uczy się czytać, więc dużo czasu spędza na wpatrywaniu się w książkę z tekstem. Na matematyce patrzy z kolei dużo na cyferki, a klasa była bardzo jasna. Przez okna wpadało dużo słońca, które też raziło Piotra.

Czas płynął i zbliżał się koniec pierwszego półrocza. Po szkole Piotrek często spędzał czas z kolegami – innymi ptakami, z którymi się zaprzyjaźnił. Piotrek czuł, że chyba jest lubiany, bo zawsze starał się pomóc w nauce tym, którzy mieli jakieś problemy. Któregoś dnia mama poprosiła go, by poszedł do sklepu kupić ziarno na obiad. Dała Piotrkowi pieniądze i powiedziała, by przyniósł resztę. Piotrek poszedł do sklepu, w którym panował lekki półmrok.

„O rany – pomyślał – ale tu ciemno”.

Poprosił o ziarno. Pani ekspedientka podała mu cenę, Piotrek chciał zapłacić... i nie wiedział, który pieniążek to ten właściwy. W sklepie przecież było tak ciemno! Podał pani ekspedientce wszystkie monety:

– Ja... nie wiem, który to pieniążek...

Pani ekspedientka zmierzyła go wzrokiem i zapytała:

– Smyku, a ile masz lat, że nie umiesz liczyć? Nie chodzisz jeszcze do szkoły?

– Chodzę! I ja... bardzo dobrze liczę!... tylko... tu jest ciemno i nie widzę dobrze pieniędzy, które dała mi mama...

Pani pokręciła głową, wzięła pieniądze, pożegnała chłopca z uśmiechem, Piotrek powiedział „do widzenia” i zawstydzony opuścił sklep.

Mijały dni. Flaming nadal był pilnym uczniem, jednak czasem w szkole bolała go głowa, gdy długo patrzył na tablicę albo w książkę. W domu pomagał mamie, odrabiał lekcje, jednak mama zauważyła, że czasem jest smutny, a nigdy wcześniej mu się to nie zdarzało. Spytała go, dlaczego się nie uśmiecha. Piotruś jednak tylko zmrużył oczy i powiedział, że wszystko w porządku, tylko jest śpiący i zmęczony.

Kolejnego dnia w szkole pani sowa, która uczyła w jego klasie języka polskiego, pisała różne zdania na tablicy. Chodziło o wyrazy związane z wiosną, ponieważ już zaczęło się drugie półrocze. Pani prosiła każde dziecko po kolei, by przeczytało powoli i wyraził jedno krótkie zdanie. Piotrek siedział w przedostatniej ławce,

w rzędzie pod oknem, czyli był trzeci do czytania w kolejce, zaraz po koledze – lisku Zenku. Gdy nadeszła jego kolej, zaczął:

– Wiosną... kwilą... wszystkie... kwiaty...

W klasie rozległ się śmiech. Pani uspokoiła klasę, ale Piotrkowi zrobiło się przykro. Przecież dobrze przeczytał, o co im chodzi? Pani poprosiła, by jeszcze raz, powoli i dokładnie przeczytał zdanie. Piotrek zaczął nieśmiało:

– Wiosną... kwilą... wszystkie... kwiaty – znów śmiech.

„Dlaczego się ze mnie śmieją...?” – zaczął się zastanawiać Piotrek.

Pani też teraz wyglądała na zmartwioną:

– Piotrusiu, czy nie widzisz, co tu jest napisane?... Może podejdź bliżej...?

Ktoś z klasy szepnął:

– Piotrek ślepy!

Piotrek poczuł się bardzo zawstydzony, ale nie chciał już trzeci raz przeczytać źle (on sam myślał, że dobrze czytał, ale skoro inne dzieci się śmiały, to chyba coś było nie tak). Za radą pani podszedł bliżej do tablicy i przeczytał:

– Wiosną... kwitną... wszystkie... kwiaty.

– No pięknie, widzisz, teraz jest dobrze! – ucieszyła się pani sowa.

Piotrek wrócił na miejsce, ale czuł na sobie wzrok innych dzieci. W domu nawet nie opowiedział rodzicom o tym incydencie, bo najzwyczajniej w świecie było mu wstyd. Jak to, on – taki dobry uczeń – i nie umiał przeczytać prostego zdania...?

Podobne historie niestety zaczęły zdarzać się coraz częściej. Na matematyce myliły mu się cyferki, przez co nie zawsze dobrze rozwiązywał działania matematyczne i wynik był zły. Wszyscy w klasie zaczęli to dostrzegać, nauczyciele również. Pani sowa nawet poprosiła Piotrka, by przesiadł się do pierwszej ławki. Mama też zaczynała się martwić, bo jej synek nagle zaczął przynosić gorsze oceny niż do tej pory. Dotyczyły one głównie takich przedmiotów, których nauka polegała na czytaniu z książek, pisaniu w zeszytach, przepisywaniu z tablicy. Nie było natomiast problemów z gimnastyką, śpiewaniem ze słuchu, robieniem różnych figurek z plasteliny. Jedynie na plastyce, gdy rysował jakiś rysunek, często mrugał oczami, a po całym dniu spędzonym w szkole czasem bolała go głowa. Któregoś ranka nawet nie chciał iść do szkoły, powiedział mamie, że źle się czuje. W tym dniu pani miała oceniać czytanie i Piotrek czuł, że na pewno nie

wypadnie zbyt dobrze, a dzieci znów będą się z niego śmiały. Przy czytaniu bowiem myliły mu się literki, bo były przecież do siebie takie podobne! Często więc zgadywał kolejne wyrazy, niestety bez powodzenia. Mama zmartwiła się nie na żarty. Pozwoliła mu zostać w domu w tym dniu, ale Piotrek nie wiedział, że od pewnego czasu, gdy spał, rodzice rozmawiali na jego temat. Mama oznajmiła synkowi, że muszą iść do lekarza, do okulisty. Wizyta będzie już jutro. Okazało się, że pani sowa, która równocześnie była wychowawczynią Piotrka, powiedziała mamie chłopca, że od pewnego czasu coś się dzieje z jego oczami i przez to ma problemy w szkole. Piotrek próbował zaprzeczać, ale mama naprawdę wyglądała na zmartwioną, a mały flaming bardzo ją kochał i nie mógł patrzeć na jej smutną i pełną troski twarz.

Następnego dnia mama zaprowadziła Piotrka do lekarza. Pan doktor też był ptakiem, więc Piotrek od razu poczuł się rażniej.

„Zawsze to ktoś prawie znajomy” – pomyślał.

Pan doktor, który na nazwisko miał Dzieciotowski, od razu wypytał Piotrka o wszystkie problemy, jakie ma w szkole. Piotrek na początku był onieśmielony, jednak zrozumiał, że pan doktor chyba może mu pomóc i wreszcie coś zrobi z tymi jego oczami. Opowiedział wszystko: o tym, że oczy często go pieką, jakby miał piasek pod powiekami; że źle widzi z tablicy i musiał się przesiąść do pierwszej ławki; że mylą mu się literki, cyferki; że już nie ma samych piątek; że dzieci się z niego śmieją...

Pan Dzieciotowski wysłuchał Piotrka bardzo przyjaźnie. Potem poprosił go o to, by popatrzył przez takie śmieszne okienko (Piotrkowi bardzo się takie badanie podobało) i powiedział, co widzi, niestety obrazek był rozmazany, nie mógł więc za bardzo opowiedzieć, co zobaczył. Potem pan doktor posadził Piotrka na krześle i poprosił, by chłopiec przeczytał te literki, które pan doktor będzie mu pokazywał wskaźnikiem. Te na górze Piotrek przeczytał bez problemu, jednak... im niżej, tym było gorzej – literki były takie malutkie, coraz mniejsze! I Piotrek już nie mógł ich odczytać. Następnie pan doktor założył Piotrkowi na nos takie śmieszne, ciężkie okulary i powiedział, że trzeba będzie dobrać odpowiednią szklę.

– Szklę? – zapytał Piotrek. – O co tu chodzi?

Pan Dzieciotowski powiedział, że Piotrek będzie musiał nosić okulary.

– Ja nie chcę! One są ciężkie i brzydkie! – prawie mu się zebrało na płacz.

Pan doktor jednak spokojnie mu wytłumaczył, że te okulary, które teraz ma na nosie, służą tylko do dobrania odpowiednich dioptrii.

„O rany, jakie trudne słowo...” – pomyślał flaming.

Pan doktor wkładał do tych śmiesznych i ciężkich okularów różne okrągłe szkielecki i pytał, czy teraz Piotrek może odczytać te maciupęńkie literki, które były na samym dole planszy. W jednych szkieleckach Piotrek widział je lepiej, w innych gorzej. Pan doktor stwierdził, że już wszystko wie, coś przekazał mamie Piotrka, chłopiec jednak z tego niewiele zrozumiał. Usłyszał tylko takie zwroty jak „wada wzroku”, „krótkowzroczność” – tyle zapamiętał. Pan Dzieciotowski przybił pieczętkę na recepcie, podobno była to recepta na okulary.

„Oby tylko nie takie jak te, które miałem w gabinecie u pana doktora” – pomyślał Piotrek.

Kolejnego dnia, zaraz po szkole, chłopiec wybrał się z mamą do sklepu, na którym był szyld z napisem „optyk”. W szkole nic nie powiedział, że będzie nosił okulary, dlatego trochę obawiał się, jak to przyjmą koledzy i koleżanki. Gdy wybrał oprawki, które mu się spodobały (uff, na szczęście w niczym nie przypominały tych z gabinetu), dowiedział się, że okulary będą gotowe do odbioru za trzy dni. Wrócił z mamą do domu, rozmawiając po drodze o nowych okularach. Mama przekonywała go, że w końcu będzie dobrze widział i nareszcie skończą się jego problemy w szkole.

Po trzech dniach Piotrek wraz z mamą poszedł odebrać swoje nowe okulary. Nie był do nich zbytnio przekonany, czuł, że będzie musiał mieć na twarzy coś dodatkowego, czego nie ma nikt inny w klasie. Hmm, ciekawe, jak będzie wyglądał? Po założeniu okularów jednak, gdy przejrzał się w lustrze, sam stwierdził przed sobą, że... wygląda całkiem, całkiem! Jakoś tak... jakby mądrzej? W okularach chodzi ktoś, kto jest na przykład profesorem, więc chyba musi to być ktoś mądry. Pan optyk dał Piotrkowi jeszcze w prezencie ładne pudełko do przechowywania okularów na czas, gdy nie będzie ich nosił. Po to, żeby szkła się nie rozbiły, a oprawki nie pękły. Flaming bardzo się ucieszył z ładnego pudełka. Usłyszał też kolejne trudne słowo – „etui”.

„Ojej, a to wcześniejsze trudne słowo, które mówił pan doktor, już zdążyłem zapomnieć...” – pomyślał.

O flamingu Piotru i jego okularach

Mama pocieszyła go, że teraz, gdy już będzie dobrze widział, da radę sam odczytać wiele wyrazów, nawet trudnych. Mama porozmawiała z nim też na ten temat, jak ma reagować w szkole, gdyby ktoś śmiał się z jego okularów.

„Kochana mama, zawsze mnie potrafi pocieszyć” – pomyślał chłopek, zasypiając.

Na drugi dzień Piotrek pojawił się w szkole w swoich nowych okularach. Niektóre dzieci aż otworzyły buzie ze zdziwienia. Kilka zwierzątek się zaśmiało pod nosem, ktoś krzyknął:

– Okularnik! Okularnik!

Do klasy weszła pani sowa... w okularach. Usłyszała komentarze dzieci i od razu zapowiedziała, że dziś, zamiast lekcji języka polskiego, będzie godzina wychowawcza o tolerancji, o empatii („co to za kolejne trudne słowa?” – pomyślał Piotrek), bo widzi, że musi z klasą omówić ten temat. Piotrek na początku trochę się wstydził. Czuł, że pani mówi o nim, ale było mu rażniej, bo przecież pani sowa też dziś miała okulary! Pani opowiedziała o sobie, o tym, jak bardzo okulary pomagają jej w życiu i że nie ma nic wstydliwego w tym, że ktoś gorzej widzi. Absolutnie nie można się z tej osoby śmiać, bo to nieładnie. Okulary to normalna rzecz, która pomaga po prostu w lepszym widzeniu. Przy okazji pani sowa powiedziała, że w ogóle nieładnie jest śmiać się z kogoś, kto jest inny od nas – czy to przez okulary, które musi nosić, czy przez wózek, na którym musi jeździć, czy też przez chorobę, przez którą po prostu inaczej wygląda. Dzieciom, które śmiały się z Piotrka, zrobiło się wstyd, a dzióbek flaminga rozpromienił uśmiech – pani sowa przecież powiedziała, że on absolutnie nie ma się czego wstydzić. I że skoro dzieci śmiały się z niego, to tak, jakby śmiały się z niej, bo ona przecież też ma okulary. Zwierzątka z klasy przeprosiły więc Piotrka i przy okazji panią sowę. Od tej pory Piotrek z dumą nosił swoje okulary. Zaczął znowu dostawać piątki i szóstki, bo w końcu dobrze widział. Literki i cyferki przestały mu się mylić i zadania domowe wreszcie miał poprawnie zrobione. Przestał mrużyć oczy i głowa już go nie bolała. Wszystko było teraz takie wyraźne! Piotrek przyzwyczał się do swoich okularów, nawet je polubił, a dzieci z klasy już mu nie dokuczały. Powiedziały mu, że nawet fajnie w nich wygląda, jak... profesor. Wkrótce okazało się, że inny ptaszek z klasy też musi zacząć nosić okulary, dzieci więc zrozumiały, że okulary to tak naprawdę całkiem zwykła rzecz.

Franek i jego nowy przyjaciel

Franek to wesoły zajęczek, który wraz ze swoją zajęczą rodziną: mamą, tatą i młodszym bratem, mieszkał w maleńkiej wsi, na skraju lasu. Franek oraz jego niezmienni od lat przyjaciele: bóbr Marcel, jeżyk Cyprian, lisek Antoni, kret Olaf, dzik Maciek oraz borsuk Janek, chodzili do tej samej klasy, a po szkole często wspólnie spędzali wolny czas, wymyślając coraz ciekawsze zabawy.

Pewnego dnia w szkole pani nauczycielka – sowa – przyprowadziła do klasy nowego ucznia i przedstawiła go:

– Dzień dobry, moi drodzy! Chciałabym wam przedstawić waszego nowego kolegę, żubra Tymka, który od niedawna mieszka tutaj ze swoją rodziną.

Przyjaciele patrzyli na żubra z ogromnym zdziwieniem i szeptali:

– Jaki on wielki... i dziwny... – rzekł kret Olaf.

– Ogromny... Wygląda... – urwał jeżyk Cyprian.

– ...jak potwór! – dodał bóbr Marcel.

– I do tego pewnie jest niezdarą... – szepnęła lisek Antoni.

– Chciałabym, żebyście zaopiekowali się Tymkiem i serdecznie go przyjęli – uśmiechnęła się pani sowa i zwróciła się do żubra

– Tymku, usiądź proszę w ławce. Zaczynamy lekcje. Jak wiecie, zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Z tej okazji za dwa dni w naszej szkole odbędzie się konkurs na najlepszą ozdobę choinkową. Chciałabym, żebyście przygotowali Wasze prace konkursowe w parach. Bóbr Marcel wykona swoją ozdobę z jeżykiem Cyprianem, lisek Antoni z kretem Olafem, dzik Maciek z borsukiem Jankiem, a ty, Franku, będziesz w parze z żubrem Tymkiem.

Koledzy popatrzyli na Franka i zaczęli się śmiać pod nosem.

– Yyy... ale... jaa... – urwał nagle Franek.

Franek i jego nowy przyjaciel

– Franku, jesteś dobrym uczniem i kolegą, dlatego jestem pewna, że będziecie się świetnie bawić z Tymkiem – dodała pani sowa.

Lekcja dobiegła końca. Przyjaciele Franka wybiegli w pośpiechu z klasy, nie czekając na niego. Smutny Franek wrócił do domu i, nie witając się z domownikami, szybko pobiegł do swojego pokoju. Zaskoczona zachowaniem syna pani zając zapukała do drzwi jego pokoju i zapytała:

– Franku, wszystko w porządku? Coś się stało?

Franek nie odpowiedział.

– Widzę, że jesteś smutny. Masz jakiś problem? Mnie możesz powiedzieć, na pewno razem znajdziemy jakieś rozwiązanie – dodała mama.

– Och, mam! W naszej klasie pojawił się nowy uczeń – żubr Tymek. Wiesz, on wygląda inaczej niż my wszyscy... jest wielki... i... no, wiesz... wszyscy się z niego śmiali. A w dodatku teraz i ze mnie się śmieją, bo pani sowa zaproponowała, żebym razem z nim wykonał ozdobę choinkową na konkurs. Dlaczego akurat mnie to spotkało? – powiedział z żalem Franek.

Mama spojrzała na Franka:

– Franku, to bardzo nieładnie śmiać się z innych i myślę, że sprawiliście nowemu koledze ogromną przykrość. Postaw się na miejscu tego chłopca. Jak ty byś się czuł, gdyby ktoś się śmiał z twojego wyglądu? Myślę, że byłoby ci bardzo smutno, prawda?

Franek pokiwał twierdząco głową.

– No właśnie – kontynuowała mama. – Dlatego pamiętaj, że nigdy nie należy oceniać innych po wyglądzie. Nie ma znaczenia, czy ktoś jest mały czy duży, przecież może posiadać wiele innych cudownych cech i zalet. Każdy może okazać się dobrym kolegą.

– Ale ja mam już przyjaciół i nie potrzebuję nowych... – próbował tłumaczyć Franek.

– Franku! – przerwała mu mama. – Obiecuj mi, proszę, że będziesz miły dla tego chłopca.

– Dobrze, mam – obiecał Franek.

Nazajutrz w szkole uczniowie mieli wykonywać konkursowe ozdoby choinkowe.

– O niee... nie mam przyborów potrzebnych do wykonania ozdoby choinkowej... zapomniałem – powiedział zmartwiony Franek.

Franek i jego nowy przyjaciel

– Ja mam wszystko, czego potrzebujemy. Nie martw się, jest tego sporo, więc chętnie się z tobą podzielę – odpowiedział żubr Tymek.

– Naprawdę? – zapytał zaskoczony Franek.

– Oczywiście – uśmiechnął się Tymek.

Okazało się, że Tymek ma wiele świetnych pomysłów i duży talent plastyczny, dlatego udało im się bardzo szybko i sprawnie ukończyć swoją pracę, a przy tym całkiem nieźle się bawili. Ich ozdoba była naprawdę bardzo ładna i starannie wykonana.

Następnego dnia ogłoszono wyniki konkursu – pierwsze miejsce zajęli Franek i Tymek. Pani sowa pogratulowała chłopcom, a reszta kolegów trochę im zazdrościła.

– Dziękuję. To dzięki tobie zdobyliśmy pierwsze miejsce w konkursie – zwrócił się Franek do Tymka, który był trochę zawstydzony, ale zarazem bardzo szczęśliwy, że zyskał sympatię Franka.

Franek wrócił do domu w dobrym humorze i już od progu zawołał do mamy:

– Mamo! Zdobyliśmy razem z Tymkiem pierwsze miejsce w konkursie na najładniejszą ozdobę choinkową! Tymek ma ogromny talent plastyczny i to dzięki niemu wygraliśmy konkurs. Poza tym muszę ci powiedzieć, że bardzo dobrze gra w szachy i pokazał mi parę przydatnych sztuczek – ciągnął dalej Franek bardzo podekscytowany – i wiesz, moi koledzy też do nas dołączyli i wszyscy przeprosiliśmy Tymka. To był naprawdę wspaniały dzień! Dziękuję ci, mamo, jak zwykle miałaś rację – uścisnął Franek mamę.

– Bardzo się cieszę, Franku, że przeprosiliście kolegę i dobrze się bawiliście – powiedziała zadowolona mama. – I widzę, że masz nowego przyjaciela.

– To prawda, mamo, od dzisiaj Tymek należy do naszej paczki! – odparł Franek.

Niepowtarzalna drużyna

Daleko, a nawet dalej, tam, gdzie strumyk płynie z wolna, gdzie twój uśmiech trwa i nie ma końca, istnieje miasto Zwierzyniec. To nietypowe miejsce. Mieszkają w nim same zwierzęta. Działa tam nawet miejscowa drużyna koszykówki pod wodzą trenera – pana Wilczastego. Jego zawodnicy są różnymi zwierzętami. Do drużyny należą: niedźwiedź Okrąglutek, żyrafa Długinia, leniwiec Powolnuś, krowa Łaciatka oraz bóbr Gryzoniek.

Niestety, jak dotąd nie wygrali jeszcze ani jednego meczu, co bardzo ich smuci.

Zwierzaki w mieście okrutnie plotkują na ich temat. Opowiadają nieładne rzeczy...

– Hahaha! No nie! Znowu przegrany mecz!

– Ta, ta Długinia, to wszystko przez nią! Niezdarnie się porusza, to pewnie przez jej długą szyję!

– Każdy z nich jest jakiś inny. Dziwni są!

– No, nie nadają się do grania! Nie nadają! – rozmawiali między sobą mieszkańcy.

„Ooo nie, może i mają rację!? Jak ja wyglądam... I do tego nie potrafię grać...” – pomyślała sobie Długinia, gdy w drodze na trening usłyszała okrutną rozmowę mieszkańców.

„Może faktycznie to nie jest odpowiednie zajęcie dla kogoś takiego jak my, może powinniśmy porzucić swoją pasję? Jesteśmy do niczego. Ehh... a już niedługo ważny mecz, i to jeszcze z tak dobrą drużyną Silnych Wilków, na pewno nie damy rady” – dodała w myślach Długinia, po czym weszła na salę gimnastyczną.

Podczas treningu trener, pan Wilczasty, zauważył, że żyrafa Długinia jest bardzo smutna, od razu zareagował i zapytał:

– Co się dzieje, Długinio? Dlaczego jesteś taka smutna?

Długunia opowiedziała mu, co usłyszała od zwierzaków w mieście. Pan Wilczasty postanowił zwołać w związku z tym pilną radę drużyny.

– Moje drogie zwierzaki, wasza koleżanka opowiedziała mi właśnie o strasznych opiniach na swój temat oraz na temat całej naszej drużyny...

– Tak! Też słyszałem złe słowa na swój temat! – krzyknął bez zastanowienia niedźwiedź Okrąglutek, przerywając mowę trenera.

– Ja też!

– I ja!

– Ja tak samo! – kolejno wyznali leniwiec Powolnuś, krowa Łaciatka oraz bóbr Gryzoniek.

– Jak to, jakie złe słowa usłyszeliście?! – zapytał trener. – Opowiedzcie mi, i to szybko!

– A na przykład takie, że jestem tak wielki i ciężki, że ledwo biegam, a mój brzuch wygląda jak piłka... – stwierdził niedźwiedź.

– Ze mnie śmieją się, że zanim wykonam rzut do kosza, to mijają wieki – powiedział leniwiec Powolnuś.

– O mnie mówią, że moje łaty są niesymetryczne i wyglądam, jakby rozlało się na mnie mleko, a kopyta okropnie stukają – poskarżyła się krowa Łaciatka.

– Jeśli o mnie chodzi, co chwilę ktoś się wyśmiewa z wyglądu moich zębów – powiedział cichutko smutny bóbr Gryzoniek.

Pan Wilczasty stał dłuższą chwilę w w milczeniu... W tym czasie myślał o przejściach swoich zawodników. Po chwili postanowił podzielić się z nimi swoim zdaniem na ten temat:

– Drogie zwierzaki! Widzę, jak trudno jest wam słyszeć tak krzywdzące, niesprawiedliwe osądy innych. Całkowicie się z nimi nie zgadzam! Jak ktoś może was tak oceniać?! Ten, kto tak robi, z pewnością was nie zna! Chcę wam powiedzieć, że bardzo w was wierzę, bez względu na to, jak wyglądacie i jakie posiadacie obecnie umiejętności. Dla mnie najważniejsze jest to, że każdy z was jest dobrym zwierzęciem. Widzę, jak dajecie z siebie wszystko na treningach i jak wielką radość sprawia wam koszykówka. Przy tak ciężkiej pracy i zaangażowaniu lepsze wyniki sportowe w końcu przyjdą, a nawet jeśli nie, to nie to jest najważniejsze. Ważna jest sama droga do stawiania się lepszym, wtedy najbardziej doskonalimy siebie! Opinie innych, nie mają znaczenia, dlatego że tylko wy wiecie, że wkładacie w coś

Niepowtarzalna drużyna

całe swoje serce i jak ciężko na to pracujecie! Każde z was ma swoje niepowtarzalne atuty!

– Długinio, dzięki twojej długiej szyi widzisz najlepiej, co dzieje się na boisku, przez to doskonale wiesz, komu podać piłkę!

– Okrąglutku, dzięki twojej posturze, świetnie bronisz – jesteś silny! Ciężko jest cię pokonać, a przeciwnicy boją się grać przeciwko tobie.

– Powolnusi, przecież to nieprawda, co o tobie mówią, to tylko oklepane zdania na temat leniwców. Kiedy trzeba, szybko potrafisz podjąć decyzję o rzucie, a dzięki twojej dokładności często trafiasz!

– Łaciatko, twoje łaty są niepowtarzalne, dodają ci uroku! A twoje kopytka? Dzięki nim jesteś szybka jak błyskawica!

– Gryzońku, wygląd twoich zębów nie ma wpływu na to, jakim jesteś zwierzęciem. Bardzo podoba mi się, jak wspierasz swoją drużynę w trudnych sytuacjach. Jesteś jej cichym liderem! A poza tym, gdyby nie twoje zęby, to kto tak pięknie wyszlifowałby nasz parkiet?! Gdyby nie ty, nie mielibyśmy na czym trenować.

Po słowach trenera zwierzęta rozpoczęły dyskusję. Rozmawiały o swoich odczuciach i zaczęły się wspierać. Ta rozmowa trwała długo i bardzo im pomogła. Wspólnie doszli do wniosku, że dalej powinni ciężko pracować i pokazywać przede wszystkim samym sobie, że na wiele ich stać. Każde z nich posiada jakąś niezwykłą umiejętność. Wiedzieli, że mogą liczyć wzajemnie na swoje wsparcie, i to stało się ich siłą. W głowach szykowali już plan walki z drużyną Silnych Wilków. Zaczęli skupiać się na swoich indywidualnych atutach i je doskonalić.

Przez kolejne tygodnie wciąż ciężko pracowali, przygotowując się do meczu. Bywały raz lepsze, raz gorsze treningi, ale wiedzieli, że nie mogą się poddać. Siła ich grupy była ogromna, gdy jedno z nich zaczynało się poddawać czy wątpić w siebie, reszta zaczynała je dopingować.

W końcu nadszedł dzień meczu z Silnymi Wilkami. Zacięta walka toczyła się do ostatnich sekund spotkania... Trener Wilczasty po zakończonym meczu przyznał, że nigdy nie widział swoich zawodników w tak dobrej formie, grających z takim zaangażowaniem i w tak wielkiej jedności. Każdy zawodnik dał z siebie wszystko, co potrafił najlepiej.

Myślicie, że drużyna ze Zwierzyńca wygrała ten mecz? A może go przegrała? Wiadomo tylko, że wynik meczu nie był dla jej członków najważniejszy...

Gepard Koo

W bardzo odległej i bardzo ciepłej Afryce, na rozległych obszarach sawanny, znajduje się nieduża, ale bardzo kolorowa szkoła, w której uczą się tamtejsze zwierzęta. Przechadzając się między szkolnymi ławkami, można było spotkać tam między innymi: hałaśliwe słonie, rozbrykane lwy, strachliwe strusie, wesołe zebry, wysokie żyrafy, pomocne hipopotamy, groźne czarne mamby, długonogie sekretarze, małe pająki oraz szybkie gepardy.

Szkoła ta zasadniczo niczym się nie różniła od innych szkół na świecie. Zwierzęta uczyły się tutaj wielu ciekawych rzeczy, miały lekcje wychowania fizycznego, geografii, biologii czy muzyki, chodziły na różne kółka przedmiotowe, brały udział w konkursach i wspólnie się bawiły. Na przerwach słychać było głośnie rozmowy i śmiechy. Niektóre zwierzęta, takie jak lwy, gepardy i zebry, biegały po korytarzach, słonie i hipopotamy robiły sobie psikusy, a żyrafy często widziane były z książkami, które czytały w cichszych zakątkach szkoły.

Jednak pomimo swojej zwyczajności ta afrykańska szkoła miała w sobie coś rzadko spotykanego. Tym czymś, a raczej kimś, był gepard Koo – uczeń klasy piątej szkoły podstawowej, bardzo mądry, przyjazny, zabawny i ciekawy świata. Poruszał się on na wózku i dlatego nie miał w szkole zbyt wielu przyjaciół. Inne zwierzęta często pytały Koo, dlaczego porusza się na wózku. On zawsze odpowiadał, że ma pewną chorobę, która sprawia, że jego mięśnie i nogi bardzo szybko się męczą, więc nie ma siły, by samodzielnie chodzić. Możecie wyobrazić sobie, jak trudno jest być gepardem, który nie może szybko biegać, wspinać się na drzewa czy przeskakiwać przez różne przeszkody. Zdarzało się, że inne zwierzęta naśmiewały się z Koo i nie chciały się z nim bawić, ponieważ nie mógł kopać piłki

ani samodzielnie zejść po schodach. Na dodatek niekiedy trzeba było pomóc pchać jego wózek.

Również lekcje wf-u były dla Koo trudne, bo zazwyczaj tylko przyglądał się, jak inne zwierzęta ćwiczą. Niektóre z nich dokuczały w tym czasie Koo i śmiały się z jego choroby. Wtedy zawsze było mu smutno i miał ochotę płakać, ale dzielnie znosił te uszczypliwe uwagi rówieśników. I tylko czasami po szkole płakał samotnie w swoim pokoju. Nie przepadał także za starszymi gepardami, które w szkole często popychały jego wózek, przezywały go i zabierały mu rzeczy. Wtedy Koo był bardzo zły, miał ochotę krzyczeć i gryźć. W takich chwilach naprawdę nie chciał chodzić do szkoły.

Jak sami widzicie, naszemu Koo nie zawsze było łatwo w szkole. Jednak nie poddawał się pomimo różnych trudności. Duże wsparcie dawała mu pani Susie, która była antylopą i szkolnym pedagogiem. Koo zawsze mógł do niej przyjść, porozmawiać o swoich problemach i prosić o pomoc. Pani pedagog potrafiła cierpliwie słuchać i dawała świetne rady, a w swoim gabinecie zawsze miała pyszne ciasteczka. Gepard Koo lubił również swojego wychowawcę, pana Joona, który był lwem. To właśnie pan Joon zachęcił go do zapisania się do kółka muzycznego, gdzie uczył się grać na skrzypcach. Koo miał też dwóch najlepszych przyjaciół: sekretarza Po i słonia Faa. Koo zawsze mógł na nich liczyć. Pomagali sobie w trudnych sytuacjach, wspólnie się uczyli oraz spędzali czas wolny. Ich ulubionym zajęciem było sklejanie modeli samolotów oraz rzucanie piłką. To przede wszystkim przyjaciele sprawiali, że szkoła nie była dla Koo aż tak nieprzyjaznym miejscem.

Jednak pewnego dnia Koo zauważył, że jego dwaj najlepsi przyjaciele dziwnie się zachowują. Na początku nie zmartwiło go to, ale z czasem Po i Faa zaczęli go unikać i przestali zapraszać do wspólnej zabawy po szkole. W szkole też zachowywali się inaczej, coraz rzadziej siedzieli z nim na przerwach, często coś do siebie szeptali i nagle milkli, gdy gepard się pojawiał. Koo nie rozumiał, co się dzieje z jego przyjaciółmi, nie wiedział również, jak ma z nimi porozmawiać, aby dowiedzieć się, o co chodzi. Wydawać by się mogło, że rozmowa nie jest niczym trudnym, jednak Koo naprawdę się jej bał, bo co, jeśli okaże się, że Po i Faa nie będą chcieli się już z nim przyjaźnić? Kto by się chciał przyjaźnić z gepardem na wózku, prawda...?

Mijały kolejne dni, a Koo czuł się coraz bardziej samotny. Zaczął wymyślać różne wymówki, by nie chodzić do szkoły, i coraz częściej opuszczał spotkania kółka muzycznego. Dziwne zachowanie trójki przyjaciół zauważył pan Joon i pewnego dnia poprosił ich, aby zostali po lekcjach. Pan Joon naprawdę martwił się, że ta paczka przyjaciół pokłóciła się i chciał pomóc im się pogodzić. Jednak podczas tej rozmowy Koo prawie w ogóle się nie odzywał, a Po i Faa zapewniali pana Joona, że wszystko jest w porządku i nie ma powodu do zmartwień.

Tak mijały kolejne dni. Co prawda Po i Faa po rozmowie z panem Joonem znowu spędzali przerwy z Koo i pomagali mu w obowiązkach szkolnych, ale nie bawili się z nim w wolnym czasie. Bystry gepard zauważył również, że pan Joon też zaczął zachowywać się tajemniczo i coraz częściej zostawał z Po i Faa po lekcjach. To wszystko sprawiło, że Koo czuł się w szkole naprawdę źle i zamknął się w sobie.

Sytuacja naszego geparda naprawdę nie wyglądała dobrze, ale wszystko wyjaśniło się na jednej z godzin wychowawczych. To właśnie wtedy Po i Faa wraz z panem Joonem powiedzieli Koo, że mają dla niego niespodziankę na boisku szkolnym.

Koo był bardzo zdziwiony. Myślał przecież, że Po i Faa nie chcieli się już z nim przyjaźnić, więc dlaczego przygotowali dla niego niespodziankę? Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, że na szkolnym boisku stoi niewielki, fioletowy samochód.

Okazało się, że był to samochód elektryczny, który jego przyjaciele zbudowali dla niego sami, z niewielką pomocą pana Joona i starszego brata Faa. Samochód ten był zgrabny, bardzo wygodny, można było nim bezpiecznie poruszać się po szkole i domu oraz był on dopasowany do potrzeb Koo. Nasz gepard nie mógł powstrzymać też wzruszenia. Nigdy nie spodziewał się, że otrzyma TAKI prezent od swoich przyjaciół. Faa i Po byli bardzo szczęśliwi, że ich prezent podoba się Koo. Przeprosili go również za swoje zachowanie, ale chcieli, żeby samochód był niespodzianką i nie wiedzieli, jak zachować to przed nim w tajemnicy, więc zaczęli go unikać. Jednak dla Koo nie miało to już znaczenia, ponieważ miał najlepszych przyjaciół pod słońcem i swój własny, niesamowity samochód elektryczny.

Sami więc widzicie, że czasami naprawdę trudno jest różnić się od reszty, nie być przez nich rozumianym i nie móc robić tego, co oni.

Gepard Koo

Być może w takich momentach czujemy się samotni, smutni, porzuceni, nieakceptowani. Wszystkie te uczucia są na swój sposób dobre i każdy z nas musi się z nimi zmierzyć. Trzeba jednak pamiętać, że „inny” wcale nie znaczy „gorszy” i nikt nie może oceniać, ile jesteśmy warci. Gepard Koo doświadcza w szkole wielu nieprzyjemnych sytuacji i nie zawsze czuje się szczęśliwy, jednak każdego dnia uczy się, jak pokonywać trudności oraz jak prosić o pomoc. Kto wie, czym jeszcze życie go zaskoczy?

**Gdy to, co nieznane,
zaczyna przerażać**

Nie ma się czego bać

– Maaaamooooo, pomocy! – wrzasnęła mała myszka Jola.

– Kochanie, dlaczego tak krzyczysz? Co się stało? – zapytała mama, wybiegając na podwórko.

Jola cała się trzęsała. Na podwórku przed domem zauważyła pająka. Wydawał jej się ogromny i straszny. Bardzo się go bała. Zresztą od zawsze nie lubiła pajaków. Cała w strachu wyszeptała do mamy:

– Pająk... – Jola wciąż stała nieruchomo.

Jednak kiedy pająk usłyszał wrzask myszki, natychmiast schował się za drzewo. A ona podbiegła do mamy i mocno się w nią wtuliła.

– Mamo – drżącym głosem mówiła Jola – widziałas go? Był okropnie brzydki i straszny. I jaaaki duży. Okropnie się go przestraszyłam. Nie spodziewałam się go na naszym podwórku. Niech on już sobie idzie – żaliła się mała Jola.

– Kochanie – uśmiechnęła się mama – to tylko pająk Adam. Nie jest wcale taki duży. Właściwie jest mniejszy od nas. Wydawało ci się z daleka. Jest w moim wieku, a jego syn Julek w twoim. Kiedy skończą się wakacje będziecie chodzić razem do klasy. On i jego rodzice są bardzo sympatyczni. Wprowadzili się niedawno do naszej wioski. – Tłumaczyła spokojnie mama mysz.

– Cooooo?! Do szkoły?! Razem?! – krzyknęła Jola i z przerażenia aż się rozplakała. – Mamo, boję się, cała trzęsę się ze strachu. Chodźmy do domu i najlepiej nigdy z niego nie wychodzimy. Proszę.

– Jolu, uspokój się – niecierpliwiła się mama. – Nie wiem, czy zauważyłaś, ale kiedy krzyknęłaś, pająk Adam schował się za drzewo z przerażenia. Sama go przestraszyłaś.

– Naprawdę? Przestraszył się mnie? Przecież ja jestem mała i śliczna, a on, a on, on jest okropny i włochaty. To niemożliwe, żeby się mnie bał!!!

Jola rozplakała się jeszcze głośniej i czym prędzej schowała się do norki. Siedziała tam cały dzień. Mama nie rozumiała, dlaczego córka tak bardzo przestraszyła się pająka. Nie wiedziała, co zrobić, żeby Jola przestała się bać. Mama mysz martwiła się, że Jola nie będzie chciała chodzić do szkoły. Zastanawiała się, czy dobrze postąpiła, mówiąc córce, że będą chodzić razem do klasy.

Następnego dnia Myszka wciąż nie chciała wyjść z domu. Pomimo prośb rodziców i zachęty do zabawy na podwórku ze strony rodzeństwa Jola nie miała zamiaru opuścić z norki.

– On wciąż może tam być – tłumaczyła wszystkim.

Dopiero kolejnego dnia Joli zaczęło nudzić się tak bardzo, że postanowiła wyjść z domu. Najpierw niechętnie i ostrożnie, ale z czasem zapomniła o pająku i strachu. Myszka zaczęła bawić się w najlepsze. Tego dnia nie widziała pająka.

Kolejne dni Jola spędzała podobnie i całkowicie zapomniła o swoim strachu.

– Dzieeeeeeci – zawołała mama mysz wszystkich – co wy na to, żeby wybrać się na mały spacer na łąkę?

– Taaak, chodźmy, chodźmy! Zrobimy piknik – wykrzyknęły dzieci z radością.

Każdy z ochotą pakował do koszyka piknikowego swoje ulubione smakołyki. Myszka Jola włożyła tam kawałek serka żółtego, brat Joli batonika, a siostra biszkopty. Mama i tata zabrali wodę i kawałek chleba oraz grę planszową dla całej rodziny.

Szli, rozmawiali i głośno się śmiali, kiedy brat Joli opowiadał śmieszne dowcipy. Był w tym całkiem niezły. Cała rodzina uwielbiała go słuchać.

– A znacie to? Mysz idzie do lekarza... – zaczynał już kolejny dowcip, kiedy myszka Jola wydała z siebie odgłos przerażenia. Stanęła jak wryta i nie mogła się ruszyć z miejsca. Zobaczyła, że z przeciwnej strony idzie rodzina pajaków. Jola szybko odwróciła się i zaczęła biec w stronę domu. Mama mysz wytłumaczyła rodzinie pajaków, że Jola się ich boi. Państwo Pająkowie zrozumieli to i nie mieli tego za złe rodzinie myszy.

Rodzinie myszek nie udało się dotrzeć na piknik. Musieli wracać do domu, do Joli. Rodzice długo rozmawiali ze swoją córką. Tłumaczyli, dlaczego nie powinna bać się pajaków.

– Jolu, przecież nawet ich nie znasz. Kiedy uciekłaś, rozmawialiśmy z nimi chwilę. Naprawdę są mili i jest im przykro, że wzbudzają w tobie lęk. Zaproсили nas w niedzielę na przyjęcie, które organizują nad rzeką. Myślę, że moglibyśmy pójść – zachęcała mama. Będzie dużo naszych znajomych. I twoja przyjaciółka Marysia!

Jola aż pobladła:

– Mamo! Nie ma mowy – upierała się Jola. – Umarłabym ze strachu.

– Julek podobno ma wiele ciekawych książek o kosmosie. Przecież to uwielbiasz. Mógłby je przynieść i ci je pokazać. Mama pająk obiecała, że przygotuje twój ulubiony serek w sosie brokułowym.

– Mamo, naprawdę nie chcę tam iść. – stanowczo odparła mała myszka.

„Jak oni mogą prosić mnie o coś takiego? Przecież dobrze wiedzą, że tak okropnie się boję! Czy oni naprawdę nie widzą, że te pająki są obrzydliwe i straszne?” – rozmyślała mała myszka. „Ale te książki o kosmosie... Chętnie bym je zobaczyła. Ciekawe, czy ma takie jak ja. Pewnie z przyjemnością poczytałby moje czasopisma. Nie! Nigdzie z nimi nie pójde”.

Wieczorem, kiedy mama mysz szykowała stół do kolacji, Jola zeszła jej pomóc.

– Wiesz co, mamu – zaczęła Jola. – Właściwie chętnie zobaczyłabym jego kolekcję książek. Ale musisz mi obiecać, że kiedy źle się poczuje na przyjęciu, natychmiast stamtąd pójdziemy. I proszę! Nie opuszczaj mnie nawet na krok!

– Kochanie, cieszę się, że sama przemyślałaś wszystko i przyjęłaś zaproszenie. Pająkom na pewno będzie bardzo miło. Obiecuję, że wyjdziemy, kiedy tylko będziesz chciała.

Niedziela miała nadejść za dwa dni! Jola naprawdę się stresowała i myślała tylko o tym, że nie wie, czy zdoła przełamać swój lęk. Kilka razy miała ochotę zrezygnować, ale wtedy myślała o książkach o kosmosie.

Nadeszła niedziela. Cała rodzina myszek była już gotowa na przyjęcie u pajaków. Jola także. Przez całą drogę nad rzeką bardzo mocno trzymała rękę mamy. Kilka razy ze strachu napływały jej do oczu łzy. Mama jednak uśmiechała się i dodawała jej otuchy.

Kiedy doszli na miejsce, pająk Adam przedstawił Joli swojego synka Julka. Julek w najlepsze bawił się ze swoimi kolegami i pokazywał

Nie ma się czego bać

książki o kosmosie. Jola jeszcze przez chwilę nie puszczała ręki mamy, aż podeszła do nich Marysia – przyjaciółka Joli.

– Jola! Julek ma świetne książki o kosmosie. Na pewno ci się spodobają! – Marysia chwyciła Jolę za rękę i pobiegły w stronę Julka.

Jola spojrzała na mamę, żeby sprawdzić, czy ta ich obserwuje. Mama nie spuszczała Joli z oka, tak jak jej obiecała.

Julek pokazał Joli swoje książki, a ta nawet nie zauważyła, że już się go nie boi. Obiecała mu nawet, że kiedyś pokaże mu swoje czasopisma.

Dzięki mamie Jola zrozumiała, że nie było się czego bać i najpierw powinno się kogoś dobrze poznać, ponieważ ten ktoś może okazać się naszym najlepszym przyjacielem!

Frania i bolący ząbek

Ten poranek był dla wiewiórki Frani niezwykle ciężki. Okropny ból zęba sprawił, że biedna wiewióreczka prawie nie zmrużyła w nocy oka. Na szczęście mogła liczyć na wsparcie swojej mamy i ukochanego misia.

– Franiu, czy masz siłę iść dzisiaj do przedszkola? – spytała zmarzwiona mama wiewiórka.

– Tak, mam. Dzisiaj w przedszkolu ważny dzień, a do tego muszę opowiedzieć Wojtkowi o moim zębie! – odparła Frania.

– Dobrze, malutka. Tylko pamiętaj, że będę musiała cię dzisiaj wcześniej odebrać, bo mamy wizytę u pani dentystki.

Franię aż zmroziło. Nie chciała się przyznać przed mamą, że bardzo boi się wizyty u dentysty. Nigdy wcześniej wiewióreczka nie miała problemów z zębami i nie musiała chodzić do takiego specjalisty. Nie miała pojęcia, co może ją tam czekać i najważniejsze – czy to będzie bolało?

W przedszkolu Frania siedziała cichutko przy stoliku. Nie miała ochoty na zabawę klockami, misiami ani nawet lalkami. Z każdą chwilą bała się coraz bardziej i właśnie w tym momencie, kiedy trzy napływały jej do oczu, przybiegł do niej jej przyjaciel Wojtek.

– Franiu, a czemu ty jesteś dzisiaj taka smutna i w ogóle się ze mną nie bawisz? – zapytał Wojtek.

– Och, przyjacielu, myślę, że tobie mogę wyjawic mój straszny sekret – odparła Frania.

– Ojej, co się stało? – zapytał zaniepokojony Wojtek.

– Całą noc bolał mnie ząbek i muszę iść dzisiaj do pani dentystki – zaszlochała Frania.

Wojtek uśmiechnął się, usiadł obok przyjaciółki i zapytał:

– Ale dlaczego jesteś z tego powodu smutna? Przecież pani dentystka zrobi wszystko, żeby ci pomóc!

– Naprawdę? A ty już byłeś na takiej wizycie? – zapytała Frania.

– No pewnie! Mnie też kiedyś bardzo bolał ząb i nie mogłem przez to jeść swoich ulubionych orzeszków. Zauważył to wtedy mój tata i wytłumaczył mi, że musimy pójść do dentysty – odparł Wojtek.

– Bateś się? – zapytała Frania.

– Na początku tak, ale szybko zrozumiałem, że nie trzeba było! Pani dentystka była bardzo miła i miała na sobie taki kolorowy fartuszek w kwiaty. Na twarz założyła specjalną maseczkę, która też była kolorowa. Zanim pokazałem pani dentystce ząbki, ona pozwoliła mi obejrzeć swój gabinet. Franiu, nawet sobie nie wyobrażasz, ile tam jest ciekawych rzeczy! – zawołał zachwycony Wojtek.

– Och, opowiedz mi o nich! – poprosiła podekscytowana Frania.

– Na ścianach wiszą kolorowe plakaty z pięknie uśmiechniętymi zwierzakami, na półkach ułożone są różne maskotki w kształcie zębów, ale największe wrażenie zrobił na mnie ogromny fotel, który znajdował się na samym środku gabinetu! Och, jaki on był wygodny. Kiedy tam usiadłem, pani dentystka uniosła mnie na nim do góry. Potem pokazała mi, jak działają różne, specjalistyczne narzędzia. Jednym mnie nawet ochlapała! – zaśmiał się Wojtek.

– Wojtek, Wojtek, i co tam jeszcze było?! – dopytywała Frania.

– Och, Franiu, przecież nie mogę powiedzieć ci wszystkiego! Sama zobaczysz, jak odwiedzisz panią dentystkę. Ale nie powiedziałem ci najważniejszego... – powiedział tajemniczo Wojtek.

– No mów, mów! – niecierpliwiła się Frania.

– Na koniec wizyty pani dentystka dała mi kolorową pastę do zębów i naklejkę, na której napisane było „dzielny pacjent”. Była ze mnie naprawdę dumna. Zresztą tata też. On cały czas mógł ze mną być i trzymać mnie za rękę – odparł z uśmiechem Wojtek.

– To ja naprawdę nie mam się czego bać! Teraz nie mogę się już doczekać, aż mama zabierze mnie do pani dentystki! Ja też będę dzielna i dostanę naklejkę! – wykrzyknęła Frania.

– Na pewno, Franiu. A najważniejsze, że przestanie cię boleć ząb – powiedział Wojtek.

– Może narysujemy teraz gabinet pani dentystki? Mam nadzieję, że zdążymy, zanim przyjdzie po mnie mama – zaproponowała Frania.

Frania i bolący ząbek

– No pewnie. A jutro to ty opowiesz mi o swojej wizycie u pani dentystki – zaproponował Wojtek.

– Och tak! Już nie mogę się doczekać – odparła Frania.

Przyjaciele szybko pobiegli po kredki, kartki papieru i zaczęli rysować. A wiewióreczka Frania nie bała się już wizyty u pani dentystki. Dzięki opowieściom i doświadczeniom swego przyjaciela wiedziała już, co ją czeka, że pani dentystka jest bardzo miła i chce jej tylko pomóc. Z niecierpliwością oczekiwała więc swojej mamy.

Kto mieszka w Srebrnym Lesie?

Daleko, daleko stąd, w odległej krainie jest dziwny las. Rosną w nim niezwykle drzewa, których liście mienia się precudnymi kolorami. Każde z drzew ma w swoim pniu po kilka małych otworków w kształcie gwiazdek, które za dnia błyszczą w słońcu, a nocą srebrzą się w blasku księżyca. Nie tylko to jest niesamowite w tym lesie. Wszystkie rośliny, które w nim rosną, drzewa, krzewy, trawa i polne kwiaty, wszystkie oplecione są cieniutką, prawie niewidoczną srebrną nicią. Gdy zawieje wietrzyk lub przelatujący nad lasem ptak czy owad zerwie choćby najmniejszą srebrną nitkę, w jednej chwili w jej miejsce w tajemniczy sposób pojawia się nowa. Nikt nie wie, jak to się dzieje, ale z tego powodu miejsce to nazywane jest Srebrnym Lasem. Na skraju tajemniczego lasu stoi wielki dom. Dom ten cały jest z czerwonej cegły i pokryty jest czerwonym dachem. Ma wielkie okna i wysoki czerwony komin. Pewnie myślicie, że jest opuszczony? Wcale tak nie jest. W domu tym mieszka przemiła rodzina elfów. Mama, tata i dwoje dzieci: Lenka i Leoś. Elfy mają małe skrzydełka i duże spiczaste uszy, potrafią latać i pięknie śpiewać. Chłopiec ma zadarty nosek i piegowaną buzię. Dziewczynka ma brązowe oczy i kręcone ciemne loczki. Leoś całymi dniami bryka w przydomowym ogródku albo chowa się w domu w przeróżnych zakamarkach. Natomiast Lenka jest bardzo ostrożna. Nie wchodzi w ciemne, wąskie miejsca i nie zapuszcza się w krzaki rosnące przy domu.

Cała rodzina jest bardzo dumna z tego, że ich dom stoi tak blisko przepięknego Srebrnego Lasu. Wieczorami mama i tata uwielbiają unosić się nad lasem, a dzieci latają wtedy na swoich małych skrzydełkach wokół rodziców, raz po raz urywając po kawałeczku delikatnych, srebrnych niteczek, zwisających z dziwnych kolorowych

drzew. Jednak w ciągu dnia każdy członek elfiej rodziny jest zajęty swoimi sprawami.

Pewnego dnia Leoś powiedział do Lenki:

– Dość już mam tego, że muszę sam się bawić i wałęsać po tych wszystkich zakamarkach. Pobaw się ze mną w chowanego!

– Nie, Leosiu, nie chcę z tobą brykać po krzakach i ciemnych zakątkach domu. Wolę zająć się czymś innym. Mam mnóstwo innych, interesujących zajęć.

– Nieprawda! – odpowiedział Leoś, uśmiechając się kpiąco. – Wiem, że nie robisz nic ciekawego, tylko po prostu siedzisz na tej swojej ławce i boisz się, że w krzakach lub w domu spotkasz pająka! Widziałem kiedyś, jak uciekałaś z łazienki tylko dlatego, że za szafką z ręcznikami siedział malutki pajaczek! Tak! Tak! Boisz się i dlatego nie chcesz się ze mną bawić!

– Nie, nie boję się i już! Wcale, że nie! – krzyknęła Lenka i z płaczem pobiegła na koniec ogrodu.

Usiadła na ławeczce i cichutko płakała. Wtem znad Srebrnego Lasu nadleciała kolorowa wróżka. Zobaczyła płaczącą na ławeczce Lenkę. Przysiadła na polnym kwiatku, który rósł obok, i zapytała:

– Co się stało? Dlaczego płaczesz?

– Nie powiem ci, wróżko, bo będziesz się ze mnie śmiała – chlipnęła Lenka.

– Lenko, kolorowe wróżki nigdy się z nikogo nie śmieją. Za to potrafią pomóc w wielu kłopotliwych sytuacjach. Kolorowe wróżki potrafią wyczarować wiele różnych rzeczy. Jeśli powiesz mi, co cię tak smuci, spróbuję ci pomóc.

– Bardzo chciałabym, tak jak Leoś, bawić się w zakamarkach naszego domu albo włazić, tak jak on między gałęzie..., ale... Leoś ma rację! Bardzo boję się, że podczas takiej zabawy spotkam pająka, a on mnie ugryzie!

Wróżka spojrzała ze zrozumieniem na Lenkę, pogłaskała ją po głowie i powiedziała:

– Nie płacz już, Lenko, nie płacz. Wiem, co trzeba zrobić. Dzisiaj wieczorem przyjdź do łazienki, w której stoi szafka z ręcznikami. Nie bój się, będę tam na ciebie czekała. Pokażę ci coś ciekawego.

Całe popołudnie Lenka zastanawiała się, czy posłuchać kolorowej wróżki. Wieczorem, mimo tego, że bardzo się bała, ostrożnie, na paluszkach weszła do maleńkiej łazienki. Rzeczywiście kolorowa

wróżka siedziała na skraju wanny i czekała na Lenkę. W ręku trzymała wielkie różowe okulary.

– Cieszę się, Lenko, że przyszedłeś. Mam dla ciebie pewną rzecz – powiedziała wróżka i podała Lence okulary.

– Ojej! Są śliczne, ale... kolorowa wróżko! One nie sprawiają, że przestanę bać się pajaków, które czyhają na mnie za szafką! Popatrz! O! Tam! Widzisz? Jeden już skrada się w naszą stronę!

Wtedy wróżka założyła okulary na nos Lenki i odsunęła delikatnie szafkę z ręcznikami. Lenka zobaczyła mieniące się kolorowe listki i płataninę srebrnych nitek, taką samą, jaką spowity był Srebrny Las.

– Ojej! – wykrzyknęła. – Co to?

– Patrz dalej, Lenko – powiedziała kolorowa wróżka.

Wtedy spomiędzy niteczek zamiast pajaka zaczęło przebłyskiwać leciutkie światełko w kształcie gwiazdki. W tej samej chwili Lenka usłyszała cichutki głos.

– Nie bój się. Jestem mieszkańcem Srebrnego Lasu. Na co dzień dbam o to, by Srebrny Las mógł zawsze być taki niesamowity. Ale czasem chcę troszkę odpocząć od tkania srebrnej nici, wtedy przychodzę właśnie do twojego domu. Lubię patrzeć, jak wygląda życie małych elfów. Przyglądam się, jak wesoło się bawicie i beztrosko biegacie. Zawsze, gdy mnie zobaczysz, załóż szybko różowe okulary, one przypomną ci, że nie jestem dla ciebie groźny i nie zrobię ci krzywdy. Jeśli tylko pozwolisz mi co jakiś czas chwilkę posiedzieć za twoją szafką z ręcznikami, zostaniemy przyjaciółmi.

– Dobrze! Zgadza się! – powiedziała zachwycona Lenka.

– Bardzo się cieszę! – odrzekł tajemniczy mieszkaniec Srebrnego Lasu i zamigotał jak mała świecąca gwiazdeczka. – Do zobaczenia!

Następnego dnia Leoś bardzo się zdziwił, gdy Lenka sama proponowała zabawę w chowanego. Zapytał:

– Już nie boisz się pajaków?

– Prawie wcale! Wczoraj odwiedziła mnie kolorowa wróżka, dostałam od niej wspaniały prezent – różowe okulary. Zakładałam je na nos, zawsze gdy widzę siedzącego za szafką pajaka. Teraz już wiem, że to jeden z mieszkańców naszego Srebrnego Lasu. Pajaczki-gwiazdeczki mieszkają w gwiazdeczkowych otworkach w pniach drzew. Czy wiesz, że to one sprawiają, że nasz las jest taki wyjątkowy?

Kto mieszka w Srebrnym Lesie?

– Ojej! – wykrzyknął Leoś. – Właśnie tak myślałem! Od dawna podejrzewałem, że Srebrny Las nie bez powodu jest taki tajemniczy i nie bez powodu właśnie my mieszkamy tak blisko niego.

– Właśnie! – pokiwała głową Lenka. – Okulary przypominają mi o tym, że pajęczki przychodzą do nas tylko na chwilę, przyjrzeć się temu, jak mieszkamy i jak się bawimy, a potem wracają do Srebrnego Lasu, bo mają tam mnóstwo pracy i bardzo ważne zadania do wykonania.

Od tej pory Lenka i Leoś w ciągu dnia bawią się w chowanego, a wieczorami siadają na ławeczce w ogrodzie i patrzą na Srebrny Las otulony delikatną, srebrną mgiełką. Co jakiś czas z lasu wesoło mruga do nich gwiazdeczka. A Lenka już nie boi się pająków, bo wie, że przecież one mają swoje sprawy i swój własny srebrny świat.

Pokoik królisia

Króliś odliczał dni, kiedy w końcu jego nowy pokoik zostanie urządzony. Nie mógł się doczekać i codziennie pytał rodziców:

– Mamoo, tatoo! Czy mój pokój jest już gotowy?

Króliś miał już cztery lata i czuł, że jest już wystarczająco duży, żeby mieć własny pokój. Nie chciał już spać u rodziców.

Tata królisia był bardzo zapracowany, ponieważ nadchodziła zima i musiał się zajmować gromadzeniem zapasów. Jednak mama królisia poprosiła go, aby w sobotę zajął się pokojem ich synka. Pokoik był niewielki, znajdował się tuż obok sypialni rodziców.

W piątek po południu, kiedy króliś wrócił z przedszkola, mama powiedziała, że mają do wykonania bardzo ważne zadanie. Króliś dopytywał:

– Mamo, mamo, co takiego będziemy robić? Czy to będzie coś pysznego? A może... wiem! Będziemy budować bazę pod stołem?

Króliś był tak podekscytowany, że nie mógł skupić się na jedzeniu swojej ulubionej zupy marchewkowej. Mama próbowała go uspokoić i obiecała, że wszystko mu opowie, kiedy skończy zupę. Gdy króliś zjadł obiad, mama oznajmiła mu:

– Kochanie, postanowiliśmy z tatą, że urządzimy ci pokoik obok naszej sypialni, tam, gdzie na razie jest składzik. Naszym zadaniem teraz jest posprzątanie wszystkich rzeczy, tak, aby jutro tata mógł pomalować pokój i ustawić twoje nowe mebelki.

Króliś wprost nie mógł uwierzyć, że w końcu jego marzenie o własnym pokoju się spełni! Wprawdzie nie przepadał za sprzątaniem, ale tym razem pomagał mamie z uśmiechem. Nosił pudełka, nawet te ciężkie, ścierał kurze, a nawet chciał pomóc umyć okno, ale mama stwierdziła, że lepiej będzie, jak ona to zrobi. Po dwóch godzinach pokój nie przypominał już składziku, był czysty i pachnący, gotowy

do remontu. Króliś był zmęczony, ale bardzo szczęśliwy, i chciał szybko zasnąć, żeby jak najszybciej zaczęła się sobota.

Z samego rana króliś zerwał się na równe nogi i wskoczył do łóżka śpiących jeszcze rodziców.

– Mamo, tato, wstawajcie, czas na remont!

– Już wstajemy, synku – z uśmiechem odpowiedziała mama.

– No dobrze, idę, już idę – odpowiedział tata, któremu króliś tak skotał stopy, aby szybciej wyszedł z łóżka.

Mama przygotowała śniadanie, a króliś z tatą zastanawiali się nad kolorem ścian w pokoju.

– Chciałbym, żeby mój pokój był zielony, a jedna ściana niech będzie w marchewki! Chciałbym też mieć pomarańczowe łóżko – oznajmił maluch.

– No dobrze, spróbujemy to zrobić – tacie bardzo spodobał się pomysł synka.

Króliś wraz z rodzicami wyruszyli na zakupy. Udało im się kupić wszystkie niezbędne rzeczy. Po powrocie natychmiast zabrali się do pracy. Króliś dzielnie pomagał rodzicom. Wieczorem jego pokój był gotowy. Króliczek był zachwycony. Musiał tylko odczekać jedną noc, aby wszystko porządnie wyschło i mógł przeprowadzić się do swojego pokoju.

W niedzielę króliś miał już samodzielnie spać w swoim nowym pokoju i łóżku. Z jednej strony bardzo się cieszył, a z drugiej – trochę się obawiał, jak to będzie bez rodziców. Kiedy już był wykąpany i przebrany w piżamę, poszedł z mamą do pokoju i położył się do łóżka. Mama przeczytała mu bajkę przed snem, ucałowała w czołko, jak to zwykle robiła, zgasiła światło i wyszła. Króliś poczuł się dziwnie. Nagle zrobiło się ciemno, ale szybko zamknął oczy i po kilku chwilach usnął. W nocy malec przebudził się i bardzo się wystraszył. Księżyc mocno świecił, a w jego pokoju na ścianie odbijały się dziwne cienie zza okna. Króliś przestraszył się ich tak bardzo, że pobiegł z płaczem prosto do sypialni rodziców. Mama i tata obudzili się i próbowali pocieszyć synka. Kiedy króliś się uspokoił, powiedział:

– Ja już nie chcę spać sam, w moim pokoju mieszkają jakieś straszne cienie. Dziś już tam nie wracam. Czy mogę spać z wami?

– Dobrze, kochanie – odpowiedzieli rodzice i synek znów spał w ich sypialni.

Przez kilka kolejnych nocy sytuacja się powtarzała, króliś próbował przezwyciężyć swój strach, ale te cienie wydawały mu się bardzo groźne i w końcu zupełnie nie chciał spać sam w swoim pokoju.

Mama z tatą postanowili porozmawiać z króliczkiem.

– Królisiu, zobacz, co dla ciebie mam – powiedział tata.

– Co to takiego? Marchewka, ale taka dziwna – stwierdził króliś.

– To lampka nocna w kształcie marchewki. Będzie się świeciła całą noc, żebyś nie musiał już więcej się bać. Może dziś będziemy razem spać w twoim pokoju? Co ty na to? – zapytał tata.

Króliś nie był przekonany, że lampa pomoże mu przezwyciężyć lęk, ale to nie była zwykła lampa. To była piękna pomarańczowo-zielona lampa w kształcie jego ulubionej marchewki. W dodatku miał z nim być tata. Króliś zgodził się i kiedy nadeszła pora spania, poszedł z tatą do pokoju. Razem podłączyli lampkę nocną i króliś położył się do łóżka. Tata przeczytał synkowi bajkę. Króliśowi bardzo podobało się pomarańczowe światełko, a tata wyjaśnił mu, że te cienie, które widzi, to odbijające się w świetle księżyca gałązki. One wcale się do niego nie zbliżają, tylko poruszają się na wietrze. Razem z tatą przez chwilę im się przyglądali, aż króliś zasnął.

Od tamtej pory króliczek zasypiał sam w swoim pokoju, a jego ulubioną czynnością przed pójściem spać było włączanie lampki nocnej. Nauczył się także, że jeśli czegoś się boi, to warto o tym powiedzieć rodzicom lub komuś bliskiemu, bo nie zawsze to, co wydaje się straszne, w rzeczywistości jest takie.

O Iwie Leonie, który bał się samotności

W gorącej Afryce, na słonecznej sawannie, żyła sobie Iwica Lora. Miała dwójkę dzieci, którym dała imiona: Leon oraz Sedi. Od samego początku rodzeństwo bardzo się od siebie różniło, nie tylko wyglądem, ale również charakterem. Jedno było całkowitym przeciwieństwem drugiego. Co prawda Leon był prawie o połowę większy od siostry, ale za to Sedi była odważniejsza od brata, który bał się samotności.

Pewnego dnia Lora powiedziała do dzieci:

– Kochane moje urwisy, wybieram się na polowanie, żebyśmy mieli co zjeść na kolację. Bardzo proszę, dbajcie o siebie nawzajem i nie oddalajcie się za daleko od domu – przestrzegała mama. – Sedi, uważaj na brata i nie zostawiaj go samego. Kocham was bardzo! Pa, pa!

– Dobrze, mamó, będziemy grzeczni – powiedziało zgodnie rodzeństwo.

Kiedy tylko mama wyruszyła w drogę, Sedi pokręciła ogonem i czmychnęła na zewnątrz. Nie zważając na prośby mamy, zostawiła brata samego. Nie chciała się już z nim bawić, bo znudziły jej się zabawy, które proponował brat. Pragnęła pobawić się z innymi znajomymi w coś nowego.

– Sedi, przecież mama prosiła, żebyś mnie samego nie zostawiała i bawiła się razem ze mną – wołał przestraszony Leon, lecz Sedi go nie słuchała i pobiegła szybko do kolegów.

I tak właśnie ziścił się największy lęk Iwa Leona. Został sam w domu. Poszedł przestraszony do swojego pokoju, ułożył się na swojej poduszce i trząsł się cały ze strachu. Nie pomogło nawet to, że obok Leona leżał jego ulubiony miś – Przytulak. Nagle na ścianie Leon zobaczył cień wielkiego stworzenia z zaokrąglonymi uszami.

O lwie Leonie, który bał się samotności

– Kiiiimm jeeesteś? – krzyknął przerażony Leon.
– Mam na imię Nora – odparł piskliwy głos i nagle zniknął z pola widzenia lwa.

Przestraszony Leon obrócił się gwałtownie i zapytał:

– Gdzie uciekałeś?
– Nie uciekałam, podeszłam do ciebie bliżej, tutaj jestem, spójrz na dół.

Leon wykonał polecenie przybysza i szybko okazało się, że ten duży stworek, który go odwiedził, był w rzeczywistości małą myszką. Okazało się, że Nora, tak jak jego mama, wyruszyła na poszukiwanie jedzenia dla gromadki swoich dzieci, lecz jaskinia, w której mieszkały lwy, okazała się złym tropem i myszka nie znalazła w niej żadnego jedzenia. Chciała udać się na dalsze poszukiwania, lecz Leon ją zatrzymał.

– Nora, proszę zostań ze mną do powrotu mojej mamy – poprosił ją Leon.

– Nie mogę z tobą zostać, bo ja także zostawiłam swoje dzieci – odpowiedziała myszka.

– Bardzo proszę, nie zostawiaj mnie, moja mama na pewno zaraz wróci, a ja bardzo boję się samotności – piskliwym głosem powiedział Leon.

– Skoro boisz się samotności, to dlaczego mama nie zorganizowała ci jakiejs opieki? – dopytywała myszka.

– Mama zostawiła mnie z siostrą i mieliśmy się bawić razem, ale ona już miała tego dość i pobiegła bawić się z innymi. Sedi wie, że bardzo się boję, a mimo to zostawiła mnie samego.

– A nie próbowałeś jakoś temu zaradzić?

– Nie, bo mama doskonale wiedziała, że boję się samotności i nigdy nie zostawiała mnie samego. Zawsze, kiedy wyruszała na polowanie, zostawialiśmy z Sedi razem. Teraz ona pobiegła z innymi, a ja zostałem sam – ze smutkiem odpowiedział lew.

– Posłuchaj, ja swoim dzieciom zawsze tłumaczę, że jak się czegoś boją, to muszą znaleźć sposób, aby sobie z tym strachem poradzić.

– A mnie też możesz doradzić jakiś sposób? – zapytał zawstydzony swoim problemem Leon.

– Hmm... pomyślmy. Co lubisz robić najbardziej? – zapytała myszka.

– Bawić się z moją siostrą i przytulać się do mamy.

– A coś oprócz tego?

O lwie Leonie, który bał się samotności

– Raczej nic – odpowiedziało ze smutkiem lwiątko.
– No dobrze, spróbuję pomóc ci znaleźć rozwiązanie twojego problemu. Wiem! Umiesz już ryczeć?

– Tak, umiem! – odpowiedział i głośno zaryczał Leon, a raczej wydał z siebie ciche „roar” i lekko się tym zawstydził.

Myszka, gdy to usłyszała, już wiedziała, jak pomóc swojemu nowo poznanemu koledze. Zaproponowała mu, aby poćwiczył ryczenie.

– A zostaniesz ze mną do powrotu mamy lub siostry? – dopytywał Leon.

– Tak, zostanę – odparła myszka i zachęciła lwa do ćwiczeń.

Leon zabrał się natychmiast do zadania. Tak mu się spodobało, że nie zauważył nawet, kiedy Nora go opuściła i pobiegła szukać jedzenia dla swoich dzieci. Kiedy zorientował się, że znów został sam, poczuł ogromny lęk, ale tym razem postanowił zmierzyć się z nim sam i za radą myszki dalej ćwiczył ryczenie. Po kilku chwilach ćwiczeń Leon zapomniał o samotności, a nawet doszedł do wniosku, że nie jest ona taka straszna, o ile nie trwa zbyt długo. Ćwiczył tak aż do powrotu mamy. Gdy Lora wróciła do domu i zobaczyła, że Leon jest sam, przestraszyła się, bo zastała tylko jedno dziecko. Synek bardzo się ucieszył na widok mamy i opowiedział jej, jak Sedi go zostawiła, i o swoim gościu, który pomógł mu pokonać strach. Poprosił też, aby mama nie gniewała się długo na siostrę, bo dzięki temu miał okazję zmierzyć się ze swoim lękiem. Leon od tej pory już wie, jak radzić sobie z własnym strachem. Bycie samemu nie sprawia mu już takiego problemu jak wcześniej, ponieważ pamięta o radzie myszki i szuka sobie zajęcia, by zapomnieć o tym, że został sam.

Krzyś i niespodzianka z szafy

Krzyś był dzielnym przedszkolakiem, który uwielbiał samochody, a w szczególności wozy strażackie. Marzył o tym, żeby w przyszłości zostać strażakiem tak jak jego ukochany tata! Krzyś nie bał się wysokości, bardzo lubił pomagać innym i pragnął być bohaterem dla swoich rodziców i dziadków. Uwielbiał także bawić się i spędzać czas z przyjaciółmi z przedszkola. Lecz kiedy zbliżał się wieczór i ciemność ogarniała świat, Krzyś zaczynał czuć się nieswojo. Musiał włączyć w pokoju światło, wszystko wydawało nagle dźwięki, a za oknem czały się dziwne cienie. Mimo światła ulubionej lampki Krzysio trudno było zasnąć – miał wrażenie, że w ciemności czekają na niego duchy i potwory, brrrr!

– Jesteś bezpieczny w swoim pokoju, kochanie – uspokajała mama, całując chłopca na dobranoc. – Twoje samochody oraz miś są z tobą, a ja z tatą śpimy za ścianą. Wszystko będzie dobrze!

Po wyjściu mamy Krzyś długo wiercił się w łóżku – przewracał się z jednego boku na drugi, poprawiał poduszkę i niepewnie rozglądał się po pokoju. Tutaj, gdzie spał, na szczęście było jasno dzięki lampce, ale co czało się przy zabawkach? Albo przy klockach?

Nagle Krzyś usłyszał szelest dochodzący z szafy. Niepewnym krokiem wstał z łóżka i podszedł do niej, aby następnie otworzyć ją pewnym ruchem. Z głębi szafy patrzyła na niego para dużych, błękitnych oczu! Chłopiec szybko zamknął szafę i schował się pod kołdrę! O nie, dzisiaj już spod niej nie wyjdzie! To na pewno był potwór! I... miał ogromne oczy! I będzie chciał go zjeść!

– Chlip, chlip... – Krzyś usłyszał cichy płacz dobiegający z szafy.

Postanowił jeszcze raz do niej podejść, wcześniej zabierając z komody małą latarkę. Krzyś ostrożnym krokiem zbliżył się do szafy, delikatnie ją otworzył i zaświecił latarkę.

– Aaaa!

Zaraz, lecz to nie był krzyk Krzysia! Należał on do dziwnego, małego stworka, który siedział na dnie szafy! Wyglądał jak malutka, okrągła kuleczka z parą błękitnych oczu! Miał też malutkie, patyczkowate ręce i nogi!

– O n...nie! To ś...światło! Wyłącz je! P...proszę! – pisnęła kuleczka, próbując schować się za pudełkiem z butami.

– Ale dlaczego? B...bez niej będę się bał... – Krzyś odsunął się delikatnie od szafy, cały czas patrząc niepewnie na niespodziewanego gościa.

– Ś...światło jest takie straszne! Przez nie nic nie widzę w ciemności! – odparł stworek.

– Światło? Straszne? Dzięki niemu wszystko widać! – zdziwił się chłopiec. – To ciemność jest taka straszna, dlatego mam latarkę!

– To dziwne... – powiedziała kuleczka, wychylając się zza pudełka z butami. – Pierwszy raz spotykam kogoś, kto nie boi się światła! Ja, moi rodzice i siostra widzimy tylko w ciemności. I... nie lubimy światła... Kim jesteś?

– Nazywam się Krzyś. I... mam podobnie jak ty! Tylko wolę, gdy jest jasno, bo w ciemności cały czas się o coś potykam i boję się, że zaraz spotkam jakiegoś potwora!

– Potwory? Gdy jest ciemno? Niemożliwe! – zdziwił się stworek. – Nazywam się Marek Kuleczka i daję ci słowo, Krzysiu, że w nocy jest spokojnie, cicho i pięknie! Widać księżyc, można się zrelaksować i nigdy nie spotkałem potwora. Przysięgam!

– Naprawdę? Dzięki! – Krzyś się uśmiechnął, a następnie zbliżył się do szafy, tym razem nie świecąc Kuleczce po twarzy latarką. – Ale co tutaj robisz? Pierwszy raz cię widzę w szafie.

Nagle Marek się zasmucił, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Ja... ja... się zgubiłem. Byłem z mamą na nocnym spacerze, aby pooglądać księżyc, lecz oddaliłem się od niej i znalazłem się tutaj... A w ciągu dnia było zbyt strasznie i zbyt jasno, aby wyjść...

– Twoja mama musi się bardzo martwić! Zaprowadzę cię do niej! Ale gdzie ty mieszkasz?

– W tej piwnicy, tam jest ciemno, miło i przytulnie, uwielbiam spędzać w niej czas! Naprawdę mi pomożesz? – Marek nie dowierzał słowom chłopca, ale patrzył na niego z nadzieją.

– Tak! Strażacy zawsze pomagają innym! – Krzyś posadził Marka Kuleczkę na ramieniu, wziął do ręki latarkę i odważnym krokiem ruszył przed siebie. – Zaświecę światło na korytarzu, by lepiej widzieć. Nie martw się, jestem z tobą, Marku!

Na początku Kuleczka złął się i złapał mocniej ramienia Krzysia. Z każdym krokiem chłopca czuł się jednak pewniej i bezpieczniej, gdyż Krzyś szedł powoli i opowiadał o zdjęciach na ścianie i o pięknych kwiatkach mamy w kolorowych doniczkach.

– To... nie było takie straszne – powiedział nieśmiało Marek, gdy znaleźli się przy drzwiach do piwnicy. – Ale mam prośbę, czy mógłbyś mnie znieść po schodach? Są zbyt wysokie na moje krótkie nóżki... To mama zawsze mi pomagała po nich wchodzić i schodzić.

Chłopiec pokiwał głową na „tak”, lecz nagle poczuł się niepewnie – nie mógł dosięgnąć włącznika światła! I co teraz? Tam było tak... ciemno! Ale musiał pomóc koledze!

– Krzysiu, chociaż bałem się światła na korytarzu, to pomogłeś mi przejść i pokonać strach! Na pewno uda ci się zejść – ja widzę w ciemności, a ty masz latarkę. Poradzimy sobie!

Krzyś zaufał nowemu przyjacielowi, włączył latarkę i powolnym krokiem zaczął schodzić po schodach do piwnicy. Mimo że było ciemno i widział tylko swoje stopy, to nie bał się tak bardzo. Na ramieniu miał przyjaciela, który pomagał mu zejść. Krzyś czuł się jak prawdziwy strażak, który pomaga innym – i był z siebie dumny!

– Dziękuję ci, Krzysiu! Jesteś moim bohaterem! – cieszył się Marek Kuleczka.

Wracając do pokoju, Krzyś nie zapalił już światła na korytarzu ani nie czuł potrzeby pójścia do rodziców. Ciemność nie wydawała mu się już tak straszna jak wcześniej – dzięki niej poznał nowego, wyjątkowego przyjaciela! Przyjaciela, który tak samo jak on, czegoś się bał. Lecz podczas tej wyjątkowej przygody pomogli sobie nawzajem i pokonali obawy. Krzyś czuł się wspaniale i nie mógł się doczekać kolejnego spotkania z Markiem – nawet jeśli będzie ciemno.

Kangur Dylan

Urodziłem się w Australii. To duży kontynent na południu... Wiesz, że tylko tam naturalnie żyją kangury? Ja jestem jednym z nich, tak jak moja mama Jessie i tata Sam.

Mama opowiadała mi, że kiedy się urodziłem, miałem tylko trzy centymetry długości! Dorastałem w torbie, którą moja mama ma na brzuchu. Byłem taki maleńki, że mama zastanawiała się, czy nie dać mi na imię Okruszek, ale ponieważ wszystkie kangurki rodzą się takie małe, uznała, że nie każdy powinien mieć takie samo imię.

Baaardzo długo roستم, żeby móc wyrzeć z tej torby na świat. Kiedy jednak już byłem na tyle duży, żeby z niej wyjść, bałem się wszystkiego, co mnie otaczało. Czułem się bezpieczny tylko w torbie, przy mamie...

Kiedy zobaczyłem jakieś zwierzęta, chciałem się z nimi pobawić, ale one nie chciały bawić się ze mną... Mówiły, że chętnie by to zrobiły, ale musiałbym do nich wyjść, a bardzo tego nie chciałem.

Raz był to miś, który siedział na drzewie. Mama powiedziała, że to koala. Był taki ładny, ale tylko siedział na drzewie i ciągle jadł. Później poszliśmy z mamą nad rzekę. Zobaczyłem tam straszne zwierzę! Było ogromne i absolutnie niesympatyczne. Mama wytłumaczyła, że to krokodyl i nie wolno się do niego zbliżać, bo może mnie zjeść. Poznałem też psa dingo. On też nie chciał się ze mną bawić... W końcu zobaczyłem strusia i byłem nim zachwycony! Niestety... Kiedy zobaczył mnie i moją mamę, od razu schował głowę w piasek...

Po pewnym czasie spotkaliśmy drugą mamę z małym kangurkiem w torbie. Za namową mamy wyszedłem do niego. Zaczęliśmy się bawić, bardzo spodobało mi się, że w końcu spotkałem kogoś w moim wieku. Kangurek miał na imię Karol, czy to nie wspaniałe

imię?! Po zabawie wszedłem do torby mamy i wróciliśmy do domu. Po drodze mama powiedziała do mnie:

– Wiesz, kochanie... Jesteś już na tyle duży, że niedługo będziesz mógł opuścić torbę na zawsze.

Bardzo się wtedy przestraszyłem.

– Ale jak to na zawsze? Przecież dookoła jest tyle niebezpieczeństw...

Mijały dni, a ja ciągle myślałem o tym, jak sobie poradzę. Pewnego dnia znowu spotkaliśmy Karola. Zdziwił się, kiedy zobaczył, że dalej jestem w torbie mamy. Na szczęście nie śmiał się ze mnie, tylko zachęcił, żebym razem z nim sobie pokicał. Po wspólnej zabawie zdecydowałem, że to jest ten dzień, kiedy nie chcę już wracać do torby. Nie bałem się aż tak bardzo. Zaczynałem poznawać inne zwierzęta. Z niektórymi się zaprzyjaźniłem i bawiłem.

Pewnego razu wybrałem się samotnie nad rzekę i chciałem prze dostać się na jej drugi brzeg. Zauważyłem dziwny mostek, przez który przeskoczyłem. Poczułem przerażenie, kiedy ten mostek się poruszył... Okazało się, że to wielki, zielony krokodyl!!!

Tak się wystraszyłem, że jedynym, co udało mi się powiedzieć, było „dziękuję” i w te pędy pobiegłem do mamy.

Kolejnego dnia ten sam krokodyl przyszedł do mnie, żeby się pobawić... Był super kolegą, dlatego zostaliśmy przyjaciółmi.

Pewnego dnia wraz z innymi kangurkami urządziliśmy zawody. Skakaliśmy na odległość. Kto najdalej skakał, wygrywał. Udało mi się zająć trzecie miejsce! Bawiliśmy się też w boksowanie i inne kangurze zabawy.

Zaprzyjaźniłem się też z misiem koalą. Pozwoliłem mu skakać na moich plecach razem ze mną. On chciał mnie nauczyć wchodzić na drzewa, ale nie udawało mi się to. Było przy tym dużo śmiechu, kiedy spadałem. Jak ja się cieszę, że zdecydowałem się wyjść z torby!

Bolący ząb Ptysia

Pewnego dnia na zielonej łące głośno śmiały się i kicały króliczki. Tylko jeden z nich siedział cichutko i nie bawił się z innymi. Był to Ptyś, mały, rudy króliczek. Powodem jego smutku był ząbek, który od dwóch dni go bolał. Jednak największym zmartwieniem Ptysia było to, że panicznie bał się pójść do dentysty. Słyszał kiedyś od kolegów na łące, że królik dentysta jest bardzo stary i wrywa wszystkie zęby, nawet jak są zdrowe. Ptyś był przerażony wizją pójścia do niego.

Właśnie nadeszła pora obiadu i wszystkie królicze mamy wyszły z domów, aby zawołać swoje pociechy na posiłek. Oczywiście, wyszła również mama Ptysia i zawołała go oraz jego młodszą siostrę Bezę.

– Ptysiu, dlaczego jesteś taki markotny? – zapytała mama króliczka, gdy już znaleźli się w domu.

– Nieważne – odpowiedział Ptyś.

– Kochanie, widzę, że coś się dzieje, możesz mi wszystko opowiedzieć. Od razu poczujesz się lepiej, a może będę mogła ci jakoś pomóc.

– Bo... mnie trochę boli ząb – odpowiedział w końcu Ptyś.

– Syneczku, przecież zaraz pójdziemy do dentysty i jutro wszystko będzie jak dawniej. Żaden ząbek nie będzie ci przeszkadzał w zabawie.

– Nie chcę, już mnie prawie nie boli – skłamał Ptyś.

Mama widziała, że wcale nie jest dobrze, ale postanowiła nie naciskać na synka i poczekać, aż sam zmieni zdanie. Wszyscy usiedli do stołu, zajadali się ziółkami i świeżymi warzywami. Wszyscy – oprócz Ptysia. Z zazdrością i smutkiem patrzył, jak Beza ze smakiem zajada marchewkę i wesoło przy tym chrupie, Ptyś też chciałby się

tak zjadać. Niestety jego ząb bolał okrutnie przy każdej próbie ugryzienia marchewki. Powiedział, że już się najadł i pokicał do swojego pokoju. Bardzo żałował, że nie może już nic zjeść, zwłaszcza że na podwieczorek mama przygotowała owocową sałatkę, w której były jego ulubione jabłka i gruszki. Musiał obejść się smakiem. Do końca dnia pił tylko wodę.

Późnym popołudniem przyszła do niego mama, która chciała go przekonać do pójścia do dentysty. Tłumaczyła, że ona też nie lubi tam chodzić, ale doktor zawsze jej pomaga i później może jeść wszystko, na co ma ochotę. Pysyś bardzo się zdenerwował, był już bardzo głodny, a ząb bolał coraz bardziej.

– Nigdzie nie pójde – wykrzyczał i zalał się łzami. – Chcę zostać sam.

Pysyś wskoczył do łóżka i ze zmęczenia zasnął. Niestety, nawet podczas snu nie był spokojny.

We śnie dręczyły go koszmary. Przyśniło mu się, że nie poszedł do dentysty. Z głodu i bólu strasznie cierpiał. Po pewnym czasie wszystkie zęby zaczęły go boleć, wypadły i został bez żadnego. Sen był wstrząsający. Króliczek obudził się zlany potem i z krzykiem na ustach. Przybiegła do niego przestraszona mama i zaczęła go uspokajać.

– Mamo, ja pójde do tego dentysty, bo wypadną mi wszystkie zęby! – wyszlochał Pysyś.

– Dobrze, kochanie. Jutro z samego rana pójdziemy razem i obiecuję ci, że wszystko zakończy się dobrze.

– Dziękuję, mamo.

Rano, tak jak królicza mama obiecała, wybrała się razem z Pysiem do króliczego dentysty.

Na miejscu okazało się, że doktor wcale nie jest taki straszny, jak go inne króliczki opisywały.

Pan doktor był miły i opowiedział Pysiosowi o tym, co będzie robił, i jak należy dbać o zęby, aby w przyszłości go nie bolały. Był bardzo delikatny. Nic a nic Pysia nie bolało, a nawet było całkiem fajnie, bo opowieści doktora umilały czas w gabinecie. Pysyś był zachwycony. Dostał bezcukrowego lizaka i aż trzy naklejki, ponieważ był bardzo dzielny.

Po wyjściu z gabinetu Pysyś powiedział do mamy:

Bolący ząb Pysia

– Dziękuję ci, miałaś rację. Teraz mnie już nie boli i będę mógł jeść marchewki!

Od tego dnia Pysia opowiadał wszystkim na łące, że dentysta jest bardzo miły, i każdemu poleca pójście do niego, gdy tylko zaboli go ząb.

Złamana łapka Basi

Kotka Kasia mieszkała w pięknym domu z rodzicami – tatą Dawidem i mamą Zosią, oraz młodszą siostrą Basią. Kasia i Basia miały swój pokój pełny zabawek i książek. Uwielbiały się razem bawić, zwłaszcza na dworze, gdzie można było gonić myszki, biegać po piasku i wchodzić na drzewa. Jednak kotka Kasia bardzo się bała wysokości. Nie potrafiła skakać po drzewach i wspinać się coraz wyżej i wyżej. Zazdrościła swojej siostrzyczce, że ta wspina się na gałęzie i zeskakuje bez problemu na ziemię.

Chodziły z Basią do tej samej szkoły i zawsze wracały razem. Basia uwielbiała wtedy wchodzić na drzewa i przeskakiwać nad swoją starszą siostrą. Kasia bardzo jej zazdrościła odwagi i niekiedy próbowała się wspinać. Niestety, za każdym razem rezygnowała. Bała się, że upadnie i połamie sobie łapki. Basia próbowała zachęcać siostrę, ale jej starania nie odnosiły skutku. Kasia za bardzo bała się wysokości i tego, że na drzewie nie ma stałego gruntu pod łapkami.

Pewnego dnia, podczas powrotu do domu, Basia kolejny raz chciała namówić siostrę na wspólne wspinanie się po drzewach.

– Kasiu, chodź na górę! Zobacz, te gałęzie są bardzo szerokie. Zmieszczą ci się całe łapki i będzie tak jak na ziemi.

– Basiu, boję się. Dobrze wiesz, że gałęzie są okrągłe, a nie płaskie jak ziemia. Zejdź do mnie i pobawimy się w berka tutaj.

– Lepiej pobawić się w berka na gałęziach! Można przeskakiwać i wcale nie jest tak łatwo kogoś złapać! Chodź do mnie, pobawimy się razem.

– Nie, Basiu. Zejdź tutaj, proszę. Nie wychodź za wysoko, bo nie będę mogła ci tam pomóc.

Jednak Basia wspinała się coraz wyżej i wyżej. W pewnym momencie wpadła do wiewiórczej dziupli.

– Kasiu, pomocy! – krzyknęła przerażona kotka Basia. – Chyba zwichnęłam łapkę. Nie mogę nią ruszyć!

– Basiu, prosiłam cię, żebyś zeszła na ziemię. Co ja teraz zrobię? Do domu jeszcze kawałek, muszę pobiec po mamę!

– Nie zostawiaj mnie samej, Kasiu, proszę! – płakała młodsza siostrzyczka.

Kotka Kasia z przerażeniem rozglądała się wokół siebie. Niestety nie było nikogo, kto mógłby pomóc jej młodszej siostrzyczce. Zaczęła płakać z bezsilności. Wiedziała, że nie może pobiec do domu i zostawić Basi samej, jednak nie miała pojęcia jak, jej pomóc. Po chwili postanowiła, że wejdzie na drzewo i ją wyciągnie. Oparła trzęsące się łapki na grubym konarze i próbowała wbijać pazurki w twardą korę. Niestety, nie potrafiła podnieść się wyżej, cały czas bała się, że upadnie i już nikt nie pomoże jej siostrzyczce.

– Kasiu, pomocy! Ta łapka boli coraz bardziej! – krzyczała Basia.

Kasia przestała płakać. Postanowiła, że wejdzie na to drzewo, nawet jakby miała spaść i połamać wszystkie łapki. Wbiła mocno swoje pazurki w korę drzewa i zaczęła się wspinać. Pomalutku stawiała łapki na drzewie. Kiedy wspięła się na pierwszą gałąź i spojrzała w dół, aż zakręciło jej się w głowie. Usiadła na chwilkę i wzięła kilka głębokich oddechów.

„Dasz radę, Kaśka. Basia na ciebie liczy, nie możesz jej zostawić samej” – powtarzała sobie w duchu.

Zaczęła wspinać się coraz wyżej i wyżej. Postanowiła nie patrzeć już w dół, bo wtedy zwalniała, a wciąż słyszała płacz swojej młodszej siostrzyczki. Im bliżej była dziupli, tym płacz Basi był głośniejszy.

– Basiu, zaraz będę przy tobie. Nie bój się. Pomogę ci zejść.

– Kasia? – załkała cichutko kotka Basia. – Co ty tu robisz? Myślałam, że mnie zostawiłeś. Nie odzywałeś się wcale.

– Nie odzywałam się, ponieważ wspinam się do tej dziupli, Basiu. Zaraz będziemy razem – odparła kotka Kasia.

Niewiele dzieliło ją od młodszej siostrzyczki. Kiedy pokonała kilka ostatnich kroków, zauważyła, że dziupla nie była dobrze widoczna od tej strony i Basia musiała ją przeoczyć, dlatego tam wpadła. Ostrożnie stawiała łapki koło dziupli, żeby również do niej nie wpaść.

– Już jestem, Basiu. Pokaż tę łapkę.

Oczka Basi się rozjaśniły. Ostrożnie wyciągnęła zwichniętą łapkę w stronę starszej siostry. Delikatnie opadała ona w dół.

– Dasz radę na niej stanąć, Basiu? – kotka spróbowała, jednak bardzo ją zabolalo i zaczęła znowu płakać.

– Nnnie mogę, Kasiu. Nie dam rady. Tak bardzo boli – łkała.

Kasia postanowiła, że sama zniesie Basię na ziemię. Poprosiła siostrzyczkę, żeby przysunęła się jak najbliżej wejścia do dziupli. Chwycała jej kark swoimi drobnymi ząbkami i wyciągnęła ją na grubą gałąź.

– Teraz będziesz musiała mi troszkę pomóc, Basiu. Spróbuj delikatnie opierać się zdrowymi łapkami o gałęzie. A ja będę cię ciągle trzymać i razem zejdziemy.

Basia nie była lekką kotką i Kasia bardzo się męczyła, znosząc ją po drzewie. Co chwilę musiały się zatrzymywać, żeby Kasia wzięła kilka wdechów. Zerknęła na dół i znowu zakręciło się jej w głowie. Lekko się zachwiała i Basia krzyknęła, ponieważ oparła się o zwichniętą łapkę.

– Auuu! Ale boli!

– Przepraszam, Basiu, przepraszam! – odparła Kasia. – Nie wiem, czy dam radę. Tutaj jest tak wysoko...

– Kasiu, posłuchaj mnie – powiedziała Basia. – Zrobiłaś to, czego najbardziej się bałaś. Weszłaś na to drzewo i mi pomogłaś. Teraz musimy tylko zejść. Jesteś najodważniejszym kotkiem, jakiego znam! Przełamałaś swój największy lęk. Nic już nie stanie ci na drodze.

– Dziękuję, Basiu – Kasia poczuła nagły przyptyw siły. Zaczęła zeskakiwać po gałęziach. Jej łapki jakby same wiedziały, gdzie skakać, aby bezpiecznie dotrzeć na ziemię.

Po paru minutach i kilku skokach obydwie siostry siedziały już na ziemi. Kasia próbowała opatrzyć zwichniętą łapkę siostrzyczki. Zastanawiała się, jak zanieś siostrę do domu, kiedy nagle...

– Kasiu! Basiu! – usłyszały krzyk mamy. – Gdzie wy się podziałyście? Powinnyście już dawno być w domu. Szukamy was z tatą od godziny!

Kiedy rodzice zauważyli, że Basia jest ranna, podbiegli do niej bardzo zaniepokojeni. Zaczęli oglądać zwichniętą łapkę. Postanowili przenieść Basię do domu i tam poczekać na doktora Kocura, który jej pomoże. W drodze powrotnej siostry opowiedziały rodzicom, co się wydarzyło.

– Kasiu, jesteśmy z ciebie tacy dumni. Twoja troska i miłość do siostry sprawiły, że przełamałaś swój największy lęk. Nic nie było w stanie cię powstrzymać przed chęcią niesienia pomocy.

Złamana łapka Basi

– Ja również dziękuję, Kasiu – powiedziała Basia. – Nie zostawiłeś mnie i pomogłeś mi zejść. Jesteś najlepszą siostrą na świecie!

Łapka Basi potrzebowała kilku tygodni, żeby kotka mogła znowu biegać i chodzić po drzewach. Za to Kasia odkrywała uroki skakania po gałęziach, gonienia ptaków z gniazd, a nawet straszenia wieiórek w ich dziuplach! Nie mogła się doczekać, aż siostra do niej dołączy. Jak tylko Basia wyzdrowiała, razem bawiły się w berka na gałęziach.

**Oswajamy się
z przedszkolem**

Strach języka przed przedszkolem

Za wielkim morzem i za dwoma ogromnymi górami pięły się do nieba miliony drzew, tworząc piękny, zielony las. Rosły w nim również gęste krzaczki ze słodkimi poziomkami i borówkami. To cudowne miejsce zamieszkiwane było przez różne zwierzątka.

– Jak się masz? – krzyknął wesoło bóbr do swojej sąsiadki wiewiórki.

– W tak piękny słoneczny dzień? Cudownie! – radośnie odpowiedziała ruda znajoma.

Pod wielkimi dębami mieszkały obok siebie dwie zaprzyjaźnione rodziny: lisów i języków. Pani i pan lis mieli dwie córeczki, które chodziły już do grupy starszaków w przedszkolu. Rodzina języków miała jednego małego synka, który za niedługo miał rozpocząć przygodę w pierwszej grupie przedszkolnej. Obie rodziny bardzo często się odwiedzały, pomagały sobie nawzajem, a ich dzieci bawiły się ze sobą niemal każdego dnia. Zresztą wszystkie zwierzęta, które zamieszkiwały las, bardzo lubiły swoje towarzystwo.

W samym środku bujnego lasu znajdowała się ogromna kwiecista polanka, która stanowiła dla mieszkańców rynek. Był bowiem na niej duży sklep, który prowadził wielki pan niedźwiedź wraz ze swoją żoną. Wszyscy mieszkańcy lasu, robiąc tam zakupy, chętnie wdawali się w miłe pogawędki z gospodarzami. Większym, sąsiadującym ze sklepem budynkiem było przedszkole, którego dyrektorką była mądra pani sowa. Każdego dnia rodzice przyprowadzali swoje dzieci właśnie tam, ponieważ sami musieli pracować.

Mijały dni, tygodnie słonecznego lata. Powoli zwierzęta zaczęły się szykować do jesieni, która dla większości stanowiła ważny okres w życiu. W tym roku okazało się, że dla małego języka był to bardzo stresujący czas. Miał on bowiem rozpocząć swoją przygodę w przedszkolu, które jednak nie kojarzyło mu się z czymś miłym i ciekawym.

Prawda jest taka, że język był przerażony! Rodzice bardzo dbali, by ich syn wiedział jak najwięcej o nowym miejscu, do którego miał zacząć uczęszczać już od września.

– Kochany synku, w przedszkolu, do którego pójdziesz, będzie wiele małych zwierzątek. Maluchy mają mnóstwo zabawek, a pani sarna, która prowadzi grupę, organizuje wiele ciekawych zajęć – mówiła mama, przytulając wieczorami języka do siebie.

– Są tam pyszne śniadania i obiady, a obok przedszkola jest wielki plac zabaw, gdzie dzieci bawią się w najlepsze. Na pewno ci się spodoba – dodał tato, widząc zasmuconą twarz syna.

– Ja sobie nie poradzę, na pewno mnie nikt nie polubi. Chcę zostać w domu! Nigdy tam nie pójde! – rozpacział maluch.

– Jesteś wesołym zwierzątkiem, które ma zawsze świetne pomysły na zabawy – wspierała mama.

W końcu nadszedł wielki dzień! Dzień, w którym mały język miał pierwszy raz w swoim życiu przekroczyć próg przedszkola. Nie wyspał się. Niechętnie zjadł małą kanapeczkę. Czuł przy tym ciągły ucisk w brzuszku. Mama, zakładając mu na plecy plecaczek, wzięła go za łapkę i po wyjściu z domu ruszyli ścieżką w stronę przedszkola.

Maluch nie odezwał się przez całą drogę ani słowem. Z każdym jednak krokiem ścisnął dłoń mamy coraz mocniej. W końcu stanęli przed budynkiem. Mama przykucnęła przed synkiem i powiedziała:

– Kochanie, jesteśmy na miejscu, pamiętaj, dziś zostaniesz tam tylko godzinę. Będę obok. Na pewno ci się spodoba.

Język przełknął głośno ślinę, miał ze strachu wielkie oczy i ruszył ciężko w stronę wejścia. Gdy dotarli pod drzwi sali, mama zapukała. Otworzyła im pani sarna, wysoka ze szczerym, ciepłym uśmiechem.

– Witaj, języku! To twoja grupa, do której cię zapraszam. Spójrz, ile mamy ciekawych zabawek, jest też już kilka zwierzątek, chcesz je poznać? – ciepłym głosem przemówiła pani sarna.

Mały język, stojąc nadal w progu, bacznie i powoli objął spojrzeniem całą salę. Zauważył kolorowe zabawki i roześmianego jelonka, rysującą coś wiewiórkę oraz przeglądającego książeczkę bobra. Gdy już powoli ruszył w stronę sali, w ostatniej chwili spanikował i wybiegł z mamą przed budynek. Zaczął rozpaczliwie płakać, tuląc się do niej, wykrzyczał:

– Wróćmy do domu, ja nie znam tu nikogo! Proszę! Nie chcę tu zostać ani chwili!

Strach języka przed przedszkolem

Mimo starań nauczycielki i mamy nie udało się przekonać języka do zmiany decyzji. Był zrozpaczony. Mama poddała się i smutni ruszyli do domu.

Następnego dnia rano do domu języków zajrzała jedna córka lisików z sąsiedniego domu.

– Witaj, języku! – radośnie krzyknęła w progu! – Dziś pójdziemy do przedszkola razem!

– O nie! Nigdy tam nie pójde – groźnie odpowiedział jej maluch.

– Znamy się doskonale! Nigdy nie chciałam dla ciebie nic złego! Zaufaj mi! Po prostu!

Po długim namowach język dał się przekonać przyjaciółce i ruszyli w stronę przedszkola. Mama języka również im towarzyszyła. Gdy dotarli na miejsce, usłyszeli śmiechy z pobliskiego placu zabaw. Podeszli do ogrodzenia i zobaczyli gromadkę przedszkolaków bawiących się w najlepsze, obok stała pani sarna – język od razu ją poznał.

– Wiem, języku, że boisz się, co cię spotka w nowym miejscu. Obawiasz się, czy ktoś cię polubi. Na pewno boisz się tęsknoty za mamą! – spokojnie powiedziała koleżanka. – Pamiętaj jednak, że jeśli tylko pokonasz strach, poznasz nowych przyjaciół, nowe zabawy oraz nauczysz się wielu ciekawych rzeczy! Zaufaj mi, na prawdę warto!

Język długo się zastanawiał, zerkał nerwowo to na mamę, to na przyjaciółkę, jak i na inne dzieci.

– Dobrze! Spróbuję, bo na prawdę jestem ciekawy tych kolorowych zabawek! – rzekł język z lekkim uśmiechem.

Mama radośnie klasnęła w łapki, puszczając oczko do małej lisiczki.

Język po chwili zapukał do sali, gdzie po powrocie z placu przedszkolaki bawiły się w najlepsze. Pani sarna zaprosiła go do środka. Ujrzał mnóstwo kolorowych zabawek. Były małe i duże, po prostu rozmaite. Stały tam stoliki z krzesłami. Nagle ujrzał u swojego boku bobra i niedźwiedzia.

– Cześć, lubisz samochody? Mamy tu świetny tor i autka wyścigowe, chcesz zobaczyć? – z radością zaproponował bóbr.

– Tak! – odpowiedział język! – Oczywiście! – odwrócił się w stronę mamy i przyjaciółki, machając im na pożegnanie.

„Chyba na prawdę nie było się czego obawiać” – pomyślał, uśmiechając się lekko.

O smoku, który poszedł do przedszkola

Dawno, dawno temu, za wielkimi górami i paroma lasami, żył sobie mały smok Antek. Mieszkał w uroczym małym domku na skraju smoczego grodu razem ze swoją mamą, tatą i starszym bratem Olkiem, z którym całe wakacje bawili się na smoczym podwórku.

Pewnego dnia w smoczym grodzie nastał ostatni dzień lata. Słońce jeszcze przygrzewało, a w błyszczącym niczym lustro jeziorze, małe smoki oglądały swoje odbicia.

Słońce było wysoko na niebie, kiedy mama smoczyca zawołała swoje dzieci na obiad do domu:

– Antek i Olek, przygotowałam smocze jadło!

– Super! Nie mogliśmy się doczekać, już lecimy na obiad – zawołał uradowany Antek. Z wesołą miną wrócił wraz z bratem do domu. Omiótł wzrokiem kuchnię i z zastanowieniem zapytał:

– Po co te dwa nowe plecaki? Przecież tylko Olek chodzi z takim do smoczego przedszkola.

Antek zaczął się zastanawiać, po co mu teraz te dwa plecaki, przecież ma tylko jedne plecy.

– Jutro twój pierwszy dzień w przedszkolu – powiedziała mama smoczyca – razem z Olkiem rano pojedziecie do smoczego przedszkola.

– Hurra! – zawołał uradowany Olek. – W końcu do przedszkola!

Antek nie ucieszył się tak jak Olek. Spojrzał na swoją mamę, spojrzał na swoje podwórko, na którym codziennie bawił się w smocze zabawy, i tży zakreślił się w jego smoczach oczyskach.

– Chcę zostać z tobą, mamu, w domu – powiedział smutnym głosem Antek. – Chcę się bawić z Olkiem na podwórku, nie chcę tam iść, będą tam straszne małe smoki

– Ale... – próbował się wtrącić Olek.

– Nie będę się mógł z tobą bawić, nie będę widział mamy, zostaję w domu – Antek wrzucił łyżkę do smoczegojadła i wybiegł zasmucony na górę, do swojego pokoju.

– Antek chyba nie wie, jak fajnie bawimy się w przedszkolu – zdziwił się Olek.

– Może mu o tym opowiesz? – spytała z uśmiechem mama.

– Świetny pomysł, mamgo, na pewno zmieni zdanie na temat smoczego przedszkola.

Kiedy skończył jeść pyszne smoczejadło, które przygotowała dziś mama, podziękował za posiłek i ruszył do pokoju Antka. Braciszek siedział smutny na łóżku, a łyzy spływały mu z oczu.

– Widzę, że boisz się iść jutro do przedszkola – zaczął Olek. – Ja też się bałem, kiedy pierwszy raz miałem tam iść.

Olek spojrzał zaciekawiony na brata swoimi wielkimi smoczymi i smutnymi oczami.

– Wiesz, w przedszkolu są wszystkie małe smoki z okolicy – rozpoczął Olek. – Wszystkie smoki, z którymi możesz bawić się cały rok w przedszkolu tak, jak bawimy się w wakacje. Pani smocza nauczycielka jest zawsze miła, opowiada ciekawe smocze opowieści z naszego smoczego grodu, jakich jeszcze nie słyszałeś!

– Ale tam nie ma mamy – westchnął Antek.

– Nie ma, ale po zajęciach mama z powrotem zabiera nas do domu. Też się bałem, kiedy zostawiła mnie w obcym miejscu. Bałem się, że nie będę miał się z kim bawić. Wtedy poznałem smoka Tea, z którym przyjaźnię się do dziś. Budowaliśmy wielkie smocze wieże z klocków, jakich smoczy gród jeszcze nie widział. Możemy rysować, malować, grać w powietrznego berka.

– Ale ja nie umiem jeszcze nawet latać – posmutniał znów Antek.

– Ja też nie umiałem, wszystkiego nauczyłem się w przedszkolu. Smocza nauczycielka jest miła i pomocna jak mama! – przyznał Olek.

Antek poczuł, że powoli poprawia mu się humor, a smutek i strach robią się coraz mniejsze.

– Może jednak nie będzie tak źle – westchnął po chwili namysłu Antek.

– Nie będzie źle? Będzie super, zobaczysz! Jeszcze polubisz chodzenie do smoczego przedszkola jak ja, całe wakacje nie mogłem się doczekać powrotu do niego. Może pójdziemy zobaczyć nasze

O smoku, który poszedł do przedszkola

plecaki i pobawimy się, jakbyśmy już szli do przedszkola? – zapytał podekscytowany Olek młodszego brata.

– Tak – odpowiedział bez zastanowienia Antek. – I wiesz co? Chyba jednak nie mogę się doczekać jutrzejszego dnia.

Zadowolone małe smoki bawiły się do samego wieczora, a Antkowi w nocy śniła się zabawa z nowymi przyjaciółmi.

Basia i pierwszy dzień w przedszkolu

W niedzielę wieczorem mama Basi zadała jej podczas zabawy nietypowe pytanie:

- Basiu, chciałabyś się pobawić w nowym miejscu?
- W nowym? Oczywiście – odpowiedziała Basia.
- W takim razie jutro pójdziemy zapisać cię do przedszkola.
- Do przedszkola? A co to? – zdziwiła się Basia.

Po tych słowach Basia przypomniała sobie, że mama już kiedyś wspominała o takim miejscu.

- To miejsce, gdzie jest dużo zabawek i ogromny plac zabaw. Do przedszkola chodzą też inne dzieci i poznasz dużo nowych kolegów.

- Nie chcę iść do przedszkola, wolę zostać w domu z tobą – powiedziała przestraszona Basia.

- Dlaczego nie chcesz iść? Tam jest wiele nowych zabawek i duży plac zabaw.

- Wystarczą mi te zabawki, które mam w domu.

- W przedszkolu poznasz dużo nowych dzieci, z którymi będziesz się świetnie bawić. Słyszałam też, że są tam najmiłsze panie w całym naszym mieście.

- A będę tam z tobą?

- Na początku tak. Popatrzę, jak się bawisz z innymi dziećmi, a później pójdę na chwilę do domu i wrócę po ciebie po obiedzie.

- Hmm, no nie wiem, chyba wolę zostać z tobą w domu – powiedziała zaniepokojona Basia. - W domu mam bardzo dużo zabawek, które mi wystarczą, nie potrzebuję nowych.

- Jeśli nie jesteś pewna, w takim razie pójdziemy tylko zobaczyć, jak tam jest. Jeśli ci się spodoba, to zostaniesz tam na obiad, jeśli nie, to wrócimy do domu.

Mama nie pytała już Basi o przedszkole, tylko wróciła do zabawy z nią. Następnego dnia rano obudziła córeczkę i pokazała jej nowe, śliczne ubranka.

– Kupiłam nowe ubrania specjalnie na pierwszy dzień w przedszkolu.

– Dziękuję, mamu, bardzo mi się podobają – powiedziała Basia i od razu zaczęła je zakładać.

Basia pomyślała, że miło jest iść do przedszkola. Po drodze zauważyła inne dzieci z mamusiami, które szły w tym samym kierunku. Basia pomyślała, że też pewnie idą do przedszkola. Zaczęła się martwić i bać, jak to będzie w nowym miejscu.

Kiedy doszły do przedszkolnej szatni, mama poprosiła Basię, aby zdjęła buty i założyła kapcie. Następnie udały się do sali, gdzie spotkały jakąś nową panią. Basia pomyślała, że wygląda bardzo miło, bo ciągle się uśmiecha. Mimo to nie chciała puścić ręki mamy.

– Dzień dobry, jak masz na imię? – zapytała pani.

– Basia – odpowiedziała po cichutku Basia.

– Bardzo miło mi cię poznać, Basiu. Mam na imię Ania i jestem twoją nauczycielką. Od dzisiaj będziemy się świetnie razem uczyć i bawić. Właśnie sprawdzamy z innymi dziećmi, jakie zabawki ukryły się w naszych szafkach – powiedziała pani Ania, wyciągając rękę do Basi.

Basia bardzo się ucieszyła, bo nie mogła się doczekać, aż sprawdzi, jakie zabawki są w przedszkolu. Wyciągnęła rączkę do pani, a mama nagle puściła jej drugą rączkę, za którą trzymała Basię. Dziewczynka odwróciła się w stronę mamy i złapała ją dwoma rączkami.

– Popatrzę na ciebie chwilkę, jak będziesz oglądać zabawki, a później pójdę do domu. Przyjdę po ciebie bardzo szybko – powiedziała mama do Basi, przytulając ją.

– Nie chcę, żebyś poszła beze mnie – powiedziała Basia, płacząc.

– Nie mogę, Basiu, być tutaj z tobą cały czas. Popatrzę na ciebie przez chwilę, a później pójdę. Wrócę, jak się pobawisz i zjesz obiad – powiedziała mama. Przytuliła Basię i stanęła pod drzwiami sali.

Basia ze łzami w oczach stała przed nową panią. Pani Ania wzięła Basię za rączkę i poprowadziła ją w stronę dywanu i od razu zaczęły przeglądać zabawki. Basia była tak zajęta poznawaniem przedszkola, że nawet nie zauważyła, kiedy mama poszła do domu. Nagle podczas zabawy z innymi dziećmi Basia usłyszała głos pani:

Basia i pierwszy dzień w przedszkolu

– Zapraszam wszystkie dzieci do sprzątania. Czas na obiad.
– Już jest obiad? Tak szybko? Nie zdążyłam się pobawić – powiedziała zaskoczona Basia.

Z uśmiechem na ustach zaczęła sprzątać zabawki z innymi dziećmi. Po obiedzie Basia poszła do łazienki umyć ręczki. Kiedy wychodziła z łazienki, zauważyła, że mama stoi już w drzwiach i czeka na nią. Dziewczynka z uśmiechem na ustach pobiegła do mamy.

– Mamo, ale szybko przyszłaś!

– Tak jak się umawiałyśmy, przyszłam od razu po obiedzie. I jak było dzisiaj w przedszkolu?

– Tęskniłam za tobą, ale było super, poznałam nowych kolegów i pani była bardzo miła. A i najważniejsze, tutaj są najlepsze zabawki na całym świecie.

– Bardzo się cieszę, że ci się podobało. To co, przyjdziemy tutaj jutro?

– Tak, już nie mogę się doczekać! – powiedziała z uśmiechem na ustach Basia.

Mały miś

W wielkim lesie koło rzeki była chatka. Mieszkała w niej rodzina niedźwiedzi: mama, tata i dwa małe niedźwiadki: Olek i Krysia. Niedźwiadek Olek był starszy od Krysi i dlatego też bardzo często opiekował się młodszą siostrą. Chodzili razem na jagody, maliny i ich ulubione ryby nad pobliską rzekę. Pewnego dnia mama niedźwiedzica zapisała Olka i Krysię do leśnego przedszkola, gdzie chodzą wszystkie zwierzątka z lasu.

Nadszedł pierwszy dzień przedszkola. Rano mama niedźwiedzica obudziła swoje dzieci, podała im ulubione śniadanie, a Krysi pomogła się ubrać. Kiedy wszyscy byli gotowi, wyruszyli do przedszkola. Olek szedł z wielką chęcią, gotowy do zabawy z innymi dziećmi i w oczekiwaniu na poznanie nowych przyjaciół. Krysia natomiast była bardzo wystraszona. Nie bardzo chciała iść, dlatego mama niedźwiedzica wzięła małą córeczkę na grzbiet. Przedszkole było nieduże i bardzo kolorowe, z pięknym ogrodem, w którym znajdował się ogromny plac zabaw.

Kiedy rodzina niedźwiedzi przeszła przez bramę, pani nauczycielka wyszła im naprzeciw. Serdecznie zaprosiła Olka i Krysię do sali zabaw, gdzie bawiły się już inne dzieci. Olek pożegnał się z mamą, przebrał swoje pantofelki i szybko ruszył do zabawy z dziećmi. Krysia jednak nie była tak zadowolona jak jej starszy braciszek. Trzymała się maminej spódnicy i bardzo chciała wracać do domu. Za nic nie chciała pójść z panią nauczycielką do pozostałych dzieci, nawet kiedy usłyszała, że po obiedku pójdą na plac zabaw, na którym mała Krysia tak bardzo lubiła spędzać czas.

Kiedy Olek zobaczył, że jego siostrzyczka bardzo płacze i nie chce puścić mamy, wyszedł z sali zabaw, podał jej łapkę i zachęcił do wejścia do krainy zabawek, jak to powiedział małej Krysi.

Dziewczynka otarła oczka z łez, przebrała pantofelki i z braciszkiem poszła do innych dzieci. W tym czasie mama niedźwiedzica wyszła z przedszkola i udała się do pracy. Jednak kiedy Krysia zorientowała się, że w przedszkolu nie ma mamy, znowu zaczęła płakać i uciekała do kąta. Z tamtego miejsca obserwowała dzieci i panią nauczycielkę, która zachęcała do brania udziału w różnych grach i zabawach. Dzieci na sali bawiły się w najlepsze, a Olek razem z nimi. Co jakiś czas braciszek podchodził do Krysi, aby zachęcić ją do wyjścia z kąta, w którym cały czas siedziała. Jednak dziewczynka, tuląc misia, którego znalazła w pudełku, odmawiała zabawy i cały czas tęskniła za mamą. Mijał czas. Krysia patrzyła, jak jej braciszek bawi się z innymi dziećmi, siedziała w kącie i myślała, czy odważyć się i pójść do dzieci, czy nadal siedzieć z dala od nich. Do tej pory bawiła się tylko z bratem. Teraz w sali przebywało tak dużo dzieci, a Krysia była bardzo wstydliwa.

W pewnym momencie do przedszkola przyszła Zosia zajączek ze swoją mamą. Zosia, tak samo jak Krysia, bardzo płakała, ponieważ był to pierwszy jej dzień w przedszkolu. Kiedy mama Zosi wyszła, zostawiając swoją córeczkę pod opieką pani nauczycielki, Krysia otarła łzy i spojrzała na nią. Z lekką niepewnością i zawstydzeniem wstała i podeszła do Zosi, która siedziała na krzeselku pod ścianą w sali i bardzo płakała. Wzięła ją za łapkę i zapytała, czy jest to też jej pierwszy dzień w przedszkolu. Zosia odpowiedziała, że tak i że bardzo tęskni za mamą. Krysia pociągnęła nosem i po cichutku odparła, że też jest dziś pierwszy raz i również tęskni za mamą i wstydzi się iść bawić z dziećmi.

Obie dziewczynki popatrzyły na siebie, chwyciły się za łapki i poszły na koniec sali, gdzie nie było dzieci, aby razem się pobawić. Czas do obiadu zleciał im na zabawie. Kiedy pani zawołała na posiłek, wszystkie dzieci usiadły do stoliczków, zajmując swoje miejsca. Krysia i Zosia także zajęły przypisane im miejsca. Przy stoliku podczas obiadu dzieci rozmawiały i wygłupiały się. Nieśmiało Krysia i Zosia nie brały udziału w rozmowach z dziećmi, trzymając się z daleka.

Po obiedzie, zgodnie z obietnicą pani nauczycielki, dzieci przebrały pantofelki na buciki i całą grupą wyszły na plac zabaw. Krysia z Zosią trzymały się mocno za łapki i razem spacerowały po ogrodzie, nie biorąc udziału w zabawach reszty przedszkolaków. Nagle do Krysi podbiegł jej braciszek Olek, który z kolegami i koleżankami bawił się w chowanego. Zaprosił ją i Zosię do zabawy i obiecał, że schowają się

razem, aby dziewczynki mogły przekonać się do zabawy w większym gronie. Krysia i Zosia zgodziły się. Kiedy dziewczynki wraz z Olkiem schowały się za ogromnym drzewem, a kolega Olka szukał ich i resztę dzieci, Krysia i Zosia przekonały się, że zabawa w grupie jest świetną okazją do śmiechu i wygłupów. Później to Olek, Krysia i Zosia szukali innych dzieci, a dziewczynki były zachwycone przedszkolem.

Kiedy nadszedł czas odbioru dzieci z przedszkola, rodzice zaczęli zbierać się w holu. Mama niedźwiedź i mama zając przyszedł w tym samym czasie po swoje dzieci. Olek przybiegł jako pierwszy, uściskał mamę i zaczął przebierać buciki. Krysi i Zosi jednak nie było. Kiedy obie mamy zerknęły do sali zabaw, gdzie były jeszcze dzieci, których rodzice nie przyszli, zauważyły dziewczynki. W najlepsze bawiły się z nowo poznanymi dziećmi i ani im się śniło iść do domu.

Od tej pory Krysia i Zosia bardzo chętnie chodziły do przedszkola i bawiły się ze swoimi kolegami i koleżankami. Wiedziały, że rodzice przyjdą po nie, bo bardzo je kochają, a w przedszkolu jest naprawdę fajnie i zawsze można się czegoś nauczyć.

Zabawek rozmowy

Na całym świecie jest wiele przedszkoli. Są takie, gdzie jest tylko kilka grup, są takie, gdzie grup jest i z dziesięć. Są takie, gdzie grupy nie mają swoich nazw, są takie, gdzie grupy są ponumerowane. Są takie, gdzie każde dziecko ma odpowiedni strój, i są takie, w których każdy może nosić, co chce. Jest jednak coś wyjątkowego, co łączy wszystkie te przedszkola... ZABAWKI!

W każdym z nich można znaleźć najróżniejsze, często takie, o których się nikomu nawet nie śniło. Bywają tam: klocki, lalki, puzzle, zestawy fryzjerskie, zabawki drewniane, piłeczki – tak, że każdy na pewno znajdzie coś dla siebie. Nie są to jednak takie zwykłe zabawki... Posłuchajcie.

W przedszkolu w Krakowie jest taka sala, gdzie wszystkie zabawki grzecznie leżą na półeczkach. Czekają, aż przyjdą dzieci i będą chciały się nimi bawić. Ale gdy tylko zamykają się drzwi do przedszkola, taka się między nimi toczy rozmowa:

– Widzieliście, że Ania dzisiaj bardzo płakała? Nawet się z nami bawić nie chciała – mówi donośnie drewniany bębenek.

– Właśnie widziałem – odpowiada pluszowy miś – ale z tego, co słyszałem, Ania jest chora i mama zabrała ją do doktora.

– Oby tylko szybko wróciła do zdrowia i mogła przyjść znów do przedszkola.

– A wiecie, co ze Stasiem? Już długo go nie ma! – z pudełka głowę wystawił zabawkowy piesek.

– Staś jest na wakacjach, z rodzicami Polskę zwiedza – zamyślił się czerwony samochodzik. – Chyba mieli jechać do Sandomierza?

– Wydaje mi się, że mówił o wycieczce nad morze? – zdziwił się klocek z pudełka. – A może do Warszawy?

– Ważne, że się tam dobrze bawi! – odpowiedziały chórem pozostałe zabawki.

– Uff, to dobrze... Już myślałam, że jest chory – westchnęła poduszka w kształcie piłki. – Już dawno nikt nie strzelał mną goli! Gdzie się podział nasz Antek piłkarz?

– Antek pojechał odwiedzić dziadków, wraca, zdaje się, w poniedziałek. – odpowiedziały jej klocki wafelki. – Znów będzie zdobywał mnóstwo bramek.

Wszystkie zabawki przytaknęły i wygodnie ułożyły się na półeczkach, powoli przygotowując się do snu. Wtem spod sterty poduszek wygrzebał się zapomniany przez dzieci podczas sprzątanina plastikowy żołnierz. Rozrzucając poduszki, zahaczył o stos puszek, z których dzieci miały przygotować kolejną ciekawą pracę plastyczną, a ich głośny brzdęk obudził wszystkie zabawki, które przestraszone zaczęły rozglądać się za źródłem hałasu.

– Kto tak hałasuje, kiedy ja chcę spać? – westchnęła księżniczka, wychylając się przez balkonik w swoim zamku.

– Przepraszam, piękna pani, ale już od trzech dni próbuję się wydostać spod tych poduszek i co byłem już na wierzchu, to dzieci od nowa je układały, a ja biedny byłem uwięziony pod nimi – powiedział smutno żołnierz.

– Co ty tam robisz tyle czasu? – zdziwiła się księżniczka. – Przecież zawsze się tobą bawi Kuba, który chce być wojskowym, a po zabawie odkłada na swoje miejsce pośród innych żołnierzów.

– Tu właśnie tkwi problem. Kuby już od tygodnia nie ma w przedszkolu. Dzisiaj słyszałem od pań nauczycielek, że wcale do tego przedszkola chodzić nie chce. Krzyczy w domu i płacze, jak tylko mama powie, że czas do przedszkola. A to narzeka, że się nie wyspał, i chowa się pod kołdrą, innego dnia mówi, że boli go głowa. Podobno nawet udawał, że miał gorączkę, ale wszystko się wydało, jak go mama zaprowadziła do lekarza.

– Właśnie słyszałam, jak pani mówiła, że Kuba nie chce rozstawać się z mamą – powiedział pajacyk z półki.

– A my tak bardzo za nim tęsknimy – zasmucił się pluszowy miś.

– Musimy jutro z samego rana powiedzieć pani Ani, że my za Kubą ogromnie tęsknimy i bardzo się o niego martwimy! Pomożemy mu przetrwać rozstanie z mamą!

– Sprawimy, że będzie mu tu wesoło! I wcale nie będzie tęsknić za mamą!

Jak powiedziały, tak też zrobiły. Następnego dnia wszystko pani Ani powiedziały i obiecały, że jak tylko Kuba wróci, to się nim odpowiednio zajmą. Mama Kuby po rozmowie z panią namówiła chłopca do spróbowania jeszcze raz i przekonania się, że przedszkole nie jest takie straszne.

W poniedziałek Kuba przyszedł z mamą do przedszkola. Chłopiec już od progu strasznie płakał i wcale nie chciał wejść na salę do swoich Smerfów. Mama mocno przytuliła chłopca, dała mu buziaka i obiecała, że przyjdzie po niego po obiedzie. Jak tylko za mamą chłopca zamknęły się drzwi sali, załał się łzami. Ni stąd, ni zowąd obok Kuby pojawił się pluszowy miś i patrzył na chłopca tak, że smutny Kuba postanowił go przytulić.

– Razem może będzie nam rażniej – powiedział ni to do misia, ni to do siebie Kuba.

Powoli załzawionymi oczami zaczął rozglądać się po sali. Zauważył grupkę dzieci malujących coś przy stoliku i drugą, grającą w gry planszowe. Kolejna bawiła się autkami na dywanie. Chwytając kurczowo misia, Kuba wstał z dywanu i podszedł do dzieci bawiących się autami. Na ziemi dostrzegł piękny czerwony samochodzik, który tylko czekał, aż ktoś zechce nim pojeździć. Szybko złapał autko i rozpoczął wyścig po dywanie. Z dużych klocków zbudował dla swojego autka ogromny garaż. Jak tylko zobaczyli to inni chłopcy, postanowili dołączyć do Kubę i urządzić prawdziwe wyścigi samochodowe. Śmiechom i dobrej zabawie nie było końca!

Nawet się nie obejrzał, a w przedszkolu nadszedł czas obiadu... Niechętnie usiadł do stolika i już miał zacząć płakać, bo przecież najlepsze obiady robi jego kochana mama, której tu nie ma, a tu nagle na stole pani postawiła miseczkę z jego ulubioną zupą pomidorową. Dwa razy Kubę nie trzeba było namawiać. Zjadł pierwszy z całej grupy. Z drugim daniem było podobnie, ponieważ na stole pojawiły się pyszne naleśniki. Chłopiec poprosił nawet o dokładkę.

Po skończonym obiedzie do przedszkola zadzwonił domofon. Pani popatrzyła na ekran i powiedziała, że do domu idzie nie kto inny, tylko nasz mały bohater Kuba. Chłopiec ogromnie się ucieszył, ale również zrobiło mu się nieco smutno, ponieważ mama pojawiła się za wcześniej, a on się tak dobrze bawił.

Zabawek rozmowy

- Do widzenia, Kubusiu! – powiedziała pani.
- Pa, Kuba! – krzyknęły chórem dzieci.

W szatni mama zapytała Kubę, jak mu minął dzień w przedszkolu. Chłopiec, pełen pozytywnych emocji, opowiedział mamie o minionym dniu, podkreślił, jak super się bawił z innymi dziećmi. A przed samym wyjściem zapytał się mamy:

- Mamusiu, a możesz jutro przyjść po mnie po podwieczorku?

Bał w Zaczarowanej Dolinie

W przedszkolu o nazwie „Zaczarowana Dolina” panowała wielka radość. Wszyscy szykowali się na bal z okazji przyjazdu gościa z sąsiedniej doliny, który za kilka dni zmieni miejsce zamieszkania. Były już gotowe smakołyki z nektarem z kwiatów, balony, konfetti, tort i zaczarowana muzyka. Przedszkole nie bez powodu nazywało się „Zaczarowaną Doliną” – uczęszczały do niego wróżki i elfy, które mówiły między sobą:

– Jejjj, jak cudownie. Tak dawno nie było u nas żadnego gościa. Mamy nadzieję, że spodoba mu się na naszym balu, polubi nas i chętnie z nami zostanie. W końcu wychowawczyni mówiła, że zamieszka po drugiej stronie ulicy.

Jednak w sąsiedniej dolinie o nazwie „Krasnali Gaj” mały Tymon nie był zachwycony całym wydarzeniem. Ogromnie się bał, że piękne wróżki i elfy nie polubią go, ponieważ nie wygląda tak jak one – jest zwykłym krasnałem. Nie ma pięknych skrzydeł ani smukłych uszów. Jest niski i w dodatku nie wie, czym interesują się wróżki i elfy z Zaczarowanej Doliny. Z nadmiaru zmartwień usiadł w kąciku i zaczął szlochać. Zauważył to jego brat Felek. Od razu podszedł do Tymona i powiedział:

– Braciszku, dlaczego płaczesz? Głowa do góry. Hmm, pewnie martwi cię pierwsza wizyta w Zaczarowanej Dolinie? – zapytał.

– Yhmmm, nawet bardzo – odpowiedział Tymon, nadal szlochając. Jednak Felek nie rezygnował:

– Kilka lat temu, tak jak ty, musiałem zmienić przedszkole i ogromnie się bałem tego dnia. Jednak niepotrzebnie. Usiądź, to coś ci opowiem – Felek zwrócił się z uśmiechem do Tymona. – Kiedy szedłem do nowej grupy o nazwie „Smerfy”, myślałem, że nikt mnie tam nie polubi, ponieważ wyglądałem zupełnie inaczej. Po głowie chodziła

mi myśl, że nikt nie będzie chciał się ze mną bawić, bo może nie znam ciekawych zabaw. Bałem się też tego, że rodzice mogą przyjść bardzo późno lub nie przyjdą wcale i zostanę sam jak palec. Jednak zgadnij, czy choć raz tak się stało? – Felek spojrzał na brata.

– Myślę, że nie, bo rodzice nas kochają, a ty zawsze wracałeś do domu uśmiechnięty i spędzaliśmy razem każdy wieczór – odpowiedział z radością Tymon.

– Widzisz, więc ty też nie masz powodu do zmartwień. A co do Zaczarowanej Doliny, na pewno jest bardzo miłym i przyjaznym miejscem. Jeśli chcesz, to zaprowadzę cię tam i opowiem jeszcze kilka historii z mojego przedszkola.

Bracia z uśmiechem na twarzy zabrali się za przygotowania do balu. Tymon wpadł na pomysł, że upiecze swoje ulubione ciasteczka i sprawdzi, czy w Zaczarowanej Dolinie również je lubią. Zawołał mamę i wspólnie upiekli trzy blaszki pełne mięciutkich ciastek cynamonowych. Bracia ładnie je zapakowali, ubrali się i wyruszyli w drogę, podskakując z radości.

W Zaczarowanej Dolinie wróżki i elfy odliczały minuty do przybycia nowego gościa. Gdy poczul ciekawą, nieznaną do tej pory zapach, wiedzieli, że osoba, której oczekują, jest już blisko. Włączyli muzykę i zerkając na ścieżkę, ujrzeli Tymona z bratem i mamą.

– Witajcie w Zaczarowanej Dolinie – zawołały wróżki i elfy, wręczając im kubeczki z nektarem.

Po wypiciu nektaru mama z Felkiem udali się do domu, a wróżki i elfy podbiegły do Tymona i zaprosiły go do tańca. Przetanńczyli wspólnie prawie cały bal, śmiejąc się przy tym i podskakując. Nagle Tymon przypomniał sobie, że przyniósł ogromną ilość cynamonowych ciasteczek. Wziął ciężką miskę i zawołał wszystkich do siebie.

– Mam dla was coś pysznego. Świeżutkie ciasteczka cynamonowe, chodźcie i częstujcie się – mówił donośnym głosem Tymon.

Rozdając ciasteczka, widział uśmiech na twarzach rówieśników. Prawie wszyscy, biorąc ciasteczko, przytulali Tymona i zapraszali do wspólnej zabawy.

Bał mijał bardzo szybko. Były wspólne tańce, śpiewy i zabawy. Na koniec wjechał tort i wróżki wygłosiły krótkie przemówienie:

– Tymonie, ogromnie się cieszymy, że do nas przyszedłeś. Na początku martwiliśmy się, że możesz nas nie lubić, ponieważ nie wyglądamy tak jak ty i może mamy inne pomysły na zabawę. Jednak

Bal w Zaczarowanej Dolinie

te wszystkie zmartwienia były niepotrzebne, bo jesteś wspaniałym chłopcem i robisz najpyszniejsze na świecie ciasteczka cytrynowe.

Tymon, słuchając przemówienia, bardzo się ucieszył. Nie martwił się już tym, że wygląda inaczej, ani tym, że nikt nie będzie chciał się z nim bawić. Wszystkie zmartwienia znikły.

– Ja również bardzo się cieszę, że mogłem się z wami zobaczyć. Jesteście mili i nie uwierzycie, ale przed balami w mojej głowie były takie same myśli. Teraz już wiem, że nie warto do nich wracać, ponieważ wygląd i to, skąd pochodzimy, nie jest najważniejsze – odparł Tymon, uśmiechając się szeroko.

Bal dobiegł końca. Po Tymona przyszła mama z bratem. Wszyscy ze smutkiem się żegnali, ściskając się mocno, a wróżki i elfy mówiły „do zobaczenia”.

Jak myślicie, czy Tymon również powiedział „do zobaczenia” i za kilka dni wróci do Zaczarowanej Doliny?

**Przyjaciele –
razem na dobre i złe**

Stefan – nieśmiały hipopotam

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, za oceanami i morzami, na sawannie żyło sobie stado hipopotamów. Jego przywódcą był wielki hipopotam Leonard, który władał nim rozsądkiem i mądrze. Za jego panowania nadeszły jednak bardzo ciężkie czasy. W wyniku ogromnych upałów nastąpiła straszna susza, przez którą zniknął pobliski wodopój. Leonard rozmyślał, co zrobić, aby zapewnić bezpieczeństwo i zdrowie każdemu hipopotamowi. Zwołał więc radę stada, w której zasiadały najsprytniejsze i najbardziej doświadczone hipopotamy. Po burzliwych naradach zdecydowały, że najmłodsze hipopotamy wraz z nauczycielem stada profesorem Kłem wyruszą na poszukiwanie nowego wodopoju. W klasie pana Kła były hipopotamki, które cechowały się odwagą, chęcią rywalizacji i ambicją, ale przy tych wszystkich pozytywnych cechach niektóre z nich były też nietolerancyjne wobec nieśmiałych rówieśników. Każdy z nich chciał być tak samo postrzegany jak hipopotam Konrad – najbardziej lubiany członek stada. Jednym z nieśmiałych hipopotamów był Stefan. Mimo złej kondycji jego mocną stroną była wyobraźnia przestrzenna, orientacja w terenie oraz umiejętność czytania mapy. Stefan nie oczekiwał, że wszyscy będą go lubili, nie zabiegał o uwagę, był bardzo dobrym słuchaczem. Nie wychylał się przed szereg, ponieważ Konrad zawsze komentował jego poczynania. Wyśmiewał się ze Stefana, opowiadał obraźliwe żarty na jego temat. Natomiast marzeniem Stefana było wyłącznie posiadanie kilku kolegów, z którymi mógłby spędzać wolny czas...

Po ustaleniach rady hipopotamów Leonard przybył na lekcję pana Kła, aby poinformować wszystkich, że następnego dnia w ramach praktycznego działania cała klasa razem z profesorem Kłem wyruszy w poszukiwaniu wodopoju dla całego stada. Tak też się stało...

Nazajutrz cała klasa wyruszyła w drogę. Profesor Kieł przed wędrówką zdecydował, że hipopotam Konrad będzie prowadził całą klasę w poszukiwaniu wodopoju.

– Konrad, to ty dzisiaj poprowadzisz nas na północ, ponieważ jak pamiętam, za dawnych czasów hipopotamy w poszukiwaniu wody zawsze kierowały się właśnie w tym kierunku – powiedział profesor Kieł.

– Dobrze, panie psorze, będę przewodniczył dzisiejszej wyprawie! Za mną! – powiedział stanowczo Konrad, patrząc na kompas, jednocześnie wskazując nosem na zachód.

– Czy jesteś pewien, że to właśnie w tę stronę musimy iść? – zapytał profesor Kieł.

– Oczywiście! – parsknął Konrad.

– Ja nie jestem pewien, czy dobrze wskazujesz kierunek naszej wyprawy. Wydaje mi się, że to w tę stronę – stwierdził Stefan spokojnym głosem, wskazując prawidłowy kierunek.

– Ej, ty, wielkoludzie, chyba nie wiesz komu zwracasz uwagę! Ja zawsze wiem, gdzie trzeba się kierować! – wykrzyczał Konrad w stronę Stefana.

– Ja chcę tylko, aby cała nasza drużyna trafiła w porę do celu. Sprawdź jeszcze raz na kompasie. To nic złego, że się pomyliłeś – oznajmił Stefan zrezygnowanym głosem.

– Cooo?! Ty śmiesz mówić, że ja się pomyliłem? Nigdy! Za mną wszyscy! – krzyknął Konrad, kierując się na zachód.

Profesor Kieł wiedział, że Konrad się myli, jednak pozwolił wszystkim podążać za nim.

– Dobrze, więc ruszajmy – oznajmił profesor Kieł. – To ty masz rację. Za niedługo rozwiążemy zaistniałą sytuację – szepnął do Stefana.

Stefan spojrzał zaskoczony w kierunku profesora. Nie spodziewał się, że ktokolwiek zareaguje w taki sposób na zachowanie Konrada.

Po godzinie drogi na zachód Konrad zaczął wątpić w swoje słowa.

– Konrad, czy to na pewno w tę stronę? – zapytał jego kolega Filip.

– Chyba kompas się zepsuł, bo to na pewno nie jest ta strona, którą wskazywałem na początku drogi – kłamał Konrad, by nie przyznać się do błędu.

– Konradzie, na samym początku wyznaczania trasy pomyliłeś się. Byłeś zbyt pewny siebie i nie chciałeś przyznać racji Stefanowi – oznajmił profesor Kieł.

Stefan – nieśmiały hipopotam

– To nieprawda. Kompas się zepsuł – powiedział Konrad słabym głosem.

– Nawet jeżeli kompas jest zepsuty, we współpracy chodzi o to, aby przeanalizować każdy pomysł. Natomiast ty przez swoje uprzedzenia tego nie zrobisz. Twoje zachowanie w stosunku do Stefana było karygodne. On chciał, aby wszyscy dotarli do celu. Jednak ty nie chciałeś przyznać mu racji... – skomentował poważnym tonem profesor Kieł.

– Ale, ale panie profesorze, to nie tak... – zaczął tłumaczyć się Konrad.

– Bardzo proszę, żebyś przeprosił Stefana za twoje niewłaściwe słowa pod jego adresem – przerwał Konradowi profesor.

Konrad pełen pokory i skruchy podszedł do Stefana i zaproponował zgodę. Zdał sobie sprawę, że chęć górowania, jaką objawiał w swoich relacjach ze Stefanem, jest niewłaściwa. Zdecydował się więc wycofać ze stanowiska lidera podczas wyprawy i oddać je Stefanowi.

Zośka

Mam na imię Emilia, ale wszyscy wołają na mnie Emi. Tak jest najprościej. Chodzę do drugiej klasy. Mam dużo koleżanek, z którymi lubię się spotykać, brać udział w różnych grach i zabawach. W naszej klasie jest 13 dziewczynek i 12 chłopców. Właściwie wszyscy się lubimy. Oprócz jednej z dziewczyn – Zośki. Ona jest jakaś inna, jakby z innej planety. Nosi dziwne ubrania. Ma stary obdarty plecak, no i piórnik jakiś taki pospolity, brązowy, skórzany. Kacper kiedyś powiedział, że podobno podrzucono ją rodzicom, ale nie wiem, czy to prawda, ponieważ Kacper słynie z opowiadania nieprawdziwych historii. W każdym razie Zośka jest zawsze z boku. Nie rozmawia z nami. Na przerwach siedzi zawsze gdzieś w kącie. Chłopcy często jej dokuczają, czasem nawet przezywają, np.: „kopciuszek”, „kocmołuch”, a czasem to nawet „śmierdziel”. Choć uważam, że to jest bardzo niemiłe, a na pewno nieprawdziwe. Co prawda Zośka może nie ma modnych ubrań, ale na pewno nie śmierdzi. Pewnego dnia, gdy mieliśmy zajęcia z wychowania fizycznego, pani Agnieszka dobierała nas w pary. Ponieważ brakowało Kasi, była nas parzysta liczba. Pech chciał, że pani połączyła mnie w parę z Zośką. Widziałam miny wszystkich dziewczynek. Żadna mi nie zazdrościła, cieszyły się, że to nie one muszą ćwiczyć z naszym klasowym kopciuszkiem. Zośka podczas ćwiczeń nie odzywała się za wiele, ale przyznam szczerze, że całkiem dobrze poszła nam współpraca w parze. Po zajęciach z wychowania fizycznego wróciliśmy do sali. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. W naszej szkole co roku organizuje się kiermasz świąteczny. Naszym zadaniem było wykonanie kartki lub jakiejś ozdoby bożonarodzeniowej. Z pieniędzy zgromadzonych na kiermaszu szkoła kupowała drobne upominki dla dzieci z pobliskiego domu dziecka. Pani Agnieszka poprosiła, abyśmy w grupach

przygotowali coś na to wydarzenie. Pomyślałam sobie, że skoro tak dobrze poszło nam z Zośką na WF, to może i teraz spróbujemy zrobić coś razem.

– Dziewczyny, może zaprosimy Zośkę do współpracy? – zapytałam.

– No co ty, chyba nie chcesz z nią pracować? – zdziwiła się Ania.

– Dajmy jej szansę, zawsze jest sama – zaproponowałam.

– Jak chcesz, to sama z nią pracuj – powiedziała Ania.

– Okej, ktoś ze mną chce? – zapytałam, ale żadna z dziewczyn nie przyłączyła się do nas.

Na przerwie podeszłam do Zośki, żeby zaproponować jej współpracę:

– Chciałabyś ze mną zrobić coś na kiermasz bożonarodzeniowy? – zapytałam.

Koleżanka zaczerwieniła się, spuściła głowę i cichym głosem zapytała:

– Naprawdę chcesz być ze mną w grupie?

– Tak! – odpowiedziałam bez wahania.

– Dobrze – zgodziła się Zosia.

– Możemy spotkać się u ciebie? Mój tata pracuje zdalnie z domu i potrzebuje spokoju – powiedziałam.

Zosia trochę się zawahała, ale zgodziła się i umówiliśmy się na kolejny dzień po lekcjach. Po powrocie do domu opowiedziałam mamie o swoim dniu w szkole i o Zośce. Mama pochwaliła mnie za to, że nie uległam opinii innych dziewczyn i chciałam pracować z Zośką, mimo że nikt nie chce z nią rozmawiać. Mama powiedziała, że Zośka pewnie jest miłą dziewczynką, a nie czuje się komfortowo wśród rówieśników, ponieważ ma pięcioro rodzeństwa, jej rodzice pracują, aby zapewnić im dach nad głową i jedzenie. Mama mówi, że nie wszystkich stać na nowe modne ubrania, „ale nie szata zdobi człowieka”.

Kolejnego dnia prosto po szkole udałyśmy się do domu Zośki. Był niewielki, ale bardzo zadbane i czysty. Zośka zaprowadziła mnie do swojego pokoju, który dzieliła razem z dwiema siostrami. Wyciągnęła z szuflady kolorowe kartki, ja wzięłam ze sobą różne flamastry i długopisy z brokatem. Po chwili do pokoju przyszła mama Zośki i przyniosła nam ciepłą herbatę i talerzyk z ciasteczkami, które sama dla nas upiekła. Po chwili do pokoju wpadły dwie młodsze siostry,

Zośka

które bardzo chciały pomóc nam w przygotowaniu kartek. Razem z Zośką zgodziłyśmy się na to. Kolejny raz nasza współpraca okazała się bardzo owocna, wyszły nam naprawdę piękne kartki na bożonarodzeniowy kiermasz.

– Myślę, że sprzedadzą się wszystkie – uśmiechnęła się Zośka.

– Jestem tego pewna – powiedziałam.

Po dwóch godzinach ciężkiej, ale pełnej śmiechu i zabawy pracy, wróciłam do domu.

– I jak było? – zapytała mama.

– Myślę, że Zosia jest miłą i sympatyczną dziewczynką. A na pewno jest moją nową przyjaciółką! – dodałam.

Urodziny Zuzi

Zuzia ma 10 lat. Uwielbia bawić się z innymi dziećmi i ze swoją mamą. Pewnego razu mama Zuzi postanowiła zorganizować jej urodziny w sali zabaw. Zuzia była bardzo szczęśliwa z tego powodu. Zaprosiła na swoją imprezę urodzinową kolegów i koleżanki. Zanim jednak urodziny się odbyły, Zuzia codziennie przyjeżdżała do sali zabaw. Było to bardzo kolorowe pomieszczenie. Na ścianach i szybkach przyklejone były wielobarwne kule. Na środku sali znajdowała się ogromna konstrukcja wykonana z różnobarwnych siatek i belek obłożonych miękkimi piankami zabezpieczającymi przed urazami. Na samym dole konstrukcji znajdował się wielki basen wypełniony kolorowymi kuleczkami oraz dwie zjeżdżalnie, które kończyły się właśnie w tym basenie. Zuzia miała swoją ulubioną zjeżdżalnię, która była czerwona i bardzo zakręcona. Aby z niej skorzystać, trzeba było wejść na drugie piętro konstrukcji. Zuzia była zwinną dziewczynką, więc nie sprawiało jej to większego problemu.

Nadszedł dzień urodzin. Dziewczynka była bardzo podekscytowana. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy zobaczy swoich gości i wspólnie spędzą ten dzień! Uroczystość miała się zacząć o w pół do jedenastej. Zuzia przybyła na miejsce już o dziesiątej. Była tak szczęśliwa, że w nocy nie mogła zasnąć. Razem z mamą i animatorką czekały w sali zabaw na przybycie wszystkich gości. Po pewnym czasie sala zaczęła wypełniać się przyjaciółmi dziewczynki. Wśród przybyłych pojawiła się również wychowawczyni. Każdy z osobna przytulił Zuzię i złożył jej życzenia. Gdy już byli w komplecie, zaczęli wspólną zabawę. Nie każdy miał wcześniej możliwość być w takim miejscu. Zuzia była bardzo szczęśliwa, że mogła pokazać innym dzieciom, jak to wygląda i co tu można ciekawego robić. Jednak Zuzia zestresowała się całą sytuacją. Nie potrafiła zjechać

Urodziny Zuzi

ze swojej ulubionej czerwonej zjeżdżalni. Nagle ogarnął ją strach. Zastanawiała się, dlaczego nie może tego zrobić, skoro to uwielbia? Usiadła na zjeżdżalni i chciała zjechać, ale nie mogła. Zaczęła płakać. W pewnym momencie podeszła do niej Klara. Namawiała ją do zjechania. Zuzia odsunęła się od zjeżdżalni. Klara wzięła ją w ramiona i mocno przytuliła. Koleżanka powiedziała Zuzi, żeby się nie przejmowała, że inne dzieci na nią patrzą, że sobie poradzi, że jest silną dziewczynką i powinna to wszystkim pokazać. Zuzia przetarła łzy z oczu. Podziękowała Klarze. Powoli podeszła do zjeżdżalni. Zamknęła oczy i zjechała! Kiedy już była w basenie z kulkami, uśmiechnęła się od ucha do ucha. Krzyknęła głośno, że dała radę. Od tego momentu Zuzia zjeżdżała bez żadnego problemu. Pomagała nawet innym osobom, gdy bały się zjechać. A Klara od tego dnia stała się jej najlepszą przyjaciółką.

Animatorki zaprosiły wszystkie dzieci do salki urodzinowej. Kiedy wszyscy zaczęli śpiewać Zuzi „sto lat”, nie mogła powstrzymać swoich emocji. Rozpłakała się ze szczęścia, wszystkim dziękowała, przytulała, cały czas się uśmiechała. Dostała mnóstwo prezentów. Po zjedzeniu tortu Zuzia zaprosiła dzieci do wspólnej zabawy na konstrukcji. Świetnie się bawili. Zuzia bardzo pomagała innym dzieciom. Cieszyła się, że wszyscy jej przyjaciele tak dobrze się bawią. W przerwach między zabawami podchodziła do mamy i opowiadała jej o tym, co wspólnie robili. Po skończonej zabawie Zuzia podziękowała każdemu dziecku, każde z osobna przytuliła, jak najmocniej umiała. Podziękowała również animatorkom. Była zachwycona, powiedziała, że nigdy wcześniej nie miała tak cudownych urodzin i był to najwspanialszy dzień w jej życiu.

biedronce Basi

Daleko za górami rósł las. Koło niego znajdowała się kwiecista polana. Kołysały się na niej niebieskie chabry, czerwieniły maki. Czasami słyszeć było pisk małych myszek. Słońce otulało złociste słoneczniki. Było tam pięknie.

Na polanie mieszkaly różne owady i zwierzęta, te całkiem malutkie i te duże. Polana była schronieniem dla wielu z nich, ponieważ było tam miło i bezpiecznie.

Na polanie mieszkaly pasikoniki, chrząszcze, motyle, ważki, mrówki, myszy, zające, ptaki, sarenki, jeże i wiele, wiele innych stworzeń. Pomimo takiej różnorodności tworzyły zgrany zespół. Były dla siebie pomocne, oddane i darzyły się szacunkiem. Lubiły ze sobą spędzać miło czas na wspólnej pracy i zabawach. Codziennie po skończonej pracy i czynnościach dnia codziennego spotykały się, by wspólnie świętować. Zbierały się na środku polany. Nazwały to miejsce „drugim domem”. Niestety, wbrew pozorom, nie wszystkie stworzonka odwiedzały polanę.

Pewnego dnia, gdy mieszkańcy polany licznie stawili się by uczcić kolejny udany dzień, ktoś zawołał:

– Hej! Jak się masz? Pierwszy raz cię tutaj widzę, a znam wszystkich z polany. Kim jesteś? – zawołał radośnie chrząszcz Bronek.

– O nie! Zauważył mnie... – pomyślała speszona biedronka Basia, która obserwowała innych z ukrycia. Kiedy usłyszała głos chrząszcza, szybko odleciała do swojego domku.

Biedronka Basia mieszkała w kryjówce wydrążonej w korze drzewa. Miała z niej świetny widok na polanę, a inni mieszkańcy nie wiedzieli o jej istnieniu. Bardzo dobrze się ukrywała i pracowała nocą, tak, żeby nikt jej nie widział. Niestety, Basia nigdy nie była gościem podczas pikniku. Często obserwowała zabawę innych z ukrycia.

Bardzo bała się tego, co nowe i dotąd nieznane. Była nieśmiała. Czuła się przez to bardzo samotna, ale jej strach przed tym, co obce, był silniejszy od chęci poznania nowych przyjaciół. Jednak tego dnia, gdy Bronio ją zauważył, coś się zmieniło.

Podczas spotkania na polanie chrząszcz Bronek postanowił zabrać głos. Był bardzo szanowany przez innych, bo troszczył się o każdego w potrzebie.

– Kochani przyjaciele! Jest wśród nas ktoś nowy. Niestety, chyba się nas boi – powiedział chrząszcz.

– Jak to? Nas? Dlaczego? Jesteśmy mili, jest u nas przyjemnie – mówiły między sobą zdziwione stworzenia.

– Nowym mieszkańcem jest biedronka. Niestety nie wiem, jak ma na imię i gdzie mieszka. Uciekła, kiedy się z nią przywitałem. Myślę, że powinniśmy ją zaprosić do wspólnej zabawy i poznać – dodał Bronio.

Nagle z tłumu wyłoniła się sowa i powiedziała:

– Wiem, gdzie mieszka ta biedronka!

– Świetnie, powiedz nam, sowo – poprosiły zwierzęta.

– Wydaje mi się, że mieszka na drzewie obok mojej dziupli. Czasami widzę, jak świeci się tam światło w nocy. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś tam mieszka. To drzewo od długiego czasu było opuszczone. Dawno temu mieszkała tam pewna rodzina, jednak szybko się stamtąd wyprowadzili – opowiadała sowa, drapiąc się po głowie.

Mieszkańcy polany wspólnie opracowali plan przywitania biedronki. Basia niczego się nie domyślała. Jak co wieczór obserwowała ich. Jednak tego wieczora nieco inaczej się zachowywali.

Gdy nastał nowy dzień, stworzenia odłożyły swoją pracę i zabrały się do organizowania hucznego przyjęcia na cześć biedronki. Zaczęły przygotowywać rozmaite posiłki, kolorowe napoje, tworzyły plakaty z napisami powitalnymi, sprzątały, rozwieszały światełka oraz przygotowywały miejsce do gier. Kiedy nastał wieczór, do drzwi biedronki ktoś zapukał. Basia nieśmiało otworzyła. Jej oczom ukazał się chrząszcz, który zaprosił ją na uroczyste powitanie. Bronio bardzo długo musiał przekonywać Basię, żeby ta z nim poszła. Jednak serdeczne słowa Bronia rozgoniły wątpliwości Basi. Oboje udali się na polanę, gdzie czekali na nich pozostali mieszkańcy polany.

Obiedronce Basi

Biedronka Basia nieśmiało się przedstawiła, a zwierzątka i owady zaprosiły ją do wspólnych gier integracyjnych. Mieszkańcy polany i biedronka poznawali się podczas zabaw, wspólnych rozmów, pysznych posiłków i wspólnie spędzonych chwil. Czas szybko mijał, a Basia odetchnęła z ulgą, bo w końcu nie czuła się samotna. Pomyślała, że nieśmiałość i strach przed tym, co nowe, trzeba przezwyciężyć.

Wilcze sprawy

Na skraju lasu mieszkała całkiem miła wilcza rodzina. Mama Wadera, która była opiekuńczą i troskliwą wilczycą, równie kochający, ale i surowy tata Basior oraz ich synek – wilczek Witek. Był on całkiem mądrym zwierzakiem, który lubił spędzać czas w ciszy, budując olbrzymie budowle z klocków albo po prostu siedząc i rozmyślając nad różnymi wilczymi sprawami.

Zbliżał się początek wilczego roku szkolnego. Witek o tym doskonale wiedział i stresował się na samą myśl o pójściu pierwszy raz do klasowej watahy. Wiedział, że przyjdzie tam dużo innych wilczków, które będą głośne i na pewno zechcą się z nim bawić, na co nasz bohater nie do końca miał ochotę. Wilczek Wituś za zwyczaj wolał spędzać czas sam. Mógł się wtedy wyciszyć i skupić na tym, co robił. A robił wszystko zawsze z wielkim zaangażowaniem i uśmiechem na pyszczku. Unikał zatem wilczego zgietku, głośnych zabaw i pracy w większej wilczej grupie.

Nadchodził ten dzień. Wieczorem tato położył synka do spania i już miał zgasić światło w pokoju, gdy nagle Witek odwrócił się w stronę drzwi i wyjąkał ze łzami w oczach:

– Ja... ja... ja nie dam rady. Proszę, tato, nie chcę tam iść. Te hieny na pewno będą się ze mnie śmiać!

– Przestań, Witek – odparł szybko tata. – Co ty taki dzikus jesteś? Przecież wszystkie wilki w twoim wieku idą do przedszkola. Nie można się tak mazgać. Ja w twoim wieku byłem w takiej wilczej ekipie, z którą hehe... a zresztą, stare czasy, szkoda gadać. Ale ty, synku, też musisz mieć dużo kolegów i na pewno będziesz przez to szczęśliwszy.

Witek nic nie odpowiedział. Wiedział, że z tatą nie ma dyskusji. Zaczął się jednak zastanawiać, czy na pewno byłby szczęśliwszy,

mając więcej znajomych. Rozmyślał tak długo, że aż zasnął. Śniła mu się wataha wilków, które krążą dookoła niego i wytykają go łapami, wykrzykując niemiłe przezwiska. To nie był dobry sen.

O świcie mama przyszła do pokoju i obudziła Witka, przypominając mu, że musi wstawać, bo dziś ważny dzień.

– Nigdzie nie idę! – zawył wilczek, leżąc jeszcze w łóżeczku.

– Ale kochanie... – od razu zareagowała mama, przytulając mocno syna. – Przecież wiesz, że musimy iść dzisiaj do przedszkola. To naprawdę przyjazne miejsce, w którym na pewno nauczysz się wielu ciekawych rzeczy. Przecież ty lubisz poznawać świat i odkrywać nowe rzeczy. Poza tym, może poznasz nowych kolegów i...

– Nie! – zaprotestował Witek. – Nie potrzebuję żadnych kolegów, przecież mam Wojtkę. On jest moim przyjacielem, nie potrzebuję nikogo innego. Tylko Wojtek mnie rozumie. Mnie i moje wilcze, ważne sprawy!

Ach tak, zapomniałam wspomnieć. Wojtek to sąsiad państwa Wilkowyjów, a zarazem najlepszy i jedyny przyjaciel Witka. Znają się od zawsze i rzeczywiście rozumieją wzajemnie jak nikt. Tylko że Wojtek jest starszy o kilka wilczych lat i w tym roku już idzie do szkoły, nie do przedszkola. Witek musi zatem sam poradzić sobie w nowym otoczeniu. Ale może nie będzie tak źle, prawda?

Po licznych namowach i przytulacjach Witek wyszedł z łóżka, ubrał się, zjadł śniadanie, umył kły i był już gotowy do wyjścia. Jego złość przerodziła się w strach. Już nie krzyczał, a w ciszy maszerował w stronę przedszkola, mocno trzymając mamę za łapę. Pewnie myślicie, że Wilczek stchórzył przed samym wejściem. Ale wiecie co? Nic z tych rzeczy! Pierwszy dzień w przedszkolu był fantastyczny! Wituś nawet nie zauważył, kiedy mama wyszła z sali, życząc mu powodzenia. Pani Wanda okazała się bardzo miłą nauczycielką. Serdecznie przywitała Witka i pozwoliła mu wybrać sobie zabawę, z którą chce zacząć dzień. Przeszczęśliwy wilk od razu ruszył do kącika z zabawkami i ślepiom nie wierzył! W swoim wilczym życiu nie widział jeszcze takiej ilości klocków! Układał je prawie cały dzień, nie stresując się i nie zważając na innych. Dopiero przed wyjściem do domu, poczuł na sobie wzrok pewnej małej wilczycy. To była Władzia, najmłodsza córka państwa Wilkowskich. Spokojnie podeszła do Witka i po cichutku zapytała:

– Czeeeeś, czy ty też jesteś może nieśmiały?

Witek podniósł głowę, zaskoczony, że ktoś kieruje do niego jakieś pytanie.

– Ja? Nieśmiały? Ależ skąd, nigdy! – odpowiedział zdecydowanie. – Chociaż... co to właściwie znaczy „nieśmiały”? – spytał z niepewnością w głosie Witek.

– Wszyscy mi mówią, że taka jestem. To chyba znaczy, że trochę wstydzisz się rozmawiać i bawić z innymi wilczkami. Ja tak czasami mam, bo boję się, że coś mi nie wyjdzie i wszyscy się będą ze mnie śmiać...

– Oj, bardzo mi przykro W...yyy... Jak masz na imię? – dopytał Witek.

– Władzia – odrzekła mała wilczyca.

– W takim razie przykro mi, Władziu, że tak się czasami czujesz. Wiesz, ja chyba nie jestem nieśmiałym. Nie boję się tego, co inne wilczki sobie o mnie pomyślą, ja po prostu wolę być czasami sam – wyjaśnił Witek, nie wierząc zbyt w to, co mówi. Przecież jeszcze kilka godzin temu bał się poznać watahę.

– Naprawdę?! I nie boisz się, że wszystko jest na twojej wilczej głowie?! Chciałabym być taka jak ty... – przyznała Władzia.

– Hmm. To nie jest takie trudne, chociaż chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ale nie przeszkadza mi to, lubię spokój i jak nie muszę się z niczym spieszyć. Niektórzy tego nie rozumieją, ale nie muszę za to przepraszać. Swoją drogą, tej całej nieśmiałości też nie trzeba się wstydzić! – na tych słowach Witek zakończył swój wilczy wywód, a Władzia uśmiechnęła się i zamyślona odeszła w stronę stoliczków.

Całą rozmowę słyszała pani Wanda, która kilka kroków dalej przygotowywała przekąski na podwieczorek.

Witek tego dnia wrócił bardzo szczęśliwy do domu. Opowiedział rodzicom o wszystkim, co wybudował tego dnia z klocków. Tata Basior przyznał, że syn był dziś bardzo odważny i w tym momencie wilczek przypominał sobie nagle to, o co zapytała go dzisiaj Władzia.

– Mamo? Tato? Czy ja jestem nieśmiały?

– Który ci tak powiedział?! – od razu zawył Basior.

– Spokojnie, moje wilki, przecież nieśmiałość to nic złego. Poza tym, rozmawiałam dziś z panią Wandą, mówiła, że ładnie się bawiłeś i chętnie opowiadałeś jej o wszystkich swoich budowlach, a jeszcze wcześniej rozmawiałeś miło z jakąś małą wilczyką Wikto....

– Władzia! – wtrącił Witek. – Taak, to ona powiedziała mi o nieśmiałości i wydawała się smutna, więc powiedziałem jej, że to nic strasznego.

– No zuch! Mój synek! – krzyknął tato.

– Oj, na pewno poprawiłeś jej humor. I miałeś rację. Nawet jeżeli ktoś jest nieśmiały i wstydzi się niektórych rzeczy, to nic nie szkodzi. To tylko oznacza, że trzeba mu dać czas na oswojenie się z nowym miejscem. Poza tym przecież nie każdy musi bawić się w dużej grupie wilczków. Czasami warto mieć tylko kilka zwierzaków obok siebie i bardzo o nie dbać.

– Chwila, chwila. Czyli jeżeli nie mam ochoty, to nie muszę się bawić z innymi?

– Oczywiście, że nie – zapewniła mama.

– Cooooo?! – zdziwił się tata.

– Nie można nikogo do tego zmusić – kontynuowała mama Wadera. – Jeżeli w ciszy jesteś bardziej skupiony i wolisz pracować w mniejszej grupie albo sam, to w porządku. Ważne, żebyś czuł się dobrze sam ze sobą!

– Ahaaaaaaaaa – mruknął po cichu tata. Chyba sam zrozumiał, że jego wcześniejsze rady nie były najlepsze.

– Oczywiście są sytuacje, kiedy dla bezpieczeństwa nie możesz być sam. Są też zabawy, które wymagają, żeby bawiło się kilka zwierzątek, ale zawsze, jeżeli będziesz czuł potrzebę prywatności, możesz o tym powiedzieć i odejść na bok na chwilkę.

– Zawsze myślałem, że to wywoła jazgot pozostałych wilczków – dziwił się dalej Witek.

– Nie powinno tak być. Wszystkie zwierzątka powinny się wzajemnie szanować i słuchać swoich potrzeb. Tu nie ma powodów do śmiechu czy jazgotu.

– To znaczy nie będą na ciebie patrzeć wilkiem, hehe – próbował zażartować tata, żeby już rozluźnić atmosferę.

– O, jest nawet takie powiedzenie! „Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka” – to znaczy, że powinniśmy traktować innych tak, jak sami chcemy być traktowani, bo kiedyś role się mogą odwrócić – dodała mama.

– Mam nadzieję, że jednak naszemu synkowi nikt nie będzie dokuczał. A zresztą tylko człowiek człowiekowi wilkiem – stwierdził dumny ze swojego żartu tata.

– CZŁOWIEK?! GDZIE?! – zawył Witek.

Rodzice zaczęli się śmiać i przytulili mocno synka. Oczywiście, jedyny człowiek w okolicy to ten w użytym przez tatę powiedzonku.

Następnego dnia Witek już nie miał trudności z szykowaniem się do przedszkola. Wiedział, co go czeka i że nie ma powodu do zmartwień. Gdy tylko wszedł do sali, przy stoliczku siedziała Władzia i jeszcze jeden chłopczyk, który nic nie mówił. Witek przywitał się, a następnie zapytał, czy nie chcieliby ułożyć z nim wspólnej budowli. Wilki od razu się uśmiechnęły i rozpoczęły wspólną zabawę. Okazało się, że wilk Wiktor to straszna gaduła. Dacie wiarę, że przez dwie godziny praktycznie nie przestawał mówić? To były bardzo ciekawe historie i naprawdę interesowały Witka, ale było ich niesamowicie dużo. W pewnym momencie Witek przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z mamą i powiedział:

– Hej, wilki, potrzebuję teraz trochę побыć sam. Pójdę porysować do stoliczka i potem do was dołączę, dobrze? – zapytał troszkę zestresowany Witek, nie wiedząc, jak na to zareagują jego nowi znajomi.

– No pewnie, nie ma sprawy, kolego! – odrzekł Wiktor.

– Poczekamy na ciebie z końcówką budowania osady – dodała z uśmiechem Władzia.

Witek uśmiechnął się, bo poczuł dużą ulgę. Usiadł przy stoliku, wziął kredki i zaczął rysować najpiękniej jak potrafił. Narysował siebie, Władzię i Wiktora – wszyscy trzymali się za ręce i mieli olbrzymie uśmiechy na swoich pyszczkach. Po skończeniu swojej pracy Witek z nową energią wrócił do przyjaciół.

– O, świetnie wam poszło! Zaraz chyba będzie gotowe – zauważył Witek.

– Trochę nam trudniej szło bez ciebie, jednak co sześć łap, to nie cztery! Kiedyś złamałem dwie łapy... – zaczął historię Wiktor.

– A co ty narysowałeś w tym czasie? – zapytała Władzia, delikatnie zmieniając temat i grzecznie uciszając Wiktora.

– Moich nowych znajomych – was! – odpowiedział Wilczek, pokazując swoje dzieło.

– O rany! Jakie piękne! – zachwyciła się Władzia.

– Czadowe! Tylko czemu mam otwartą buzię? Zaraz mi tam wleci jakaś mucha! – krzyknął w żartach Wiktor.

Wilcze sprawy

W tym momencie wszystkie wilczki zaczęły się śmiać i kontynuowały wspólną zabawę. Od tamtego dnia Witek nie bał się mówić o potrzebie bycia samemu, o tym, że czasami lubi spokój i ciszę. Nie unikał kontaktu z wilczkami, a jedynie potrzebował więcej czasu na ich poznanie, a niekiedy na odpoczynek od innych. Wiedział, że cała wataha go zrozumie i uszanuje jego decyzje.

Nieidealna załoga

Był środek gorącego lata. Ciepły piasek przyjemnie błyszczał w promieniach słońca, a morskie fale tańczące na wietrze delikatnie uderzały o brzeg wyspy. Wszyscy jej mieszkańcy skupieni byli na swoich codziennych czynnościach. Większość z nich odpoczywała w cieniu drzew rosnących w sercu wyspy. Dookoła dało się wyczuć błogi spokój i ciszę. Hipopotam Grubcio oddawał się kąpieli w ulubionej kałuży, wiewiórka Rudzia rozłupywała kolejne orzeszki, wielkonosy dziobak pochrapywał pod jedną z palm, a żyrafa próbowała zrzucić z niej kokosy. W oddali słychać było ciche syczenie węża Arnolda, który pełen zadowolenia po przerwie obiadowej postanowił wystawić swoją skórę na słońce. Dzień jak co dzień.

Nagle rozległ się gong. Z zarośli wyłonił się król wyspy – goryl, wraz ze swoimi zastępami – armią mrówek.

– Halo, pobudka! Moi drodzy, mam wam coś do przekazania – rzekł król z przerażeniem w głosie.

– Witaj, królu – odparły chórem zwierzęta.

– Co takiego się stało? – zapytała z przejęciem żyrafa.

– Niestety nie mam dla was dobrych wiadomości. Nad naszą wyspę nadciąga prawdziwy kataklizm. Z danych otrzymanych z Ministerstwa Tropików wynika, że mamy dokładnie siedem dni na opuszczenie naszej wyspy.

Po usłyszeniu tych słów Grubcio poderwał się na równe nogi, Rudzia stanęła dęba, a pod Żyrafą ugięty się nogi. Rozpoczęły się ożywione dyskusje wśród mieszkańców wyspy, przepełnione niepokojem i drżeniem na myśl o nadciągającej katastrofie.

– Ciszaaaaa! Ciszaaaaa! Przybywam do was osobiście, aby was uspokoić i zapewnić, że specjalnie wyszkolona armia mrówek przychodzi nam z pomocą. Od zaraz ruszają prace nad budową

statku, który pozwoli wszystkich przetransportować na zachód w kierunku bezpiecznej wyspy – oświadczył z przekonaniem król.

– I to wszystko w siedem dni? – zapytał z powątpiewaniem w głosie Arnold.

– Dokładnie tak. Wy w tym czasie spakujcie najpotrzebniejsze rzeczy i o nic się nie martwcie. Żaden kataklizm nam niestraszny! A teraz armio – do roboty! – okrzyknął z dumą król.

Zastępy mrówczej armii od razu zabrały się do pracy. Zwierzęta po wysłuchaniu słów króla zaczęły się zastanawiać, czy aby na pewno mrówki podołają tak wymagającemu zadaniu. Poza tym chętnie by pomogły i przyłączyły się do prac przy budowie statku.

– Królu, ale co my możemy w tej sytuacji zrobić? Przecież nie możemy siedzieć beczynn timer czekać. Chętnie pomożemy – powiedziała w imieniu zwierząt żyrafa.

– Bez urazy, ale... wy? Grubcio swoim ciężarem tylko zgniecie materiały, gdy przypadkiem na nich stanie, Rudzia ma zdecydowanie za mało siły, a ty, Arnoldzie, w jaki sposób miałbyś się przydać, skoro nawet nie masz rąk do pracy? Żyrafo, z tak długą szyją nic tu po tobie. Nie wspomnę o wiecznie śpiącym dziobaku – powiedział nieco oburzony król.

– Dzioba... czy coś mnie ominęło? – zapytał wyrwany ze snu dziobak.

Król, tłumacząc się nadmiarem obowiązków, zniknął w zaroślach. Zwierzęta poczuły się bardzo urażone jego słowami. Nie pozostało im jednak nic innego jak spakować swoje rzeczy i czekać na wybudowanie statku. Cały ten proces nie przebiegał jednak tak pomyślnie, jak założył król.

Trzeciego dnia wycieńczona armia mrówek nie dawała już rady. Postawione przed tysiącami robaczków zadanie przerosło ich możliwości. Zwierzęta, widząc powstałe komplikacje, zaczęły się zastanawiać.

– Może jednak pomożemy i na coś się przydamy? Jeśli nie uda się wybudować statku, nie przeżyjemy nadciągającej katastrofy – zamartwiała się Rudzia.

Wszyscy zgodnie udali się do samego wodza armii mrówek, który na zaoferowaną pomoc nie zareagował wielkim entuzjazmem. Po chwili namysłu rzekł:

– Myślę, że wasza pomoc przyniesie niewiele pożytku. Skoro jednak nie mamy nic do stracenia, macie moją zgodę. Gorzej już nie będzie.

Zwierzęta z ogromnymi pokładami zaangażowania ruszyły na teren budowy. Hipopotam Grubcio zaczął przepychać najcięższe materiały, których przeniesienie dla armii okazało się nie lada wyczynem. Wszystkie belki znalazły się na swoim miejscu. Żyrafa dzięki swej długiej szyi pomogła w zamocowaniu masztu, który sprawnie na samym szczycie zabezpieczyła Rudzia. Armia mrówek, widząc działania zwierząt, dostała nowej energii i zwiększyła obroty.

Raz, dwa powstał solidny pokład statku dzięki niezastąpionej pomocy Grubcia, który powbijał gwoździe w odpowiednie miejsca. Arnold dzięki swej zwinności wślizgiwał się między szczeliny, sprawdzając i nadzorując powstające konstrukcje. Długonosy dziobak zajął się aspektem wizualnym statku, dbając szczególnie o wyznaczenie strefy wypoczynkowej składającej się z hamaków oraz legowisk idealnych na poobiednie drzemki. Tak oto nadszedł siódmy dzień. Powiększona w składzie armia dokonywała ostatnich poprawek. Rudzia zajęła się sprzątaniem, wykorzystując swoją kitę, żyrafa odkurzała wysoki maszt. Nagle rozległ się gong. Oto nadszedł król wyspy.

– No, no, jestem pod wrażeniem! Widać, że pracowaliście w pocie czoła – powiedział, kierując swe słowa do wodza mrówek.

– Zgadza się. Nie było łatwo, ale udało się. Musisz wiedzieć, królu, że sami nie dalibyśmy rady. Tylko dzięki pomocy zwierząt to się udało – przyznał wódz.

– Jak to? – zapytał zdziwiony król.

– Grubcio pomógł swą niesamowitą siłą fizyczną, Arnold zwinnie dostał się do najdalszych zakamarków silnika, żyrafa zajęła się wysokimi partiami budowli, Rudzia sprawnie dokonywała poprawek i dbała o porządek, a dzięki dziobakowi każdy będzie miał miejsce na odpoczynek w trakcie podróży! – podsumowała pełna wdzięczności mrówka.

Król był w szoku. Podrapał się po głowie i powiedział z zakłopotaniem:

– W takim razie nie pozostaje mi nic innego jak bardzo was przepraszać za moje słowa. Proszę o wybaczenie. Wcześniej was nie doceniałem, ale teraz widzę, że każdy z was jest wyjątkowy i każdy na swój sposób pomógł w zakończeniu budowy. Bardzo wam dziękuję. Czasem szybciej mówię niż myślę.

– Nic nie szkodzi. Nikt nie jest idealny. Najważniejsze, że misja zakończyła się sukcesem! – rzekła szczęśliwa żyrafa.

Nieidealna załoga

We wspaniałych nastrojach wszyscy weszli na pokład statku. Ze wzruszeniem żegnali swoją wyspę, udając się w kierunku bezpiecznego lądu, aby tam rozpocząć nową, wspaniałą przygodę. Pozostawiając hen za sobą nadciągający kataklizm, cieszyli się urokami podróży. Znowu w pełni mogli radować się spokojnymi falami, słońcem, a dziobak rozkoszować się niczym niezmąconą drzemką. Dzień jak co dzień.

**Gdy w życiu dużo
się zmienia...**

Dwa domy

Kasia mieszła razem z rodzicami w małym miasteczku. Ich dom znajdował się z dala od centrum, na uboczu. Był bardzo przytulny, a za nim znajdował się wielki, piękny ogród. W ciepłe dni Kasia spędzała w nim każdą wolną chwilę. Najbardziej lubiła huśtać się na huśtawce, którą specjalnie dla niej zrobił tata. Uwielbiała też wspólne wieczory z rodzicami. Czytali wtedy razem książki albo spędzali czas przy grach planszowych. Tata najbardziej lubił „Grzybobranie”, z kolei mama zawsze chciała grać w „Chińczyka”. Tata zawsze przegrywał, ale tak naprawdę to pozwalał wygrywać Kasi albo mamie. Bardzo cieszył się, gdy któraś z nich świętowała wygraną.

W dni wolne od pracy oraz w weekendy rodzina spędzała wspólnie czas w ogrodzie. Tata huśtał Kasię, zaś mama z uśmiechem na twarzy przyglądała się wszystkiemu z leżaka. Ogród był miejscem zabaw również w zimie. Wspólne lepienie bałwana czy bitwa na śnieżki sprawiały wszystkim mnóstwo radości.

Na co dzień również rodzina spędzała razem dużo czasu. Rano jedli wspólnie śniadanie przygotowane przez mamę, która robiła również tacie drugie śniadanie do pracy. Po drodze do pracy mama zawsze odwoziła Kasię do przedszkola. Rodzice często odbierali Kasię wspólnie i chodzili na długie spacery do parku, na lody, a czasami do kina.

Po powrocie do domu zawsze jedli razem obiad. Tata opowiadał mamie, jak mu minął dzień w pracy, co się działo w ciągu dnia. Mama robiła to samo. Kasia też zawsze opowiadała, jak spędziła dzień w przedszkolu. Rozmowy trwały bardzo długo i zawsze było przy tym mnóstwo śmiechu. Tata żartował z mamą na wiele tematów. Uśmiechali się i często trzymali za ręce w trakcie rozmowy.

Rodzice zawsze wspierali się we wszystkim. Tata po obiedzie pomagał mamie w kuchni. Gdy mama pracowała w ogrodzie, uprawiała

piękne kwiaty, tata jej w tym pomagał. Nie pozwalał jej się przemęczać. Gdy tata kosił trawę albo majsterkował w garażu, mama zawsze dbała o to, by miał co pić, robiła mu pyszną lemoniadę. Kasia również starała się pomagać rodzicom, bardzo lubiła spędzać z nimi wspólnie ten codzienny czas. Uwielbiała wspólne wypieki z mamą. Tata często podbierał świeże, jeszcze ciepłe pierniczki z piekarnika. Było przy tym dużo śmiechu, mama zawsze z tego żartowała i groziła tacie palcem.

Tata czasem zostawał dłużej w pracy, ale zawsze w takich dniach przynosił mamie piękne kwiaty! Mama bardzo się z nich cieszyła, Kasia również dostawała swój bukiet dla „księżniczki tatusia”. Było to bardzo miłe, Kasia czuła się jak prawdziwa księżniczka, a mama była uśmiechnięta i szczęśliwa.

Tak Kasi mijały kolejne dni, aż pewnego popołudnia mama przyjechała do przedszkola dużo wcześniej niż zwykle. Zdarzało się to już wcześniej, ale zawsze Kasia o tym wiedziała, rano przy śniadaniu rodzice mówili jej, że ma wizytę u lekarza albo muszą iść z nią na zakupy i mama albo tata przyjedzie po nią wcześniej. Poza tym tego dnia to tata miał ją odebrać. Gdy Kasia wróciła z mamą do domu, czekał na nich tata. Był bardzo zdenerwowany. Okazało się, że pojechał po nią do przedszkola, a jej tam nie było. Rodzice strasznie posprzeczali się z tego powodu. Zdarzało im się wcześniej kłócić, ale wieczorem byli już w dobrych humorach i uśmiechali się do siebie. Zawsze godzili się jeszcze tego samego dnia.

Tym razem jednak nie było wspólnego „Grzybobrania”, tatuś musiał zrobić coś ważnego do pracy i zamknął się w gabinecie. Mama też nie była w dobrym humorze, przeczytała Kasi rozdział książki i powiedziała, że bardzo boli ją głowa i musi położyć się spać. Kasia zmartwiła się tym, ale uznała, że jutro wszystko znów będzie jak zawsze.

Jednak rano przy śniadaniu rodzice nie rozmawiali ze sobą. Tata wciąż był zły na mamę, że nie powiedziała mu o zabraniu Kasi na wspólne zakupy. Kasia zapytała rodziców, czy to przez nią się pokłócili. Tata powiedział, żeby się nie przejmowała, to nie jej wina, po prostu nie dogadał się z mamą, stąd te nerwy. Po południu tata wrócił do domu z kwiatami dla mamy i Kasi, tym razem jednak tylko Kasia cieszyła się ze swojego „bukietu księżniczki”. Mama przyjęła kwiaty, ale uśmiech zagościł na jej twarzy tylko przez chwilę. Przy

obiedzie rodzice nie żartowali jak zawsze, jedynie Kasia opowiadała z uśmiechem, co ją spotkało tego dnia w przedszkolu.

Wieczorem podczas wspólnej gry tata znów posprzeczał się z mamą, nie chciał znów grać w „Chińczyka”. Kasi zrobiło się bardzo przykro, nigdy do tej pory rodzice nie kłócili się o takie rzeczy. Kasia zwróciła uwagę, że nie powinni się o to sprzeczać, jednak rodzice jej nie słuchali. Mama kazała iść Kasi do swojego pokoju, a sama została z tatą i długo rozmawiali podniesionymi głosami.

Kasia zauważyła, że coraz częściej zdarzały się sytuacje, kiedy rodzice się o coś sprzecali. Nie byli uśmiechnięci przy wspólnym posiłku, żartowali z Kasią, ale pomiędzy sobą już nie. Tata coraz częściej wracał z pracy później. Nie zawsze przynosił też kwiaty, do tej pory się to nie zdarzało. Po obiedzie mama sprzątała sama. W ogrodzie tata też pracował już sam, mama nie przynosiła mu lemoniady. Tata często zamykał się też w gabinecie, miał bardzo dużo pracy. Nie miał tyle czasu dla Kasi co wcześniej. Mama też miała dużo pracy albo bardzo bolała ją głowa i nie miała chęci do żartów ani do rozmowy.

Coraz częściej Kasia czytała wieczorem książki tylko z mamą albo tylko z tatą. Mama płakała też coraz częściej, zwłaszcza kiedy tata wracał późno z pracy. Kasia czuła się bardzo smutna z tego powodu, próbowała pocieszać mamę. Chciała też spędzać więcej czasu z tatą, ale on też często był w złym humorze.

Pewnego dnia rodzice przyjechali odebrać Kasię z przedszkola wcześniej niż zwykle. Kasia zdziwiła się tym, przy śniadaniu nikt jej o tym nie powiedział. Ucieszyła się jednak, bo już bardzo dawno nie byli na wspólnym spacerze albo w kinie. Kasia była pewna, że znów wszystko wróci do normy i będzie tak szczęśliwa jak dawniej. Tym razem jednak prosto z przedszkola pojechali do domu.

Rodzice usiedli z Kasią przy kominku, gdzie zwykle odbywało się „Grzybobranie”. Tata powiedział Kasi, że rozwodzi się z mamą i będą mieszkali osobno. Kasia zostanie z mamą w ich domu, a tata przeprowadzi się do mieszkania w centrum miasta. Mama tłumaczyła Kasi, że nadal z tatą oboje ją bardzo kochają i zawsze będzie ich „małą księżniczką”. Dziewczynce zrobiło się bardzo, bardzo smutno. Zapytała rodziców, dlaczego nie mogą być dalej razem, dlaczego nie mogą mieszkać wspólnie w ich domu. Kasia była bardzo przejęta, uważała, że to przez nią rodzice zaczęli się kłócić i teraz przez będą się rozwodzić.

Rodzice uspokajali ją, że to nie jej wina. Że dorośli czasem się po prostu nie dogadują i się rozstają. Obiecali Kasi, że będzie mogła widywać się z tatą, kiedy tylko zechce. Że tata w dalszym ciągu będzie ją mógł odbierać z przedszkola, chodzić z nią na spacer.

Dla Kasi nie było to wystarczające, chciała, aby rodzice mieszkali razem. By grali wspólnie w gry, by spędzali weekendy wspólnie w ogrodzie. Zdawała sobie sprawę, że o te wszystkie rzeczy będzie teraz bardzo trudno. Było jej bardzo smutno.

Po pewnym czasie tata wyprowadził się do nowego mieszkania. Kasia została w domu z mamą. Teraz to z mamą spędzała wieczory na czytaniu książek, grze w „Chińczyka”. To mama huśtała ją na huśtawce. Nie było już jednak tak jak wcześniej, brakowało przy tym wszystkim taty. Wprawdzie tata często zabierał Kasię do siebie, spędzali wspólnie czas, odbierał ją z przedszkola, ale brakowało przy tym z kolei mamy. Kasia bardzo tęskniła za chwilami, gdy spędzali czas z mamą i tatą razem, we trójkę.

Kasi było bardzo smutno z tego powodu. Żałowała, że rodzice nie spędzają z nią czasu wspólnie. Czasem myślała, że to wszystko jej wina. Aż w pewien weekend do mamy przyjechała jej znajoma ze studiów, a wraz z nią jej córka Justyna. Dziewczynki znały się już wcześniej, ich rodzice spotykali się przy okazji różnych domowych uroczystości, imienin czy urodzin.

Justyna zauważyła, że Kasia zachowuje się inaczej, niż ją zapamiętała. Jest smutna i nie uśmiecha się tak często, jak to miała w zwyczaju. Zapytała Kasię, dlaczego tak się dzieje. Kasia opowiedziała jej o całej sytuacji, o tym, że rodzice mieszkają osobno. Że nie są już razem. Justyna uśmiechnęła się do Kasi i powiedziała jej, że to nic strasznego. Dziewczynka opowiedziała jej swoją historię, bardzo podobną do tej Kasi. Jej rodzice też często się kłócili, aż w końcu postanowili się rozwieść, tata wyprowadził się do nowego domu. Justyna zwróciła jednak uwagę Kasi, że od tego czasu jej rodzice przestali się kłócić i że nawet czasem się do siebie uśmiechają i żartują. Wprawdzie nie mieszkają razem, ale Justyna bardzo często widuje się z tatą i robią te same rzeczy co przed rozводом rodziców. Czasem mama zaprasza tatę na obiad, spędzają wtedy czas we trójkę jak wcześniej.

Kasia zamyśliła się i zwróciła wtedy uwagę na pewną rzecz. W ostatnim czasie mama rzeczywiście przestała tak często płakać

Dwa domy

w sypialni. Nie przypominała sobie, by rodzice kłócili się ostatnio, zaczęli ze sobą rozmawiać. Przypomniła sobie za to, że w zeszłym tygodniu zauważyła, że gdy tata odbierał ją w weekend, rozmawiał z mamą zupełnie spokojnie i nawet z nią żartował. A wczoraj przyszedł, by naprawić huśtawkę, jeszcze niedawno mama martwiła się, kto będzie to w stanie zrobić.

Dziewczynka zrozumiała, że to, że rodzice się rozwiedli i mieszkają osobno, nie oznacza, że rozstają się z nią. W dalszym ciągu jest „księżniczką” tatusia i mamusi. Wprawdzie tata nie mieszka już z mamą i pewnie nigdy już nie będą razem, to na pewno zostaną przyjaciółmi i na pewno nie przestaną jej kochać. Kasia uśmiechnęła się na tę myśl.

Z zamyślenia wyrwało ją wołanie. Dziewczynki pobiegły do ogrodu, gdzie czekały na nie ich mamy. Upiekły pierniczki i przygotowały lemoniadę. Dziewczynki wspólnie spędziły całe popołudnie na huśtawce, tej, którą naprawił wczoraj tata Kasi.

Już nie będę sam?

Niedaleko lasu w małej norce mieszkał sobie lisek Ryś, który był jednakiem. Bardzo kochał swoich rodziców i chętnie spędzał z nimi czas. Najbardziej lubił chodzić na wycieczki do lasu, grać w planszówki i słuchać bajek opowydanych przez rodziców. Czuł się kochany i doceniany.

Pewnego słonecznego dnia Ryś z tatusiem wracali z przedszkola. Zauważyli po drodze plac zabaw.

– Tatusiu, mogę pohuścić się na huśtawce? – zapytał Ryś.

– Dobrze, synku, ale ostrożnie – odpowiedział tata.

Ryś szybkoitko pobiegł w stronę huśtawki. Po chwili na plac zabaw przyszedł miś ze swoją mamusią.

– Misiu, dlaczego twoja mama ma taki duży brzuszek? – zapytał lisek.

– Ponieważ ma w nim dzidziusia, będę miał siostrę. Już nie mogę się doczekać, aż pokażę jej moje zabawki – odpowiedział miś i poszedł z Rysiem na huśtawkę.

Po południu tatuś z mamusią szykowali obiad, uśmiech nie schodził im z twarzy. Po chwili całą rodziną siedli przy stole, by zjeść posiłek. Nagle mamusia powiedziała do synka:

– Mamy dla ciebie niespodziankę, w moim brzuszku rośnie mały lisek. Będiesz miał rodzeństwo.

– Ale jak to? Będę musiał dzielić się z kimś moim pokojem i zabawkami? Nie będę już dla was najważniejszy? – wykrzyczał Ryś płaczącym głosem i uciekł do swojego pokoju.

Lisek schował się pod łóżkiem i zachodził w głowę: „Co będzie dalej? Czy rodzice będą mnie nadal kochać? A jeśli nowe dziecko bardziej im się spodoba?”.

Po pewnym czasie do pokoju przyszła mama.

Już nie będę sam?

– Rysiu, wiesz, że kochamy cię najmocniej na świecie. Jak mogłeś pomyśleć, że to się kiedykolwiek zmieni? – rzekła przejętym głosem mama i mocno przytuliła liska.

Wytłumaczyła synkowi, że nadal będą wspólnie spędzać czas, chodzić do lasu i grać w planszówki. Ryś uspokoił się i zasnął w ramionach mamusi.

Jakiś czas później, kiedy rodzice odprowadzali liska do przedszkola, Ryś zauważył misia i zapytał:

– Misiu, czy twoja siostrzyczka wyszła już z brzuszka mamusi?

– Tak, lisku, moja siostrzyczka jest prześliczna, pięknie pachnie i bardzo lubi, jak ją rozśmieszam – odparł miś i poszedł z liskiem do przedszkola.

Kilka miesięcy później urodził się rudawy Antoś. Ryś na początku ze zdziwieniem przyglądał się bratu, nie mógł uwierzyć, że jest taki malutki, pomarszczony i ciągle płacze. Tatuś wytłumaczył synkowi, że on też tak kiedyś wyglądał i płakał. Ryś podszedł do swojego braciszka i spojrzał mu głęboko w oczy, a ten szeroko się do niego uśmiechnął. Ryś bardzo się ucieszył i szybkoitko pobiegł po zabawki, aby móc je pokazać swojemu młodszemu braciszkowi.

Milenka została siostrą!

Niedaleko stąd, w pewnym mieście, żyła sobie Milenka. Mieszkała w domu z mamą i tatą. Lubiała rysować, tańczyć i głośno śpiewać. Milenka była już na tyle dużą dziewczynką, że uczęszczała do pobliskiego przedszkola. Często odbierała ją stamtąd ukochana babcia. Gdy wracały z przedszkola, chodziły do cukierni i kupowały pyszne drożdżówki ze słodkim serem. To było bardzo miłe! Milenka uwielbiała te wspólne, spokojne powroty do domu.

Pewnego dnia babcia przyszła po Milenkę, ale nie wybrały się wspólnie do cukierni. Babcia bardzo się spieszyła. Powiedziała Milence, że dziś jest „wielki dzień” i muszą jak najszybciej wrócić do domu. Co to znaczy „wielki dzień”? Czy dni są duże i małe? Milenka tego nie wiedziała. Czasem zupełnie nie rozumiała, co mówią do niej dorośli. Oni używają takich śmiesznych słów!

Milenka wspólnie z babcią wróciły do domu. Tata, z szerokim uśmiechem na ustach, powitał je w drzwiach. Milenka weszła do salonu i... ach! Poczula wielką radość! Wróciła mama! Milenka nie widziała jej bardzo długo, bo mama była w miejscu, które nazywa się szpital. Nie wróciła sama, wróciła z dzidziusiem. „To chyba właśnie znaczy «wielki dzień»” – pomyślała Milenka. Dziewczynka przypomniała sobie, że ostatnio cała rodzina przygotowywała się do tego dnia.

Wszystko zaczęło się jakiś czas temu. Mama pokazała jej swój rosnący brzuszeczek i powiedziała, że już wkrótce będzie miała siostrę. Milena bardzo się ucieszyła, bo lubiła bawić z innymi dziećmi. To dużo fajniej niż samej. Mogłyby razem śpiewać i tańczyć, stworzyć zespół muzyczny i robić tyle innych rzeczy! Dziewczynka naprawdę bardzo się cieszyła.

Teraz patrzyła na siostrę i myślała: „Hmm... trochę za mała, żeby trzymać mikrofon... Ale pewnie niedługo urośnie. Tak, jak zrobiła to w brzuchu!”

Mijały dni, tygodnie, a mała Gosia dalej nie była wystarczająco duża, żeby bawić się wspólnie ze swoją siostrą. Gosia, zamiast śpiewać – głośno płakała. Mama i tata wyglądali na bardzo zmęczonych, do tego nie chcieli, żeby Milenka śpiewała i tańczyła w każdym pokoju, tak jak robiła to dotychczas. Milence było przykro i czuła złość. Rodzice nagle nie mieli czasu dla niej, a całą swoją uwagę poświęcali maleńkiej siostrze. Nie tak dziewczynka wyobrażała sobie pojawienie się rodzeństwa. Miało być zupełnie inaczej!

Był ciepły, wiosenny dzień. Milenka bawiła się na przedszkolnym placu zabaw. Wesoło skakała po trawie, krzyczała z radości, gdy wysoko huśtała się na huśtawce. To takie miłe biegać, tańczyć, głośno się cieszyć i brudzić. Milenka była bardzo szczęśliwa. A jeszcze bardziej ucieszyła się, gdy zobaczyła babcię, która przyszła odebrać ją z przedszkola. Na pewno uda jej się namówić babcię, żeby poszły do cukierni. Babcia przyszła z malutką Gosią w wózku. Milenka jeszcze trochę gniewała się na siostrę, ale na myśl o słodkiej drożdżówce poprawił jej się humor. Dlatego ucałowała siostrę w czoło na przywitanie i wszystkie trzy szybko wyszły z przedszkola. Skierowały się w stronę cukierni, gdy nagle mała Gosia zaczęła strasznie płakać. Płakała bardzo, bardzo głośno. Babcia próbowała ukotysać Gosię, ale ona nie chciała się uspokoić.

– Ach, Milenko, wybaczone, ale pójdziemy do cukierni innym razem. Wróćmy szybko do domu, bo nie wiem, co się stało Gosi. Mama będzie wiedziała, co robić – powiedziała babcia.

Milenka poczuła straszną złość. Nie chciała wracać do domu. Chciała odwiedzić ulubioną cukiernię teraz, natychmiast! Gdy tylko weszły do domu, zdjęła szybko buciki i poszła prosto do swojego pokoju. Dziewczynka nie przywitała się z mamą, która chciała ją przytulić, zanim zaopiekuje się płaczącą Gosią.

W pokoju Milenki znajdował się piękny, kolorowy namiot. Dziewczynka trzymała w środku wszystkie ulubione przytulanki. Ten namiot był dla Mileny wyjątkowym miejscem – mogła w nim odpocząć, gdy zmęczył ją wesoły taniec, opowiedzieć pluszowym misiom o kłótni z rodzicami lub najlepszą koleżanką, uspokoić się, gdy była smutna. Dlatego teraz, gdy była tak bardzo zła na płaczącą siostrę,

usiadła w tym namiocie i zaczęła cicho popłakiwać. Po chwili do jej kryjówki zajrzała mama.

– Wiedziałam, że cię tu znajdę – powiedziała łagodnie mama i podała dziewczynce chusteczkę. – Co cię zezłościło, kochanie?

Milenka nie wiedziała, jak ma opowiedzieć mamie, co czuje. A jeśli mama pomyśli, że Milenka nie lubi siostry? Jeśli się na nią za to rozłości? To przecież wcale nie tak, że dziewczynka wcale nie lubi siostry, śmiesz ją jej małe rączki i stópki i to, jak się uśmiecha i patrzy na grzechotki. Jednak Milenka postanowiła być dzielna i opowiedzieć, co się dzieje.

– Chciałam tylko pójść z babcią do cukierni, a Gosia zaczęła płać. Teraz niczego nie mogę robić, kiedy Gosia jest obok. Nie mogę tańczyć, śpiewać, nawet zjeść drożdżówki!

Mama kiwała głową, słuchając dziewczynki.

– I dlatego teraz jest ci smutno? Bo myślisz, że niczego już nie możesz robić? – spytała.

– Tak – odpowiedziała Milenka.

– To bardzo ważne, że o tym mówisz. Nie chcę, żebyś tak się czuła. Wiesz, gdy byłaś mała, też wszyscy się tobą zajmowaliśmy. Przy tak małych dzieciach jest duuuużo pracy. Nie potrafią chodzić, bardzo łatwo mogą sobie zrobić krzywdę, więc trzeba na nie cały czas uważać. Nie umieją mówić, więc płaczą, gdy jest im źle, a my musimy zgadywać, o co im chodzi. Czasem to stresujące. Czasem czuje się wtedy złość i smutek, tak jak ty teraz, ale nie ma w tym nic złego!

Milenka ciężko westchnęła, zrobiło jej się trochę lżej. Mama mocno ją przytuliła.

– Teraz jesteś już duża, potrafisz sobie radzić w wielu sytuacjach. Gosia też kiedyś taka będzie. Bardzo cię kocham i jestem z ciebie bardzo dumna. Babcia też cię kocha i na pewno nie chciała sprawić ci przykrości.

Milence znów zrobiło się trochę przykro, gdy przypomniała sobie o cukierni.

– Chcę iść do cukierni, mamó – powiedziała, pochlipując.

– Pójdziemy tam, córciu, ale najpierw chciałabym żebyś się uspokoiła i przyszła do salonu. Potrzebujemy z babcią twojej pomocy.

Milenka wtulała się w mamę jeszcze chwilę, a gdy poczuła się już lepiej, powiedziała o tym mamie i poszły razem do salonu. Na fotelu siedziała tam babcia z jeszcze trochę niespokojną Gosią.

Milenka została siostrą!

– Milenko, może zaśpiewasz Gosi jakąś ładną piosenkę, a ja ją utulę. Myślę, że wtedy się uspokoi.

Milenka nie do końca wiedziała, co odpowiedzieć babci. Wciąż miała odrobinę żalu do siostry. Pomyślała jednak, że mama ma rację, Gosia jest mała i nie potrafi uspokoić się tak szybko jak ona. Pomyślała też, że przecież tak bardzo lubi śpiewać i nareszcie ktoś chce, żeby śpiewała przy małej siostrze! Pokaże więc Gosi, jakie to fajne. Milenka zaczęła śpiewać piosenkę z przedszkola. Siostrzyczka chwilę jeszcze popłakiwała, ale potem się uspokoiła.

„Och, to było trochę męczące, nawet dla mnie, a ja przecież lubię śpiewać” – Milenka pomyślała, że mama i tata też muszą być zmęczeni.

Gosia zasnęła, a babcia spytała Milenkę:

– To co, może pójdziemy do cukierni?

– Taaak! – krzyknęła Milenka z radością.

Mała Gosia zmarszczyła brwi i jęknęła.

– Ojejku, przepraszam, tak – poprawiła się dziewczynka, tym razem powiedziała to już nieco ciszej, aby nie obudzić siostry.

Milenka nadal nie zawsze wie, jak zachować się jako siostra. Uczy się nią być, a pomaga jej w tym mama, tata i babcia. Mała Gosia rośnie i potrafi coraz więcej, więc jest też coraz łatwiej. Milenka wie, że może czuć różne emocje i to jest w porządku. Może zawsze o tym porozmawiać z kimś, kto ją pocieszy. Gosia też będzie uczyć się być siostrą Milenki. Na pewno czeka je razem dużo wspólnych przygód.

Sikorka w lesie uczuć

W północnej części Polski, w pewnej małej wiosce, rósł piękny las. Rozciągał się na całej długości malowniczej wsi. Las skrywał pewną tajemnicę, ale o jego sekrecie wiedziały tylko mieszkające w nim zwierzęta. Drzewa posiadały zdolność odgadywania emocji. Na jednym z nich mieszkała rodzina sikorek: mama, tata i ich mała córeczka Jasia. Ich gniazdo położone było na najwyższej gałęzi pięknej brzozy pokrytej mnóstwem liści, które wiatr delikatnie wprawiał w ruch.

Pewnego dnia rodzice Jasi wezwali ją na pogawędkę na czubku drzewa, skąd roztaczał się przepiękny widok na cały las. Kiedy tylko skończyli rozmawiać, połowa drzewa jakby posmutniała. Gałęzie opadły prawie do puszystego mchu, a kolor stracił nasycenie. Dotychczas piękne, zielone liście stały się jakby poszarzałe. Tymczasem druga połowa drzewa nadal była przepiękna. Gałęzie były masywne i sięgały prawie do chmur. Listki pozostały zielone i świeące, jakby delikatnie muśnięte rosą. Za taki stan drzewa oczywiście odpowiadały emocje ptasiej rodzinki. Okazało się, że rodzice Jasi spodziewają się nowego członka rodziny i są z tego powodu prześczęśliwi. Niestety, mała Jasia nie przyjęła tej wiadomości zbyt dobrze i pogrążyła się w rozpacz. Smutek Jasi odzwierciedlał się w gorszej kondycji drzewa, natomiast szczęście rodziców w tej tętniącej życiu.

Jasia nie chciała mieć rodzeństwa, bała się, że rodzice przestaną ją kochać i nie będą poświęcać jej tyle czasu co dotychczas. Mała sikorka postanowiła, że nazajutrz, zamiast iść do szkoły, ucieknie z domu. Jak postanowiła, tak też uczyniła.

Rodzice rano przeprowadzili z nią jeszcze jedną rozmowę. Chcieli zapewnić swoją pociechę, że bez względu na wszystko cały czas będą ją kochać i nic ani nikt tego nie zmieni. Jasia nie odezwała

się do nich ani jednym słowem, ale rodzice doskonale wiedzieli, co czuła. Przy drzewie odzwierciedlającym emocje nie sposób było cokolwiek ukryć. Mała sikorka wyleciała z gniazda, mijała na swojej drodze różne drzewa. Każde dotknięcie jej małych skrzydełek o gałąź bądź listki powodowało, że działo się z nimi to samo, co z drzewem, na którym mieszka. Razem z jej smutkiem posmutniał też las. Mała ptaszyna leciała i leciała... Chyba sama nie wiedziała, dokąd się udać. W pewnym momencie Jasia zatrzymała się przy polanie, na której rośło piękne, rozłożyste drzewo. Niektóre jego gałęzie były tak ciężkie i wielkie, że opierały się o ziemię. Widać było, że ma już swoje lata. Jasia obleciała drzewo dookoła, przysiadła na jednej z gałęzi i zaczęła cichutko płakać. Nagle usłyszała pewien głos:

– Jasiu, Jasiu, czemu się smucisz? Zobacz, co dzieje się z moimi liśćmi od twoich maleńkich łez.

Sikoreczka rozejrzała się z przestachem dookoła, ale nikogo nie było, więc odparła:

– Kto tu jest?

– No jak to kto? To ja dąb, drzewo, na którym wyptakujesz swoje małe smutki – usłyszała w odpowiedzi.

– Nie wiedziałam, że drzewa potrafią również mówić – oznajmiła zdziwiona Jasia.

– Potrafimy, ale odzywamy się tylko, kiedy ktoś nas bardzo potrzebuje – odpowiedział dąb.

Drzewo przekonało ptaszka do zdradzenia mu powodów swojego smutku, mimo że doskonale o nich wiedziało, ponieważ drzewa przekazują sobie informacje za pomocą wiatru. Stary dąb chciał bezpośrednio od Jasi usłyszeć o jej uczuciach. Drzewa przywiązują szczególną wagę do mówienia o swoich emocjach, zarówno tych przyjemnych, jak i tych trudniejszych. Według starego dębu dzięki rozmowie można poczuć się lepiej i tylko dzięki niej nasi bliscy będą w stanie udzielić nam wsparcia.

Kiedy Jasia opowiedziała o swoich obawach i ucieczce z domu, dąb poprosił ją, aby zajrzała do szczeliny w jego pniu. Jasia, choć niechętnie, weszła do środka drzewa. Na jednej ze ścian znajdujących się wewnątrz, zauważyła ogromny kolorowy liść, obok którego znajdował się mały czerwony guzik.

– Jasiu, podejdź do liścia i wciśnij dziobem czerwony guzik. Chcę ci coś pokazać. To, co zobaczysz, dzieje się właśnie teraz – z powagą w głosie oznajmił dąb.

Na liściu pojawili się jej rodzice. Mieli smutne dzioby, a łzy spływały po ich piórach. Drzewo, na którym mieszkali, dotychczas w połowie smutne i w połowie radosne, teraz całe pokryte były szarością.

– Jasiu, jak myślisz, czemu twoi rodzice są tak bardzo zrozpaczeni? – zapytało drzewo.

– Nie wiem... Może... – sikorka nie dokończyła zdania, jedynie stała wpatrzona w rodziców.

– Oj, kochana, rodzice dowiedzieli się, że uciekłaś. Bardzo się o ciebie boją, bo jesteś ich dzieckiem i mocno cię kochają – dodało drzewo.

– Niemożliwe! Będą mieć nowe dziecko, więc nie jestem im do niczego potrzebna – odparła.

Dąb poprosił sikorkę, aby jeszcze raz spojrzała na swoich rodziców i przypomniała sobie wszystkie wspólne chwile.

– Zobacz, twoi rodzice są zrozpaczeni. Powodem tego jest twoja nieobecność. Dlaczego im nie wierzysz, że tak bardzo cię kochają? – zapytał zdziwiony dąb.

– Bo się boję, ale nie mów tego nikomu, proszę – powiedziała łamiącym się głosem sikorka.

– Przecież uczucie strachu, nie jest niczym złym. Jestem z ciebie bardzo dumny, że wyraziłaś swoje uczucia na głos. To ogromnie ważne, aby nie bać się swoich uczuć. Ważne są nasze reakcje i zachowanie na emocje, jakie odczuwamy – odpowiedział dąb i spojrzał na Jasię, jakby oczekiwał od niej głębokich przemyśleń.

A ona stała przez moment w ciszy i nadal wpatrywała się w płaczących rodziców. Nagle oderwała się od drzewa i czym prędzej poleciała w kierunku domu.

– Dziękuję! – krzyknęła, znikając z horyzontu.

Leciała, ile sił w skrzydłach. Wpadła do gniazda i od razu przytuliła swoich rodziców. Cichutko szepnęła im na ucho, że bardzo ich przeprasza. Jasia opowiedziała rodzicom o swoich obawach i strachu. Przeprosiła mamę i tatę za swoje wcześniejsze zachowanie. Rodzice zapewnili ją, że zawsze będą ją kochać i nic tego nie zmieni. Poprosili córkę o zawarcie paktu, żeby od tego momentu zawsze każde z nich mówiło, co czuje. W pakcie zapisali też sposoby na poradzenie sobie

Sikorka w lesie uczyć

z poszczególnymi uczuciami. Rozmowa ta była bardzo długa, ale była również bardzo potrzebna. Rozmowy budują więź, integrują rodzinę i przede wszystkim umożliwiają wyrażenie uczuć. Rodzina Jasi już dobrze o tym wie.

Zbliżał się wieczór. Jasia wiedziała, że została jej do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Poleciała na najwyżej położoną gałąź i czekała na mocniejszy poryw wiatru. Kiedy tylko się zerwał, odbiła się od gałęzi i okrążyła drzewo dookoła, jednocześnie wesoło śpiewając. Wiatr zabrał ze sobą jej radość i w mgnieniu oka cały las się odczarował. Po smutku nie było już nawet śladu. Las ten nigdy nie wydawał się tak piękny. Był odzwierciedleniem radości, miłości i wspólnego zrozumienia.

Razem zawsze różniej!

Dawno, dawno temu w odległej krainie żyła sobie rodzina króliczków. Kraina, o której mowa, to Tęczowy Raj. Nazwę zawdzięcza temu, że każde zwierzątko tam mieszkające było innego koloru, a także w zależności od pory dnia chmury przybierały inną barwę. Wszystkie zwierzątka, które tam żyły, były bardzo szczęśliwe i radosne. Każdy zawsze był pomocny i życzliwy.

Rodzina króliczków – tata Kicek, mama Kłębuszka i ich synek o imieniu Puszek, mieszkali w pięknym domku na marchewkowej polanie. Każdą wolną chwilę poświęcali na wspólną zabawę. Najbardziej lubili się bawić w chowanego. Pewnego dnia w godzinach porannych podczas jednej z zabaw w lesie wybuchł pożar. Tata Kicek i mama Kłębuszka zaczęli w pośpiechu szukać swojego synka i krzyczeć najgłośniej jak potrafili:

- Puszek, Puszek!
- Puszek, gdzie jesteś?

Puszek usłyszał ich i szybko przybiegł do rodziców. Cała rodzina uciekała w kierunku swojego domku. Podczas ucieczki mama zobaczyła pod drzewem malutkiego, wystraszonego króliczka. Od razu do niego pokicała i zapytała:

- Maluszk, gdzie są twoi rodzice?

Króliczek odpowiedział:

- Nie mam rodziców, zostałem sam...

Pan królik i pani króliczka, nie zastanawiając się zbyt długo, zabrali maleństwo ze sobą. Cała czwórka szybko pokicała do ich domku. W tym samym czasie straży leśnej udało się ugasić pożar. Po powrocie do domu rodzice powitali króliczka w swojej rodzinie i nazwali go Okruszek, bo był malutki. Króliczkowi od razu spodobało się to imię.

Natomiast Puskowi od samego początku nie podobało się to, że będzie miał braciszka. Nie chciał z nim rozmawiać, nie chciał się z nim bawić. Bardzo się bał, że rodzice nie będą go już kochać i spędzać z nim czasu. Był zazdrosny o malutkiego króliczka.

Wieczorem, po kolacji mama króliczka bardzo źle się poczuła. Zrobiło jej się słabo, oddychała z trudem. Tata królik wezwał lekarza. Po chwili przyjechał miejscowy doktor pan sowa, zbadał Kłębuszkę i powiedział:

– Niestety, do płuc dostało się bardzo dużo dymu. Aby wasza mama wyzdrowiała, musicie zdobyć błękitny magiczny kwiat, który jest ukryty na skraju lasu.

– Ja, ja pójdę. Zrobię wszystko, żeby uratować mamusię – powiedział Puszek.

– Sam nie dasz rady, po drodze będą na ciebie czekały trzy zadania, które można wykonać jedynie, współpracując z drugim zwierzęciem – odparł pan sowa

– Tato, tato, chodź ze mną, proszę – błagał Puszek.

– Puszeku, ja muszę zostać z mamą, ale Okruszek na pewno z tobą pójdzie. Wiem, że jesteście odważnymi króliczkami, które wspólnymi siłami na pewno sobie poradzą – powiedział tata Kicek.

– Puszeku, ja ci pomogę. Twoja mama uratowała mnie z pożaru, ja również chcę jej pomóc i się odwdziżyć.

Puszek nie był zadowolony, ale dobrze wiedział, że muszą jak najszybciej zdobyć magiczny kwiat. Króliczki spakowały do plecaka marchewki i wodę. Natychmiast ruszyły w drogę. Króliczki szybko kicały w kierunku skraju lasu, Okruszek pytał Puskę, co lubi robić, jakie są jego ulubione zabawki, jednak Puszek powiedział mu:

– Nie lubię cię i nie będę z tobą rozmawiać.

Okruszkowi było bardzo przykro, przecież nie zrobił nic złego, zawsze był dla każdego miły i życzliwy. Po chwili zobaczyli wejście do labiryntu. Już na początku czekało ich pierwsze zadanie. Stanęli przed brązowymi drzwiami. Po ich prawej i lewej stronie były dwa wgłębienia. Puszek od razu się zorientował, że trzeba tam umieścić kamyki. Dał jeden kamień po lewej stronie, drugi po prawej, ale niestety drzwi się nie otworzyły. Okruszek zaproponował, żeby położyli kamyki równocześnie. Po chwili zastanowienia Puszek się zgodził.

– Dobrze, Okruszku, spróbujmy. Będę liczyć: raz, dwa, trzy. Na trzy położymy kamyki – powiedział Puszek.

Kiedy tak zrobili, drzwi od razu się otworzyły. Puszek podziękował Okruszkowi za pomoc. Okruszek uśmiechnął się i ruszył w głąb labiryntu. Wtedy wpadł im do głowy pomysł, aby rozrzucać kawałki marchewki, dzięki temu będą wiedzieli, jak wrócić z powrotem. Po chwili zobaczyli kolejne, tym razem srebrne drzwi. Od razu zauważyli wysoko nad drzwiami dźwignię. Obaj próbowali do niej doskoczyć, niestety nie udało im się nawet jej dotknąć łapką.

– Okruszku, chodź na moje ramiona, ja cię podsadzę! – powiedział Puszek.

Okruszek od razu wskoczył na Puszkę i udało mu się złapać dźwignię. Przesunął ją w dół, a drzwi się otworzyły. Króliczki w tym samym czasie krzyknęły:

– JEEEEEST!!! UDAŁO SIĘ!!!

Zwierzątka uśmiechnęły się do siebie i ruszyły w dalszą drogę. Po chwili dokicały do ostatnich drzwi. Były one wielkie, pięknie ozdobione złotymi kwiatami i postaciami przedstawiającymi pary zwierzątek. Zauważyli, że niektóre postacie mrugają. Puszek zaczął naciskać je po kolei. Niestety, drzwi się nie otworzyły... W tym samym czasie powiedzieli:

– Spróbujemy zrobić to razem!

Okruszek naciskał zwierzątka po lewej stronie, a Puszek w tym samym czasie odpowiednie po prawej. Tak, to był klucz do rozwiązania zadania. Drzwi się otworzyły. Króliczki z radości się przytuliły, mówiąc:

– Jesteśmy najlepsi! Daliśmy radę!

Weszli za drzwi i zobaczyli piękny magiczny kwiat. Od razu go zerwali, a Puszek schował go do plecaka. Szybko ruszyli śladem marchewek do domu. Króliczki kicały, ile miały sił w łapkach. Puszek nagle się zatrzymał, chciał napić się wody, ale niestety swoją już wypił. W tym momencie Okruszek bez chwili zastanowienia dał mu poidetko ze swoją wodą. Puszek wziął od niego wodę i z uśmiechem podziękował. Po chwili odpoczynku wyruszyli w dalszą drogę. Gdy tylko dotarli do domu, dali mamie kwiat. Kłębuszka zjadła go i od razu poczuła się dużo lepiej.

– Moje kochane króliczki, dziękuję! Współpracą i oddaniem uratowaliście mnie! Jesteście najodważniejszymi króliczkami w całym Tęczowym Raju – powiedziała radośnie mama.

Razem zawsze różniej!

Tata Kicek przytulił Puszka i Okruszka. Był bardzo dumny z ich odwagi. Okazało się, że podróż powrotna bardzo zbliżyła ich do siebie. Dużo ze sobą rozmawiali. Dowiedzieli się, że lubią takie same zabawy, podobają im się takie same bajki i najchętniej jedzą takie same warzywa. Przekonali się, że mają ze sobą wiele wspólnego. Puszek powiedział do Okruszka:

– Okruszku! Przepraszam, że byłem dla ciebie niemiły. Nie wiedziałem, że posiadanie braciszka będzie takie fajne. Mamy tak wiele wspólnego, już nie mogę się doczekać zabaw z tobą!

Okruszek mu odpowiedział:

– Puszku, nie musisz mnie przeproszać, cieszę się, że mnie polubiłeś. Pamiętaj, razem zawsze jest różniej!

**Wspólnie pokonujemy
trudności**

Śpiący problem Basi

Nie tak dawno i nie tak daleko, w niedużym domku żyła sobie Basia wraz z mamą, tatą, starszym bratem Antkiem i kotem Stefanem. Była to szczęśliwa rodzina, lubiąca wycieczki rowerowe, zabawy z kotem i oglądanie filmów w sobotnie wieczory. Basia była pogodną dziewczynką, uwielbiała księżniczki, korony, różowe sukienki i żelki w kształcie misiów.

Pewnego dnia, gdy Basia bawiła się razem ze Stefanem jego nową zabawką, niechcący upadła na ziemię i zburzyła ogromną budowlę Antka, którą budował od kilku dni z klocków lego. Basi było bardzo przykro i obiecała pomóc bratu odbudować zniszczoną część budowli. Antek jednak był bardzo, ale to bardzo zły i krzyczał:

– Jesteś okropną siostrą!

Rodzice wytłumaczyli Antkowi, że Basia nie zrobiła tego specjalnie, przeprosiła go i zaoferowała pomoc, jednak chłopiec nie chciał ich słuchać. Gdy Basia poszła pobawić się do swojego pokoju, Antek przyszedł do niej i ze złości opowiedział jej straszną historię. Powiedział, że takim niefajnym siostrom jak ona za karę w nocy wszystkie lalki zamieniają się w okropne potwory. Basia powiedziała Antkowi, że to on jest niefajny i żeby nie wymyślał takich głupich historii. Gdy jednak przyszedł wieczór i Basia powoli wybierała się do łóżka, przypomniała sobie historię, którą opowiedział jej brat. Mimo że dziewczynka wiedziała, że lalki nie mogą zamienić się w potwory, zaczęła się strasznie bać. Wydawało jej się, że wszystkie najpiękniejsze lalki, które siedziały sobie na półkach, nagle zaczęły na nią dziwnie patrzeć. Jakby tego było mało, przez szparę w drzwiach Antek wrzucił dziewczynce do pokoju jakąś okropną figurkę ze swojej kolekcji. Basia tak się przestraszyła, że zaczęła płakać. Tej nocy mama musiała spać z dziewczynką, ponieważ bała się ona zmrużyć oczy nawet

na chwilę. W nocy jednak dziewczynce przyśnił się wyjątkowy sen. Siedziała na łóżku razem ze swoim kotem. W pewnym momencie Stefan powiedział:

– Wiem, jak to jest się bać, Basiu. Opowiem ci moją historię.

Dziewczynka spojrzała ze zdumieniem na kota. Była w szoku, że Stefan potrafi mówić, i sama nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko pokiwała głową.

– Jak byłem jeszcze małym kotem, mieszkalem z mamą w starym domu. Miałem swoje legowisko na ganku, gdzie w nocy przez szpary w oknach było słychać, jak świszczy wiatr. Bardzo się wtedy bałem zasnąć i uciekałem do mojej mamy.

– I co wtedy zrobiłeś? – zapytała dziewczynka.

– Ja? Nic. Nie miałem pojęcia, co mogę zrobić, żeby przestać się bać. Na szczęście moja mama była wyjątkowo mądrą kotką. Powiedziała mi, że czasem wystarczy mieć jakąś szczęśliwą rzecz, która będzie sprawiała, że zawsze będę czuć się bezpiecznie i niczego nie będę się już bać.

– I co to było kotku, no co? – Basia przerwała Stefanowi, bo już nie mogła wytrzymać z zaciekawienia.

– Pamiętasz poduszkę, która zawsze leży w moim legowisku? – zapytał Stefan.

– Oczywiście, że tak – odparła Basia.

– To właśnie ona – powiedział kot – właśnie wtedy, gdy bałem się spać na ganku, moja mama podarowała mi tę poduszkę. Powiedziała, że z nią już nigdy nie będę się bał zasnąć, a moje sny będą najprzyjemniejsze na świecie! I miała rację. Od tamtej pory, gdy wiatr zaczynał świszcząć, wtulałem się w moją poduszkę i od razu zasypiałem.

Basia chciała zadać Stefanowi jeszcze mnóstwo pytań, jednak sen się skończył, a dziewczynka obudziła się. Było już jasno, z kuchni czuć było unoszącą się woń przygotowywanego przez mamę śniadania. Basia, wstając, zobaczyła śpiącego na jej łóżku kota. Pogłaskała go, mówiąc:

– Stefan, Stefan, no powiedz coś, przecież wiem, że umiesz mówić. Stefan jednak tylko ziewnął, obrócił się i spał dalej.

Dziewczynka pobiegła do kuchni i opowiedziała mamie swój sen. Jeszcze tego samego wieczoru Antek przyszedł do pokoju Basi.

Śpiący problem Basi

– Bardzo cię przepraszam, wiem, że źle się zachowałem, wcale nie chciałem zrobić ci na złość.

Dziewczynka uśmiechnęła się i wybaczyła bratu. To jednak nie pomogło przestać jej się bać. Wtedy Antek dodał:

– A, prawie bym zapomniał, mam dla ciebie coś na przeprosiny – chłopiec wyciągnął małą poduszkę z wyszytym na środku kotkiem.

– Myślę, że teraz będzie ci się lepiej spało – dodał.

Dziewczynka była bardzo zaskoczona, zwłaszcza że gdy brat wychodził z pokoju, kot Stefan zatrzymał się w drzwiach, lekko się uśmiechnął i poszedł spać na swoje legowisko.

Od tamtej pory, gdy Basia kładła się do łóżka, przytulała głowę do swojej poduszki i nic nie było już straszne.

Gilbert i Albert w smoczej szkole

W niedalekiej krainie, na skraju góry, za błękitnym morzem istniało smocze miasto. Jednak nie było to zwykłe miasto. Mieszkały w nim smoki wraz ze swoimi rodzinami. Miasto było olbrzymie. Ze wszystkich stron otaczały je piękne krajobrazy morza i gór. W centrum znajdowało się kilka szkół, do których chodzili smocze dzieci, musiały się tam nauczyć, jak stać się prawdziwymi smokami obronnymi, potrafiącymi strzec zamków. Najlepsza szkoła była blisko morza. Niestety, aby się do niej dostać, trzeba było naprawdę dobrze się uczyć. Wszystkie smocze dzieci chciały uczęszczać do tej szkoły, dlatego że odbywały się w niej bardzo ciekawe zajęcia. Uczniowie chodzili na wycieczki, oglądali gwiazdy wieczorami, na lekcjach WF chodzili pływać w morzu, a na lekcje latania wybierali się nad góry. Do tej szkoły chodził Gilbert. Był bardzo zdolnym uczniem. Potrafił pływać, latać i miał dużą wiedzę. Niestety Gilbert, chociaż świetnie się uczył, miał problem ze swoim zachowaniem. Często dokuczał innym kolegom, mimo że ich lubił. Śmiał się z nich, zabierał im rzeczy. Gilbert uważał, że mimo jego niestosowanego zachowania, wszyscy jego koledzy bardzo go lubią i zawsze mu pomogą.

Zaczął się kolejny rok szkolny i do szkoły dołączyli nowi uczniowie. Wśród nich był Albert, który trafił do klasy Gilberta. Albert był również dobrym uczniem. W poprzedniej szkole zdobył nawet puchar mistrza latania. Albert bardzo ucieszył się, że dostał się do swojej wymarzonej szkoły. Wiedział, że nauczy się w niej wielu nowych i przydatnych rzeczy, które pomogą mu zostać smoczym obrońcą.

Pierwszego dnia Albert przywitał się z nowymi kolegami. Wszyscy miło go przyjęli i chętnie z nim rozmawiali. W pewnym momencie przyszedł Gilbert. Popatrzył na nowego kolegę. Albert chciał się

przywitać z Gilbertem, jednak ten nie był zainteresowany. Mimo to Albert jeszcze raz spróbował porozmawiać z Gilbertem.

– Cześć, jestem Albert. Będę chodził z wami do klasy – powiedział.

– No i co z tego! – odpowiedział ze złością Gilbert.

– Chciałem się przywitać i cię poznać, skoro mamy być kolegami – odparł zaskoczony Albert.

– To, że nasz dyrektor przydzielił cię do naszej klasy, nie oznacza, że będziemy się kolegować. Ja mam już dużo kolegów – powiedział z oburzeniem Gilbert i wskazał na inne smoki siedzące na ławce pod drzewem.

Albert nie wiedział, jak się zachować. Zrobiło mu się smutno, jednak zaczęła się lekcja i wszystkie smoki musiały iść do klasy.

– Witajcie, smoczki! – powiedział ucieszony pan Gustaw, z którym klasa miała lekcje.

– Dzień dobry, panie smoku Gustawie – powiedzieli uczniowie.

– Mamy nowego kolegę w klasie, poznajcie Alberta – nauczyciel przedstawił go koлегom.

Albert miał jednak smutną minę. Nauczyciel pomyślał, że smok wstydzi się nowej klasy, więc wymyślił, że pograją w pewną grę. Zaprosił wszystkie smoki na boisko. Narysował wielkie kółko i powiedział, na czym zabawa polega. Smoki miały się zapoznać, znajdując wspólne zainteresowania. Nauczyciel powiedział, że do kółka wchodzi smoki, które lubią jeść pizzę. Na tę wiadomość wszystkie smoki szybko weszły do kółeczka. Pan Gustaw zadał jeszcze kilka pytań, dzięki czemu Albert i inne smoki świetnie się bawiły. Za to Gilbert nie wiedział, dlaczego wszystkim smokom tak bardzo podobała się gra. Na przerwie zwrócił się do kolegów:

– Co wam wszystkim się podobało w tej głupiej zabawie? – zapytał oburzony Gilbert.

– Dzięki niej mogliśmy poznać Alberta! – odparli koledzy.

– Ale też siebie lepiej – dodali pozostali.

– Nie lubię tego nowego... – powiedział ze złością Gilbert.

– Dlaczego, przecież jest bardzo przyjazny i lubi tak samo jak my „bajki o latających smokach” – powiedział siedzący najbliżej Gilberta smok.

Na te słowa Gilbert nie odpowiedział. W jego głowie jednak pojawił się pewien plan. „Muszę udowodnić moim koлегom, że Albert jest do niczego” – pomyślał Gilbert.

Nazajutrz smoki znów spotkały się w szkole. Wszystkie usiadły już w ławkach i czekały na nauczyciela. Nagle zorientowały się, że nie ma ich nowego kolegi Alberta.

– Ciekawe, dlaczego nie ma Alberta, jeśli się spóźni, pan Gustaw nie będzie zadowolony – powiedział jeden ze smoków.

Nagle do klasy wszedł Albert, a zaraz za nim pan Gustaw. Albert miał bardzo smutną minę, ponieważ ktoś zepsuł zamek w jego plecaku i książki mu się wysypywały. Nikt nie wiedział, że za tą sprawką stoi nie kto inny jak Gilbert. Wszystkie smoki były bardzo zdziwione, dlaczego ktoś zniszczył plecak Alberta, więc od razu pobiegły mu pomóc. Wymyśliły, że każdy z nich weźmie po jednej książce, aby Albert nie musiał się martwić.

Gilbert nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Dodatkowo jeden z kolegów dał mu książkę, by również pomógł Albertowi.

Smoki długo nie mogły zrozumieć, dlaczego tak się stało, na przezwie rozmawiały:

– Albert, to bardzo niemiło, że ktoś zepsuł twój plecak – powiedział Franek.

– Masz rację – dołączyli inny koledzy.

– Przecież jesteście bardzo miły i lubimy robić te same rzeczy – powiedział Kornel.

– Może ktoś mnie nie polubił – odparł smutny Albert.

– Nie martw się! Jesteśmy z tobą i zawsze ci pomożemy – powiedzieli koledzy.

Całą rozmowę słyszał Gilbert, któremu zrobiło się głupio, że zepsuł plecak Albertowi. Myślał, że inni koledzy będą się z niego śmiać, a oni zachowali się, jak prawdziwi przyjaciele. Nagle zadzwonił dzwonek i wszystkie smoki wchodziły do klasy i wtedy Gilbert, nie patrząc pod nogi, potknął się o własny plecak. Niestety był otwarty i wszystko się z niego wysypało.

Na korytarzu został już tylko Albert, który widząc, że Gilbert się wyrócił, szybko podbiegł i pomógł mu wstać i pozbierać wszystkie rzeczy z ziemi. Gilbertowi zrobiło się bardzo miło, a jednocześnie był zły na siebie, że chciał zaszkodzić Albertowi, który okazał się naprawdę świetnym kolegą.

Po lekcjach na boisku Gilbert grał z chłopakami w nogę. Widząc wychodzącego ze szkoły Alberta, podbiegł do niego.

Gilbert i Albert w smoczey szkole

– Albercie, może masz ochotę pograć z nami w piłkę? Wiem, że zachowałem się źle, ale chciałbym to naprawić – powiedział Gilbert.

To pytanie trochę zdziwiło Alberta, w końcu myślał, że Gilbert nie chce się z nim kolegować. Powiedział, że musi iść, bo mama czeka na niego z obiadem.

– Szkoda – odrzekł Gilbert.

I już miał wracać do gry, kiedy Albert radosnym głosem dodał:

– Gilbert! Zjem szybko obiad, a potem przyjdę do was i pogramy razem!

Gilbert bardzo się ucieszył. Po obiedzie Albert wrócił na boisko i grał z chłopakami w piłkę do późnego wieczora. Wszyscy świetnie się tego dnia bawili.

O orzelku Ignasiu

W wysokich Tatrach zamieszkiwało wiele orlich rodzin. Tamtejsze orły od wieków słynęły w całym kraju z tego, że miały świetny wzrok, dzięki któremu potrafiły z nieba dostrzec nawet małą myszkę. Ich supermoc spowodowała, że były najbardziej cenionymi ptakami na całym świecie, ponieważ szybko dostrzegały niebezpieczeństwo i ratowały inne zwierzęta oraz ludzi. Dorosłe ptaki nosiły na skrzydłach odznaki superbohaterów, które otrzymywały za swoje osiągnięcia od władczyni gór – królowej kozicy. Każdy orzeł mógł taką odznakę zdobyć, jednak najpierw przez kilka lat musiał uczyć się w Podniebnej Szkole. Dzięki temu, że już od małego orły posiadały doskonały wzrok, w Podniebnej Szkole uczyły się tego, czego uczą się teraz dzieci w każdej szkole – pisać, czytać, liczyć. Orły to bardzo zdolne ptaki, więc nauka była dla nich jak bułka z masłem, co dodawało im pewności siebie. Pewnego zimowego poranka wychowawczyni klasy Miniorzełków – pani Orzełkowa, zapowiedziała uczniom wizytę wyjątkowego gościa.

– Moi drodzy, za dziesięć minut po raz pierwszy odwiedzi nas Ignaś – wasz nowy kolega. Od dziś będzie nas więcej w klasie – powiedziała z uśmiechem na twarzy.

Minęło kilka minut i ktoś zapukał do drzwi. Z wielkim entuzjazmem orzełek Tadzio otworzył drzwi i ku swojemu zdziwieniu zauważył w nich... ptaka, który wprawdzie przypominał orła, ale wyglądał inaczej niż wszyscy, miał coś dziwnego na nosie. Coś, co wyglądało trochę jak przewrócona cyferka osiem albo jak dwie połączone huśtawki z ulubionego placu zabaw, a trochę jak dwa kółeczka od roweru. Pani Orzełkowa zaprosiła nowego ucznia Ignasia do sali i wskazała mu jego nowe miejsce w pierwszej ławce obok Tadzia. Mały Tadzio nie krył niezadowolenia. Nie chciał takiego

kolegi. Po tym jak wychowawczyni wyjaśniła wszystkim, że tajemniczy sprzęt na nosie Ignasia pomaga mu lepiej widzieć, Tadzio był już pewny, że nie zostaną przyjaciółmi. Ignas zauważył grymas na twarzy Tadzia i wiedział, że to przez jego okulary. Zasmucił się, że podobnie jak w starej szkole nie znajdzie tutaj kolegi.

„Który orzeł chciałby się zadawać z kimś takim jak ja? Wszystkie orły mają świetny wzrok i dzięki niemu ratują świat, a ja...? Do niczego się nie nadaję” – myślał Ignas.

Mijały tygodnie, a Ignas samotnie spędzał przerwy, nikt nie chciał się z nim bawić na placu zabaw. On sam nie miał ochoty na zabawy, które polegały na trafianiu piłeczką do celu albo wyszukiwaniu jak najwięcej drobnych ziarenek. To sprawiało mu ogromną przykrość. Pewnego dnia pani Orzełkowa zaproponowała uczniom wspólne nocowanie w szkole. Wszyscy bardzo się ucieszyli, a gdy już nadeszło to wspaniałe wydarzenie, orły wraz z panią bawiły się cały wieczór. Na zakończenie wspólnej zabawy pani przyniosła tajemnicze pudełko i opowiedziała jego historię. Otworzyła je, a w środku znajdował się przepiękny, błyszczący klejnot, który miał 1000 lat i był najcenniejszym skarbem w całych górach! Pani Orzełkowa wyznała, że klejnot znajduje się w szkole dlatego, że tylko orły mają tak wspaniały wzrok, że potrafią zauważyć niebezpieczeństwo i obronić cenny skarb. Na te słowa Ignasiowi zrobiło się bardzo przykro – zasmucił się i poczuł się niepotrzebny. W końcu nastąpiła ciemna noc, więc wszyscy zmęczeni położyli się spać.

– Trrrrrr, trrrrrrr – na sali rozległ się dziwny dźwięk. Ignas szybko wstał na równe nogi, wydawało mu się, że ktoś spaceruje po korytarzu. Czym prędzej obudził wszystkie orły i panią Orzełkową.

– Wstawajcie, musimy sprawdzić, czy nasz cenny klejnot jest bezpieczny! – krzyknął Ignas.

Wszyscy, choć bardzo zasnani, postanowili posłuchać rady Ignasia i przeszli się do sali, w której znajdował się cenny skarb. Gdy dotarli na miejsce, zobaczyli słynnego w całych górach liska złodziejaską, który czaił się na tajemniczy klejnot. Lisek, ujrawszy całą gromadę orłów z panią Orzełkową na czele, wziął nogi za pas i uciekł tak szybko, że w powietrzu unosiły się tumany kurzu.

Nazajutrz, gdy Ignas się obudził, nie mógł uwierzyć własnym oczom! Cała sala była udekorowana balonami, stół wypełniały same słodkości, a wszystkie orzełki szeroko uśmiechały się do niego. Nie

O orzelku Ignasiu

było jednak nic lepszego od specjalnego gościa – królowej kozicy, która wręczyła mu medal superbohatera. Orzełki przeprosiły go za swoje zachowanie i przyznały, że Ignaś, choć nie był takim samym orzełkiem jak one, był naprawdę wyjątkowy. To, że nie miał tak dobrego wzroku, nie oznaczało, że nie mógł zostać superbohaterem. Żaden z orłów nie miał tak dobrego słuchu, dzięki któremu Ignaś ochronił najważniejszy klejnot znajdujący się w górach. Każdy ma w sobie coś, co czyni go wyjątkowym i ważnym.

Najpiękniejsze korale

Na zielonej łące w pniu starego drzewa mieszkała żółwia rodzina: mama żółwiowa, tata żółw oraz dwie córeczki – starsza Leosia i młodsza Nikosia. Poranek w ich domu nie był jednak zwyczajny, gdyż był to długo wyczekiwany przez Leosię dzień jej siódmych urodzin. Od rana w całym domu było słychać krzątanie. Mama piekła tort oraz przygotowywane tylko na specjalne okazje miodowe ciasteczka. Tata żółw z córkami Leosią i Nikosią dekorowali dom na przyjęcie gości. Leosia nie mogła doczekać się przyjęcia oraz wizyty zaproszonych gości. Szczególnie cieszyła się na przyjęcie babci, która zapowiedziała, że w te urodziny chciałyby podarować jej coś wyjątkowego, coś innego niż do tej pory.

Gdy wreszcie nadeszła godzina przyjęcia, Leosia wraz z rodziną radośnie witała przybyłych gości. Od każdego z nich dostała pięknie zapakowany prezent oraz moc cudownych życzeń urodzinowych. Przyjęcie było wyśmienite, wszyscy dobrze się bawili, chwalili pięknie ozdobiony salon oraz bardzo smaczne wypieki mamy. Gdy zbliżał się wieczór, zabawa urodzinowa dobiegła końca i goście opuścili dom solenizantki, Leosia postanowiła wraz z całą rodziną odpakować prezenty, by dowiedzieć się, co podarowali jej goście. Wszystkie upominki bardzo podobały się Leosi. Dostała: dwie lalki, pluszowego misia, gadającego robota oraz różowy domek dla lalek. Prezent od babci postanowiła otworzyć jako ostatni. Gdy w końcu nadeszła jego pora, Leosia nie kryła ciekawości oraz ogromnej radości. Gdy odwiązała kokardę i otworzyła małe kartonowe pudełko, okazało się, że w środku są piękne, niebieskie korale. Mała żółwica wpadła w zachwyt, gdyż dotąd na każde urodziny dostawała tylko zabawki. Korale były bardzo podobne do tych, które miała babcia, a siostry Leosia i Nikosia zawsze przymierzały je przy okazji wizyty

u niej. Leosia z radością założyła na szyję podarunek, który wprowadził w zachwyt również jej młodszą siostrę, Nikosię.

Przed snem Leosia położyła korale na szafce nocnej, a następnego poranka, nie mając czasu na cieszenie się prezentem, poszła do szkoły. Po powrocie od razu pobiegła do swojego pokoju, by móc założyć na szyję urodzinowy prezent od babci. Okazało się jednak, że szafka, na której zostawiła korale, była pusta. Od razu zawołała młodszą siostrę, pytając:

– Wzięłaś z szafki moje nowe korale?

– Tak, przymierałam je rano przy lustrze łazienkowym i zapomniałam odłożyć na miejsce, już ci je oddaję – odpowiedziała szybko Nikosia i pobiegła do łazienki.

Po chwili starsza siostra Leosia usłyszała głos rozsypujących się koralików. Przeczuwając, co mogło się stać, od razu pobiegła w stronę łazienki, w której siedziała jej zapłakana młodszą siostra.

– Zahaczyłam przypadkiem twoimi koralami o wieszak na ręczniki iii..., przepraszam – wymamrotała.

Oczom Leosi ukazały się korale drobno rozsypane po podłodze, kilka z nich wpadło do odpływu wanny, inne zniknęły w szczelinach podłogi.

– Jak mogłaś!! Jesteś najgorszą siostrą!! – krzyknęła Leosia, nie kryjąc zdenerwowania.

Starsza żółwica opuściła łazienkę. Poszła do swojego pokoju i przez cały dzień nie chciała bawić się z siostrą. Była też dla niej bardzo niemiła, nie mogąc wybaczyć jej zniszczenia koralu. Nikosia przepraszała ją wiele razy, mówiąc, że nie zrobiła tego specjalnie i był to wypadek. Siostra jednak nie chciała jej słuchać.

Nikosia zaproponowała, że spróbuje naprawić korale, ale Leosia z kaprysem stwierdziła, że nie będą one wyglądały na pewno tak samo jak nowe. Wieczorem Nikosia zasnęła z płaczem, nie mogąc wybaczyć sobie tego, że zniszczyła tak wyjątkowy prezent swojej siostrze.

Nazajutrz Leosia znowu poszła do szkoły, gdzie okazało się, że jej koleżanka z ławki króliczka Eurydyka dostała na swoje urodziny, które wyprawiała tydzień wcześniej, koralikową bransoletkę. Był to prezent od jej dziadka. Leosia opowiedziała Eurydyce historię ze swoimi koralami.

– Czy mogłabym przymierzyć twoją bransoletkę? – zapytała.

– Dobrze, tylko uważaj, by nie spotkało jej to, co twoje korale – odparła Eurydyka, podając Leosi swój prezent.

I stało się! Okazało się, że ręka Leosi jest nieco większa i pod wpływem naprężenia żyłka, na którą nawleczone były koraliki, zerwała się, a te rozsypały się na podłogę, wpadając pod różne meble. Leosia była przerażona.

– Przepraszam, ja nie chciałam – zawołała szybko.

Jednak Eurydyka była na Leosię bardzo zła i do końca dnia nie rozmawiała z nią, nie potrafiła jej wybaczyć, a nawet usiadła w ławce z inną koleżanką.

Pogrążonej w żalu Leosi przypomniła się sytuacja z koralami oraz smutek młodszej siostry. Pomyślała, że Nikosia musiała czuć się poprzedniego dnia tak okropnie jak ona teraz. Przecież ani ona, ani jej siostra nie chciały zniszczyć prezentu, to był wypadek. Wracając zasmucona do domu z pozbieranymi koralikami, miała nadzieję, że mama znajdzie rozwiązanie tych okropnych problemów i uda jej się znaleźć sposób, by Eurydyka jej wybaczyła. Postanowiła również, że wybaczy swojej siostrze, przecież bardzo ją kochała, a za rok poprosi babcię o nowe korale.

W domu czekały na nią siostra z mamą. Nikosia powitała siostrę, trzymając w rękach to samo pudełko, w którym dostała korale od babci. Leosia jednak, nie zauważając tego, powiedziała do siostry:

– Siostrzyczko, przepraszam, że byłam wczoraj dla ciebie taka niemiła, wiem, że nie chciałaś zniszczyć moich koralików, wybaczam ci – po czym mocno przytuliła siostrę.

– Bardzo się cieszę, ale mam coś dla ciebie – odpowiedziała z radością siostra i podała Leosi pudełko.

Leosia otworzyła je z lekkim zdziwieniem, a jej oczom ukazały się czerwono-niebieskie korale. Były one teraz jeszcze piękniejsze niż te, które dostała od babci.

– Naprawiłam je dla ciebie z pomocą mamy. Mam nadzieję, że jednak ci się spodobają. Wykorzystałyśmy koraliki ze starych koralików mamy. Kiedyś przez przypadek rozerwał je tata.

– Dziękuję, są teraz jeszcze piękniejsze! Dziękuję, Nikosiu! Dziękuję, mamusi! – zawołała Leosia, tuląc mamę i siostrę.

Gdy wszystkie usiadły razem do kolacji, Leosia opowiedziała o sytuacji, która przydarzyła jej się w szkole. Zapytała mamę i siostrę, czy pomogą jej naprawić bransoletkę koleżanki Eurydyki. Obie od razu

Najpiękniejsze korale

zgodziły się i wykorzystując pozbierane przez Leosię koraliki ze zniszczonej bransoletki, koraliki z koralu mamy oraz z naszyjnika Leosi, wykonały razem nową, jeszcze piękniejszą bransoletkę.

– Mam nadzieję, że Eurydyce spodoba się ta bransoletka i wybaczy mi – powiedziała pełna obaw Leosia.

Następnego dnia, tuż przed lekcjami Leosia przeprosiła jeszcze raz swoją koleżankę Eurydykę i wręczyła jej naprawioną bransoletkę, która bardzo jej się spodobała. Eurydyka wybaczyła Leosi i nadal były najlepszymi koleżankami.

Od tej chwili za każdym razem, kiedy ktoś sprawił przykrość Leosi, patrzyła na swoje korale, które przypominały jej o tym, że każdy popełnia błędy, a te warto wybaczać.

Grymaśna księżniczka

Dawno, dawno temu, za górami i lasami, za siedmioma różnymi jeziorami, mieszkała mała księżniczka, która na imię miała Ksenia. Lecz wszyscy tak naprawdę nazywali ją „grymaśną księżniczką”, a dlaczego? Tego zaraz się dowiedziecie.

Nasza mała Ksenia mieszkała w ogromnym pałacu z dużą ilością komnat i zakamarków. Nie miała siostry ani brata, mieszkała ze swoją matką chrzestną – wrózką Bambuszką. Ksenia uwielbiała spędzać czas w pałacu. Biegała z komnaty do komnaty, skakała po łóżkach i bawiła się ze swoim pupilem – psem Stefanem. W miejscu, w którym stał pałac, zawsze była piękna pogoda, nigdy nie padał deszcz – taki był urok tego miejsca. Dlatego księżniczka lubiła przebywać w przyzamkowym ogrodzie, w którym wąchała kwiaty i biegała za motylami. Wieczorami natomiast, leżąc na kocu, oglądała gwiazdy.

Zawsze był jednak pewien problem, Kseni nic nie odpowiadało. Przechadzając się po ogrodzie, mówiła:

– Jak te krzewy są źle przycięte, trawa taka długa i brak jej koloru – zwracała się do ogrodnika.

Przy obiedzie, śniadaniu czy kolacji, powtarzała:

– Tego nie lubię, tamto jest zimne, a dlaczego dzisiaj nie ma... – i wymieniała jedno z wymyślonych dań.

Na każdym kroku pojawiała się rzecz lub sytuacja, na którą po prostu narzekała, nie doceniała swoich pracowników i w niczym im nie pomagała. A temu wszystkiemu z boku przyglądała się wróзка Bambuszka, która każdego dnia myślała, jak temu zaradzić. Pewnego słonecznego dnia księżniczka wstała z łóżka i od razu zwróciła uwagę na suknię przygotowaną przez jej pomocnicę. Była w kolorze żółtym. Ksenia stwierdziła, że to nie jest dzień żółtego koloru i zaczęła głośno krzyczeć:

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Do pokoju przybiegły pomocnice, pokojówki i oczywiście wróżka Bambuszka. Wszystkie razem stanęły w drzwiach i głośno się zapytały:

– Co się stało??

Księżniczka wykrzyczała:

– Ta sukienka nie pasuje do dzisiejszego dnia, ponieważ ustaliłam, że dzisiaj mamy dzień różu! A ona jest żółta i wy również wszyscy macie się przebrać!

Pokojówki wraz z pomocnicami szybko wyszły z pokoju, żeby przekazać informację pozostałym pracownikom. Natomiast wróżka Bambuszka stanęła w drzwiach z groźną miną, pokręciła głową i odwróciła się na pięcie. Idąc korytarzem, usłyszała:

– Och... jaka ta nasza księżniczka jest grymasna, prawie w ogóle się nie uśmiecha i nic jej nie pasuje – powiedziała pokojówka.

– Masz rację, jeszcze nie było dnia, żeby nie marudziła na strój, który jej wybrałam – rzekła pomocnica.

Wróżka Bambuszka jeszcze bardziej przejęta się tym, co pracownicy mówią o jej chrześnicy. Postanowiła jakoś temu zaradzić. Poszła do swojej magicznej kryjówki i rozpoczęła poszukiwania. Przejrzała wszystkie regały z książkami w poszukiwaniu magicznego rozwiązania tej sytuacji. Bardzo chciała w jakiś sposób zmienić nastawienie księżniczki. Przeszukując już ostatni regał w swojej biblioteczce, bardzo się zasmuciła, że nie udało jej się znaleźć niczego odpowiedniego. Kiedy odkładała już ostatnią książkę, przysiadła na podłodze i zaczęła popłakiwać z bezsilności. Zaczęła myśleć o swoich rodzicach, jak oni by rozwiązali taką sytuację. Zdjęta z szafki ich wspólne zdjęcie i nagle w głowie wróżki Bambuszki pojawił się pomysł. Kiedy ukończyła 16 lat, otrzymała od swoich rodziców magiczną złotą książkę, którą mogła otworzyć tylko w trudnych sytuacjach. Od razu pobiegła do szafy, a na jej dnie odnalazła drewnianą skrzynię. Otworzyła wieko, a blask książki rozjaśnił cały pokój. Wiedziała, że właśnie ta książka podpowie jej, jak rozwiązać ten problem. Otworzyła ją i ku jej zaskoczeniu w środku widniał napis: „ABY ŻYCIE SIĘ ZMIENIŁO, KSENIA MUSI DOCENIĆ TO, CO POSIADA”. Wróżka Bambuszka stała z książką w rękach, z szeroko otwartymi oczami, i zastanawiała się, co tak naprawdę musi się wydarzyć, aby jej chrześnica doceniła swoje życie.

Po południu Ksenia zeszła do jadalni na obiad. Jak zwykle, według niej, kucharka nie podała dania, na które księżniczka tak czekała. Z grymasem na twarzy zjadła przygotowany posiłek, następnie poszła do kuchni i z niezadowoloną miną powiedziała swoim pracownikom, na co tak naprawdę miała ochotę. Pracownicy znieruchomieli, kiedy księżniczka Ksenia wygłaszała swoją opinię na temat jedzenia. Następnie odwróciła się i wyszła.

Pracownicy spojrzeli na siebie ze smutnymi minami. A kucharka stała i myślała, co można by zrobić, aby ta sytuacja się zmieniła. Postanowiła zwołać spotkanie wszystkich pracowników, kiedy w oknach Kseni zgaśnie już światło. Było już dość późno, ale pracownicy byli zmotywowani, żeby się spotkać i wspólnie wymyślić plan, jak rozwiązać sytuację, która panowała w zamku. Pracownikom nie odpowiadało to, w jaki sposób księżniczka się do nich zwraca. Dlatego postanowili napisać do niej list i odejść z zamku.

Kiedy wzeszło słońce, księżniczka szybko się obudziła, spojrzała na krzesło i zauważyła, że nie ma przygotowanych ubrań. Zaczęła krzyczeć:

– I znowu zapomniała! Pomocnico! Pomocnico! Przyjdź tutaj!

Księżniczka, leżąc w łóżku, czekała, kiedy usłyszy kroki pomocnicy, która powinna wbiegać po schodach. Jednak w zamku panowała zupełna cisza, nie było słychać hałasu garnków z kuchni ani kroków na drewnianej podłodze. Ksenia wstała więc, wybrała pierwszą z brzegu sukienkę i postanowiła zejść do jadalni. Kiedy dotarła na miejsce, zobaczyła pusty stół, nie było na nim żadnego nakrycia ani śniadania. W kuchni również nikogo nie zastała. Pomyślała sobie, że przecież każdego dnia jej pracownicy mają pełno pracy i gdzieś muszą być. Postanowiła przejść się wokół zamku, poszukać w komnatach. Zaglądała do wszystkich możliwych miejsc, ale nigdzie nikogo nie znalazła. Po prostu była sama. Usiadła na środku ogrodu i rozłożyła ręce, nie wiedziała, co się stało i co ma teraz zrobić. Nagle w jej brzuchu rozbrzmiało głośne burczenie.

„Och, jaka jestem głodna” – pomyślała Ksenia.

Wstała i poszła do kuchni, zrobić sobie coś do jedzenia. Przeszukując kolejne półki i szafki, zauważyła, że kompletnie nie wie, co i gdzie trzyma jej kucharka. Przypomniało jej się, że tak naprawdę nigdy nie wpadała pooglądać i porozmawiać z kucharką, kiedy ta przygotowywała jej dania. W końcu udało jej się odnaleźć wszystkie produkty

potrzebne do zrobienia kanapek, wróciła do jadalni i w ciszy zjadła swój posiłek. Siedząc przy dużym stole, zauważyła małą kartkę na końcu stołu. Zainteresowała się nią, wstała, podniosła papier, który okazał się listem i zaczęła głośno go czytać:

“Kochana Kseniu,

to my, Twoi pracownicy. Piszemy, aby Cię poinformować o naszym odejściu. Nie potrafimy już dłużej znosić tej sytuacji. Wszystko, co dla Ciebie robimy, nie liczy się i zawsze jesteś niezadowolona. Dlatego dłużej nie będziemy się zajmować wszystkimi pracami w zamku. Musisz poradzić sobie sama”.

Ksenia ze złością spojrzała jeszcze kilka razy na kartkę, czytając głośno słowo po słowie. Była przekonana, że jej podwładnym pracuje się bardzo dobrze w zamku. Przecież zajmowanie się tak dużym budynkiem wcale nie może być takie ciężkie. Usiadła ponownie przy stole i powiedziała na głos:

– Może i zostałam sama, ale ze wszystkim sobie poradzę! Nie potrzebuję nikogo, aby zadbać o zamek.

Ksenia cały dzień pracowała na terenie zamku, żeby wszystkie czynności, które wykonywali jej pracownicy codziennie, zostały wykonane. Sprzątała, wycierała kurze, myła podłogi. Następnie grabiła liście w ogrodzie, przycinała krzewy. W międzyczasie poznawała zakamarki kuchni i robiła sobie proste dania.

– Jak mnie bolą ręce, jaka jestem zmęczona – powiedziała po całym dniu do siebie i opadła na łóżko.

Mijał dzień za dniem. Księżniczce coraz trudniej było dbać o zamek, ale mimo to z każdą chwilą wiedziała doskonale, co musi robić. Nabywała nowych umiejętności, lecz tak naprawdę, aby zamek był w idealnym stanie, potrzebne było wiele osób. Usiadła w ogrodzie i pomyślała: „Nie sądziłam, że dbanie o tak wielki zamek jest takie trudne. Każdego dnia moi pracownicy mieli ręce pełne roboty, a ja nigdy tak naprawdę im nie pomagałam. A teraz jestem tutaj sama. Co muszę zrobić, żeby do mnie wrócili?”.

Mała Ksenia, siedząc w ogrodzie, zaczęła płakać. Przestraszyła się, kiedy pomyślała, że zostanie na zawsze sama w tak wielkim zamku. Zaczęła myśleć o tym, co powinna zrobić. Nagle w jej głowie pojawił się pomysł. Doskonale wiedziała, do kogo może się udać z prośbą o pomoc. Jak pomyślała, tak też zrobiła. Postanowiła odwieźć swoją matkę chrzestną, która miała wielkie serce. Wróżka

Bambuszka mieszkała w przyzamkowym domku, był to mały i skromny budynek. Przed nim rosły przeróżne rośliny, o które każdego dnia wróżka dbała. Księżniczka zapukała do drzwi i poczekała na zaproszenie. Weszła do środka i poczuła zapach ziół. Wróżka stała w rogu pokoju i przekładała kolejną kartkę w kalendarzu.

– Co cię do mnie sprowadza, kochana Kseniu? – zapytała głośno Bambuszka.

– Ciociu, potrzebuję pomocy i rady. Wszyscy moi pracownicy odeszli ode mnie – powiedziała smutna księżniczka.

– Tak, słyszałam, co planowali. Nie odpowiadało im, że nie doceniasz ich wysiłku i na wszystko reagujesz grymaszeniem – rzekła smutna Bambuszka.

– Ciociu, ale wcale tak nie było! Chociaż, może... czasami faktycznie źle się zachowywałam.

– Czy kiedykolwiek powiedziałaś im coś miłego? Podziękowałaś za trud, który wkładają w pracę?

– Chyba nie, zagubiłam się trochę... – smutna księżniczka usiadła w fotelu.

– Oj, Kseniu... musisz coś na to zaradzić. Mam pewien pomysł! Może upieczesz coś dla swoich pracowników i osobiście im to rozdasz?

– To wspaniały pomysł! Do każdej słodkości dodałabym karteczkę z wiadomością, za co im dziękuję i jak ważni są dla mnie. Ciociu, a czy możesz mi pomóc przygotować te słodkości? Wiesz dobrze, że nie jestem najlepsza w kuchni – Ksenia szybko wstała z fotela z uśmiechem na ustach.

– Pewnie! Znam nawet bardzo dobry przepis na rogaliki – wróżka Bambuszka złapała Ksenię za rękę i razem skierowały się do kuchni.

Ksenia razem ze swoją matką chrzestną spędziły całe popołudnie w kuchni. Razem wyrabiały ciasto i formowały rogaliki. Do każdego dodały swoją ulubioną konfiturę truskawkową. Z piekarnika wyciągały kolejne sztuki rogalików. Po przygotowaniu wszystkich Ksenia podziękowała wróżce Bambuszcze za pomoc. Powiedziała, że posprząta kuchnię i już sama zapakuje prezenty dla pracowników.

Następnego dnia księżniczka Ksenia wstała w lepszym humorze. Ochoczo zabrała się do pakowania rogalików. Kiedy już to zrobiła, wyjęła z biurka kolorowe kartki i mazaki. Postanowiła każdemu pracownikowi napisać kilka miłych słów:

„Dziękuję za przepyszne posiłki i codzienny uśmiech dla mnie” – napisała w wiadomości do kucharki.

„Dziękuję za opiekę i wybór przepięknych ubrań” – napisała na kartce do pomocnicy.

Siedziała przy biurku i zapisywała kartkę za kartką. Zaczęła się zastanawiać nad swoim zachowaniem. Jak mało potrzeba, aby stracić wszystko, a jak wiele trzeba, żeby odzyskać codzienność, którą się straciło. Zapisując już ostatnią kartkę, przyrzekła sobie, że już nigdy nie potraktuje źle swoich pracowników, że jeśli zgodzą się wrócić do zamku, będzie im pomagać i wspierać we wszystkich czynnościach. Zapakowała wszystkie upominki do kosza i wyruszyła w drogę do miasteczka. Zapukała do pierwszego domu. Drzwi otworzyła jej kucharka.

– Dzień dobry! – krzyknęła Ksenia z uśmiechem.

– Dzie-eń do-obry, księżniczko, co cię tu sprowadza? – zapytała kucharka.

– Przyszedłam podziękować za pracę, jaką dla mnie wykonywałaś. A tak naprawdę przyszedłam cię przeprosić i błagać o powrót do zamku – wręczając upominek, Ksenia poprosiła o przeczytanie karteczki.

Kucharka z uśmiechem na ustach powiedziała:

– Och, Kseniu, bardzo tęskniłam za zamkiem i pracą. Przyjmuję twoje przeprosiny i bardzo chętnie wrócę.

W koszyku Kseni ubywało upominków. Każdy pracownik, otwierając drzwi, był zaskoczony, widząc malutką Ksenię przed sobą. Po przeczytaniu karteczki część z pracowników się uśmiechała, druga część ocierała łzy. Natomiast najbardziej ucieszyło Ksenię to, że wszyscy przyjęli jej przeprosiny.

Wieczorem Ksenia otworzyła szeroko drzwi zamku i stanęła w nich. Minuty mijały, księżniczka przenosiła ciężar ciała z nogi na nogę, wypatrując swoich pracowników. Po dłuższej chwili zrezygnowana postanowiła zamknąć drzwi, myśląc, że jednak nikt nie ma zamiaru wrócić do zamku. Kiedy już prawie drzwi się domknęły, Ksenia usłyszała:

– Księżniczko! Księżniczko! Proszę nie zamykać! – krzyknęli pracownicy.

Ksenia zamarła, odwróciła się i ujrzała wszystkich swoich pracowników z uśmiechami od ucha do ucha. Podskoczyła kilka razy

w miejscu, pomachała im na przywitanie i ucieszyła się, że ponownie może ich zaprosić do siebie.

– Witam was wszystkich, jak dobrze was widzieć! Nie uwierzycie, jak za wami tęskniłam – powiedziała Ksenia.

Wszyscy wybrali się do jadalni i wspólnie zasiedli przy wielkim stole. Siedzieli do późna, opowiadając sobie różne historie – te śmieszne, ale również takie, które pokazywały Kseni, że nie w każdym momencie była dla nich miła i przyjemna. Ksenia, siedząc idealnie pośrodku swoich pracowników, przyznała się do błędów, które popełniła. Obiecała, że już nigdy nie będzie się tak zachowywać. Księżniczka rozplakała się, podziękowała pracownikom za ich obecność i poprosiła, aby już nigdy jej nie zostawiali. Wszyscy pracownicy uśmiechnęli się. Od tamtego dnia księżniczka wspólnie z pomocnicą wybierała ubrania. Gotowała i sprzątała ze swoimi pracownikami, wprowadziła nowe tradycje i wszystkie posiłki jadła z nimi przy długim stole.

Od tamtej pory w zamku panowała wspólna atmosfera. Ksenia już nigdy nie została nazwana „grymasną księżniczką”. Zmieniła się i doceniała wszystko, cokolwiek otrzymała.

Pamiętajcie, w życiu trzeba doceniać nawet najmniejszą rzecz, ponieważ tyle, ile dajemy innym, tyle otrzymujemy w zamian. Korzystajmy z każdego dnia i niech uśmiech nigdy nie znika z naszej buzi, a jeśli kiedykolwiek będziemy potrzebować pomocy, nie bójmy się o nią prosić. Każdy z nas ma chociaż jedną osobę, do której zawsze może przyjść i prosić o radę. Nie bójmy się również przyznawać do swoich błędów, wystarczy przeprosić i zmienić swoje nastawienie.

Wróżka Bambuszka przyglądała się Kseni w swojej magicznej kuli. Uśmiechała się do siebie i cieszyła się, że tak wiele zmieniło się w życiu jej chrześnicy. Była z niej bardzo dumna.

Myszka uczy się na swoich błędach

Za górami za lasami, w odległej malowniczej krainie, pod rozłożystym dębem, żyła sobie rodzina myszek. Mama mysz, tata mysz i dwójka małych myszek: Misia i Tosia. Myszka Tosia była młodszą siostrą Misi. Miała dopiero dwa latka. Dziewczynka była jeszcze malutka i rodzice nie mieli z nią żadnych problemów. Zawsze grzecznie się bawiła i słuchała rodziców. Jeśli chodzi o myszkę Misię, no cóż, sami posłuchajcie...

Wydawałoby się, że cała mysia rodzina wieździe wspaniałe życie, niestety pojawił się pewien problem. Misia uwielbiała robić dowcipy, gryząc wszystko, co wpadło jej w łapki: meble, dywany, kable do telewizora. Ostatnio o mało nie ugryzła w ucho swojej siostry Tosi, na szczęście mama szybko zareagowała i nie dopuściła do tego.

Pewnego dnia Misia wpadła na pomysł, że pogryzie wszystkie żółte sery w ich spiżarni. Po tym zdarzeniu zostały wyłącznie obgryzione kawałki. Ileż było wstydu, jak rodzice chcieli poczęstować serkiem sąsiadów, którzy przyszli w odwiedziny. Innym razem myszka obgryzała krzesło, na którym usiadła ciocia, która przyleciała z Ameryki. Gdy ta upadła, Misia śmiała się do rozpuku. Niestety te dowcipy śmieszyły tylko Misię. Rodzice myszki nie wiedzieli już, co robić, a najbardziej przerażało ich to, że zbliżał się czas pójścia Misi do szkoły.

Gdy nadszedł ten dzień, Misia wstała pierwsza i obudziła wszystkich domowników:

– Wstajemy!!! Wstajemy!!! Słyszycie? Nie mogę spóźnić się do szkoły! – krzyczała, biegając po całym domu, wpakowując do plecaka wszystkie rzeczy, jakie napotkała na swojej drodze.

– Już, już wstajemy kochanie – odpowiedziała mama, zrywając się z łóżka, aby przygotować śniadanie wszystkim domownikom.

Po pysznym śniadaniu wszyscy wsiedli do auta, aby odwiedzić Misię na pierwszy dzień do szkoły. Myszka po dotarciu na miejsce, nie pożegnawszy się z rodziną, pobiegła szybko do szkoły. Nie mogła się doczekać aż pozna nowych przyjaciół i będzie mogła pośmiać się ze swoich dowcipów.

Pierwszą lekcją była geografia. Misia nie byłaby sobą, gdyby czegoś nie pogryzła. Przed lekcjami myszka wpadła na genialny, jej zdaniem, pomysł – pogryzienie statywu na globus. Gdy nauczyciel nim zakręcił, kula wypadła, potoczyła się po podłodze, niszcząc wszystko na swojej drodze. Nie był to jedyny jej psikus: panu od polskiego pogryzła regał z książkami, a pani od matematyki wszystkie linijki. Po pierwszym dniu każdy zaczynał powoli mieć dość myszki. Misia na początku miała bardzo duży ubaw ze wszystkich dowcipów, które robiła. Po jakimś czasie zauważyła, że nikt nie chciał się z nią bawić, wszyscy trzymali się od niej z daleka. Nawet kochająca ją mama na każdym kroku sprawdzała, co Misia robi, żeby nie dopuścić do pogryzienia kolejnej rzeczy w domu.

Sprawa była poważna. Rodzice czuli się bezradni i postanowili wezwać na pomoc lekarkę Norcię. Jak pomyśleli, tak zrobili. Pewnego słonecznego dnia, przyjechała pani Norcia i uważnie wysłuchiwała wszystkiego, co niepokoiło rodziców. Następnie powiedziała:

– Mam plan. Jutro, jak Misia wstanie, nie może was tutaj zastać. Dam wam peleryny niewidki.

Na początku rodzicom Misi się to nie podobało, ale po namyśle stwierdzili, że to dla dobra ich córeczki i zgodzili się na plan pani Norci.

Następnego dnia, kiedy Misia wstała, zobaczyła, że w domu jest jakoś cicho i dziwnie. Poszła do kuchni i ujrzała siedzącą na kanapie panią Norcię. Myszka szybko połączyła fakty i domyśliła się, że to sprawka zaprzyjaźnionej lekarki. Była tak wściekła, że już chciała ugryźć panią Norcię, ale usłyszała jej słowa:

– Misiu, wściekłość nie rozwiąże twojego problemu. Bardzo dużo szkód narobiłaś w domu i w szkole. Wiele innych myszek ucierpiało z powodu twoich dowcipów. Chyba nie chcesz do końca życia być sama. Jesteś mądrą dziewczynką. Każdemu zdarza się popełniać błędy, ale trzeba ponosić za nie konsekwencje. Możesz wiele nauczyć się na swoich błędach.

Myszka uczy się na swoich błędach

Po tych słowach pani Norcia wyszła. Teraz Myszkę otoczyła kompletna pustka. Usiadła na kanapie i zaczęła myśleć. Myślała, myślała, myślała... Aż nagle usłyszała burczenie w swoim brzuszku... Niestety w domku nie było nic do jedzenia i nie mogła zawołać swojej mamy, bo jej też nie było. Myszka postanowiła naprawić wszystko, co złego zrobiła innym. Bardzo chciała, aby jej rodzina wróciła, dlatego zaczęła naprawiać wyrządzone szkody. Wysprzątała całe mieszkanie, wymieniła wszystkie pogryzione firanki na nowe, załatała wszystkie pogryzione meble, pomalowała poobgryzaną ścianę. Po naprawie wszystkich szkód Misia usiadła na fotelu i poczuła ogromne zmęczenie. Była tak wyczerpana, że aż zasnęła.

Gdy się obudziła, zobaczyła, że jej rodzina jest w komplecie. Rodzice powiedzieli jej, że są z niej dumni i że zawsze wierzyli w jej rozsądek. Misia przeprosiła swoich rodziców i siostrę za wszystko oraz obiecała, że już nigdy więcej się tak nie zachowa.

Następnego dnia, kiedy myszka udała się do szkoły, wysprzątała całą klasę, naprawiła wszystkie ławki, krzeselka, regał na książki oraz sklepiła popsuty globus. Na koniec wycięła długi patyk i położyła go na biurku pani od matematyki. Kiedy skończyła, zauważyła, że klasa zaczęła się wypełniać uczniami. Wszyscy widzieli, co zrobiła Misia i zaczęli jej gratulować. Myszka natomiast przeprosiła wszystkich za swoje zachowanie. Zauważyła, że teraz z przyjaciółmi bawi się o wiele lepiej, a z dowcipów można się śmiać tylko wtedy, gdy wszyscy bawią się dobrze i nikt nie cierpi. Zrozumiała też, że niemal każdy błąd da się naprawić.

Karolek, który nie lubił być miły

Karol od dwóch lat chodził do przedszkola. Był najwyższy w grupie, miał zadarty nos, duże czarne oczy i krótkie ciemne włosy. Nie miał kolegów, ponieważ jego ulubionym zajęciem było rzucanie zabawkami w inne dzieci i dokuczanie im. Chłopiec bardzo chciał mieć przyjaciół, ale nikt nie miał ochoty się z nim bawić. Karol zazdrościł innym dzieciom, kiedy widział ich wspólne radosne zabawy, a z czasem zaczął wobec nich odczuwać złość. Chłopiec pomyślał sobie, że skoro wszystkim jest tak wesoło, to on będzie im dokuczał, żeby też im było przykro i czuli się tak nieprzyjemnie jak on. Pewnego dnia podczas zabawy w przedszkolu chłopiec zauważył, że Hania, Ania i Zosia bawią się lalkami, śmiejąc się przy tym wesoło. Z Karolem nikt nie chciał się bawić, ponieważ większość dzieci troszkę się go bała. Widok dziewczynek tak rozzłościł przedszkolaka, że sięgnął on po leżący w pobliżu duży drewniany klocek i bach! Rzucił z całej siły w Anię.

– A masz, ty głupia Aniu! – wykrzyknął zadowolony i trafił prosto w twarz dziewczynki.

Ania przewróciła się i zaczęła bardzo głośno płakać. Pani szybko do niej podbiegła i zaprowadziła dziewczynkę do przedszkolnej pielęgniarki, po czym wzięła chłopca na rozmowę i zmartwiona zapytała:

- Karolku, dlaczego rzuciłeś klockiem w Anię?
- Bo jest głupia i jej nie lubię – odpowiedział chłopiec.
- Wiesz, że mogłeś jej wybić oko? Poza tym Anię bardzo to bolało. Byłoby ci miło, gdyby ona ciebie tak uderzyła?
- Pewnie nie, ale nie lubię jej, bo ona się bawi z innymi i się głośno śmieje i tym śmiechem mnie wkurza – dodał troszkę zmieszany.

– Karolku, spróbuj być miły dla innych dzieci, wtedy zobaczysz, że będą chciały się z tobą bawić i wszystko się zmieni. Nie będzie cię denerwował ich śmiech. Dzisiaj niestety jestem zmuszona porozmawiać z twoją mamą na temat twojego zachowania.

Karol do końca dnia milczał. Mama odebrała go tego dnia wcześniej niż zwykle, ale była bardzo smutna.

– Mamo, co się stało? – zapytał zmartwiony chłopiec, kiedy zobaczył mamę.

– Karolku, pani powiedziała mi o twoim dzisiejszym zachowaniu – odpowiedziała mama.

– Mamusiu, ale to wszystko przez te głupie dziewczynki, bo śmiały się tak głośno, że bolały mnie uszy. Zresztą, nie lubię tego przedszkola ani dzieci, ani w ogóle nikogo – powiedział chłopiec ze łzami w oczach.

Mama przytuliła Karolka i po chwili powiedziała:

– Synku, przez to, że dokuczasz dzieciom, one nie chcą się z tobą bawić i dlatego też twój smutek jest aż tak wielki. Porozmawiaj z Anią, na pewno jest jej bardzo przykro i możliwe, że ma wielkiego bolącego guza. Proszę, obiecaj mi, że będziesz grzeczniejszy dla dzieci, wtedy na pewno cię polubią.

– Dobrze, mamo, spróbuję i przeproszę Anię – odpowiedział chłopiec.

Następnego dnia Ania faktycznie przyszła do przedszkola z wielkim plastrem na czole. Karol podszedł do niej niepewnym krokiem i powiedział:

– Przepraszam.

Po wypowiedzeniu tych słów chłopiec szybko odszedł. Dziewczynka była zaskoczona i nawet nie zdążyła nic odpowiedzieć. Tego dnia Karol był inny niż zwykle. Kilka razy nawet zapytał dzieci, czy się z nim pobawią, ale one odpowiadały wymijająco lub wprost odmawiały wspólnej zabawy. Karol wziął klocki i usiadł sam w kącie ze smutną miną. Pani zauważyła Karolka z przygnębionym wyrazem twarzy, więc podeszła do niego i zapytała:

– Karolku, dlaczego jesteś taki smutny i bawisz się sam w tym kącie?

– Nikt nie chce się ze mną bawić, nie wiem czemu, przecież jestem taki silny.

– Tak, Karolku, z pewnością siły ci nie brakuje – uśmiechnęła się pod nosem. – Jak myślisz, dlaczego dzieci nie chcą się z tobą bawić? – zapytała po chwili.

– Nie wiem. Mama mówiła, że mam być dla nich miłszy. Miło zapytałem, a one dalej nie chcą. Chyba zaraz znów rzucę w kogoś klocek – zdenerwował się przedszkolak.

Pani spojrzała na niego z troską i powiedziała:

– Widzę, Karolku, że naprawdę nie wiesz, dlaczego tak jest. Chodź, pokażę ci – zaprosiła chłopca do stolika, a z szafki wyjęła małe pudełeczko, w którym znajdował diament.

– Co to jest? – zapytał zdziwiony chłopiec.

– Diament. Proszę, obejrzyj go. Podoba ci się? – zapytała.

– Tak, jest piękny – odparł zachwycony Karol.

– To teraz spójrz.

Pani położyła diament na stole i zaczęła przykrywać go chusteczkami, mówiąc do przedmiotu:

– Nie lubię cię, jesteś brzydki, jesteś głupi – a nawet uderzyła go paluszkami, dokładając kolejną chusteczkę.

– Co pani robi? Przecież on jest bardzo ładny i może się popsuć! – krzyknął zdziwiony przedszkolak.

– Spokojnie. Popatrz teraz, Karolku.

Pani znów zaczęła przemawiać do diamentu, ale tym razem mówiła same miłe rzeczy:

– Jesteś piękny, bardzo cię lubię, chcę się z tobą bawić – i zaczęła zdejmować nałożone wcześniej chusteczki.

Zostało jeszcze kilka chusteczek. Pani spojrzała na chłopca i powiedziała:

– Teraz ty spróbuj.

Karol zrozumiał, że trzeba mówić miłe rzeczy, żeby znów zobaczyć diament, więc kontynuował:

– Ślicznie wyglądasz, jesteś super – zdejmował kolejne chusteczki, aż w końcu diament znów olśnił ich swoim blaskiem. – Udało się! – krzyknął zadowolony.

– Tak, Karolku, ale to nie był zwykły diament. Tym diamentem było każde dziecko, któremu dokuczałeś, które biłeś i przezywałeś, i ty też jesteś takim diamentkiem, dlatego nie powinniśmy być dla nikogo taką niedobrą chusteczką. Teraz rozumiesz?

Chłopiec aż wytrzeszczył oczy ze zdziwienia i zapytał:

Karolek, który nie lubił być miły

– Naprawdę jesteście takimi diamentami?
– Naprawdę, Karolku. Popatrz, ty jesteś diamentem i lśniesz jak on, bo umiesz pięknie malować, ślicznie tańczysz i śpiewasz, ale ostatnio byłeś też dla niektórych chusteczką – pani skierowała wzrok znacząco w stronę Ani. – Pamiętaj też, że nasze własne diamenty najbardziej błyszczą, kiedy jesteśmy dla innych mili i pomocni.

– Już rozumiem – odparł pewnie chłopiec i długo się nie zastanawiając, podszedł jeszcze raz do Ani.

Dziewczynka trochę się przestraszyła szybką reakcją chłopca. Karol stanął wyprostowany i zaczął:

– Aniu, przepraszam, teraz wiem, że jesteś diamencikiem, a ja nie chcę być dla ciebie niedobrą chusteczką.

Dziewczynka roześmiała się cichutko, ponieważ takie słowa brzmiały bardzo zabawnie w ustach chłopca.

– No dobrze, nie gniewam się na ciebie, ale to naprawdę bardzo bolało i było mi przykro – powiedziała.

– Teraz już wiem. Proszę, pozwól mi się z tobą pobawić. Obiecuję, że będę bardzo miły.

Dziewczynka się zawahała, ale po chwili odparła:

– Dobrze, możemy się razem pobawić, ale na pewno nie klockami – uśmiechnęła się do siebie.

Od tej pory dzieci często bawiły się wspólnie, a Karolek zrozumiał, że nie warto być niemiłym i niegrzecznym. Chłopiec zaczął pomagać innym dzieciom, mówił miłe słowa i bawił się wspólnie, głośno się przy tym śmiejąc. Już po tygodniu Karol miał wielu przyjaciół, a pani i mama były z niego bardzo dumne.

Józio i chmurka Lila

Nie wiadomo, dlaczego pewna chmurka o imieniu Lila przynajmniej raz w tygodniu snuła się samotnie obok domku małego Józia. Chłopiec gniewał się, gdy ją widział, gdyż zdecydowanie bardziej wolał słoneczną, wesołą pogodę, a pojawienie się chmurki Lili wywoływało u niego złość i smutek. Denerwowało go to, że w jej obecności zawsze wieje wiatr i pada deszcz, a jego ubrania mokną w drodze do szkoły. Chmurka sprawiała też, że Józio bardzo często chodził przeziębiony i niewyspany, a kolejne dni w jej towarzystwie stawały się smętne i długie.

Pewnego poniedziałkowego poranka budzik Józia zadzwonił jak zwykle o godzinie siódmej. Chłopiec wyłączył go zamaszystym ruchem ręki, przeciągnął się i wyskoczył z łóżka. Tego dnia wstał w naprawdę dobrym humorze i uważał, że nic nie jest w stanie mu go zepsuć. Pokój chłopca znajdował się na poddaszu dużego czteropiętrowego domu, dzięki czemu promienie słoneczne wpadały do pomieszczenia przez wielkie dachowe okna, które na noc Józio zaściłniał równie dużymi, kolorowymi zasłonami. Chłopiec lubił swój pokój dlatego, że wydawał mu się on bliżej słońca, które wprost uwielbiał. Po wyłączeniu budzika chłopiec podszedł w stronę okna, które znajdowało się bliżej łóżka, i zadowolony sięgnął po długą kotarę, aby móc ją odsunąć i wpuścić trochę światła do ciemnego pomieszczenia. Jednak to, co zobaczył, wywołało u niego nagły przypływ złości. Chmurka Lila przykryła sobą nie tylko cały domek Józia, ale także domki jego sąsiadów. A żeby tego było mało, krople deszczu, które z niej spadały, były wielkie i gęste. Józio nie wytrzymał, otworzył okno i krzyknął:

– Chmurko Lilo, dlaczego sobie nie pójdziesz?! Nikt cię tutaj nie chce, a zwłaszcza ja! Odejdź!

Ku zdziwieniu chłopca deszcz nagle przestał padać, a chmurka Lila zmniejszyła się i zaczęła oddalać. Chłopiec najpierw przetarł oczy z niedowierzaniem, a następnie westchnął z ulgą, zadowolony z faktu, że udało mu się przegnać złą pogodę. Promienie słońca wraz z kolorową tęczą znowu zawitały na niebie, a Józio mógł w spokoju przyszykować się do szkoły. Zjadł śniadanie, ubrał się i wyruszył dziarskim krokiem na pierwszą lekcję. Przez cały dzień napawał się dumą i rozmyślał o tym, jak udało mu się przegnać chmurkę Lilę. Chłopiec poprzysiągł sobie, że jeśli tylko chmurka wróci, to znowu ją przegna, dzięki czemu każdy będzie mógł cieszyć się wspaniałą i słoneczną pogodą. Jednak Lila nie wracała...

Mijały dni, tygodnie, a nawet miesiące. Kolorowe kalosze Józia oraz innych dzieci stały zakurzone na dnie szaf. Suche parasole krzątały się po kątach i służyły jedynie do zabawy dla dzieci i zwierząt. Płaszcz i szaliki wisiały samotnie na wieszakach, wyniesione na strychy. Skończyły się zabawy w kałużach, tańce w deszczu i orzeźwiające poranki. Zapach porannej rosy oraz skoszonej trawy po deszczu odchodził w zapomnienie, a ludzie w miasteczku nie pamiętali już, jak wygląda tęcza.

Mały Józio przez cały czas utwierdzał się w przekonaniu, że postąpił słusznie, przeganiając chmurkę Lilę, a inni ludzie po prostu nie mają na co psioczyć. Uważał, że mieszkańcy najpierw narzekali na brzydką pogodę, a teraz narzekają na ładną. Józio cieszył się z pięknej pogody, jednak po pewnym czasie w głębi duszy zaczął czuć coś dziwnego. To uczucie było nieprzyjemne, obce, a pogłębiało się, gdy Józio mijał miejsce, w którym zawsze stały jego kalosze.

Pewnego ranka Józio nie wytrzymał i zbiegł do pokoju mamy. Ze łzami w oczach rzucił jej się w ramiona i łamiącym się głosem powiedział, że to przez niego chmurka Lila odeszła i jest mu z tego powodu bardzo smutno.

– Józiu, to, co czujesz, to tęsknota – odrzekła mama.

– Ale mamo, ja tak bardzo nie lubię chmurki Lili! – wykrzyknął zapłakany chłopiec.

– Czasem z jakichś powodów wydaje nam się, że kogoś nie lubimy, a tak naprawdę ta osoba może być dla nas miła i życzliwa. Chmurka Lila przynosiła deszcz i chłód, ale tylko dlatego, że nie umiała inaczej – tłumaczyła Józiovi mama.

– Ale codziennie rano się z nią kłóciłem...

– A teraz brakuje ci trochę tych sprzeczek, czy mam rację?

– Tak... bardzo mi ich brakuje.

– To oznacza, że czujesz tęsknotę. Spróbuj pomyśleć sobie o dobrych rzeczach, jakie zrobiła dla ciebie chmurka Lila, a potem podejdź do okna i powiedz jej to. Może wróci.

– Tak myślisz, mamusi? – zapytał Józio, ocierając łzy rękawem.

– Oczywiście, że tak, kochanie – zatroskana mama przytuliła chłopca.

Józio wrócił do swojego pokoju na poddaszu. Wyciągnął z biurka kartkę i długopis i zaczął pisać: „Droga chmurko Lilo, przepraszam, że na Ciebie nakrzyczałem i kazałem Ci odejść. Bardzo tęsknię za naszymi sprzeczkami i za tym, że mogłem bawić się z Tobą w deszczu. Lubiłaś mnie i często odwiedzałaś pomimo tylu smutnych słów, które do Ciebie powiedziałem. Chciałbym, żebyś wróciła i została moją przyjaciółką”. Następnie Józio podbiegł do okna, otworzył je i już miał zacząć czytać list dla chmurki Lili, kiedy nagle porywisty wiatr wyrwał mu go z rącek. Po raz kolejny łzy napłynęły Józiovi do oczu i chciał odejść z rezygnacją, kiedy usłyszał dziwny głos.

– Józiu, tak się cieszę, że znowu możemy się razem bawić! Od zawsze cię lubiłam i chciałam spędzać z tobą czas, ale nie umiałam ci tego powiedzieć, bo jestem chmurką.

Józio otworzył usta ze zdumienia, bo co prawda zawsze wydawało mu się, że chmurka Lila mu odpowiada, ale nigdy nie słyszał jej prawdziwego głosu.

– Ttttooo... czemu teraz potrafisz mi to powiedzieć?

– Bo dopiero teraz, Józiu, chcesz mnie słuchać. Bardzo często mówiłam coś do kogoś, ale ten ktoś nie chciał mnie słuchać, więc czułam się samotna i ignorowana, ale teraz w końcu czuję, że mam przyjaciela – nagle chmurka Lila przeobraziła się w małą niebieską dziewczynkę i wleciała do pokoju Józia.

– Nie wiedziałem, że tak potrafisz! – wykrzyknął zdziwiony, ale bardzo zaciekawiony Józio.

– Jeszcze niewiele o mnie wiesz! – zachichotała Lila, chwyciła Józia za rękę i ciągnąc go na dół po schodach, zapytała – To co, idziemy poskakać po kałużach?

W tym momencie Józio zrozumiał, że najpierw trzeba kogoś dobrze poznać, żeby zrozumieć, kim naprawdę jest, oraz to, że dobrze jest mieć obok siebie kogoś, do kogo możesz się uśmiechnąć, a ten uśmiech zawsze zostanie odwzajemniony.

Księżniczka Lukrecja i magiczna książka

Dawno, dawno temu, w starym, pięknym zamku otoczonym bujnymi ogrodami, mieszkała wraz ze swoimi rodzicami księżniczka Lukrecja. Była ona nieziemskiej urody, miała blond włosy i błyszczące, błękitne oczy. Niczego w życiu jej nie brakowało. Mama i tata bardzo ją kochali i troszczyli się o to, by była szczęśliwa. Zawsze dostawała to, co sobie wymarzyła. Dzieci mieszkające w królestwie chciały żyć tak jak ona, mieć wszystko, czego tylko się zapagnie. Nie wiedziały one jednak, jaka księżniczka jest naprawdę. Większość z nich знаła dziewczynkę tylko z opowieści, ponieważ bardzo rzadko można było ją zobaczyć. Lubiła ona tylko swoje towarzystwo, nie chciała spotykać się z rówieśnikami, nie wyjeżdżała z rodzicami na wycieczki, nie uczestniczyła nawet w królewskich uroczystościach. Ciągłe chciała być sama, a do tego była bardzo niemiła dla wszystkich, którzy chcieli spędzać z nią czas. Była do tego zaborcza i zarozumiała. Nie wiedziała jednak, że swoim zachowaniem robi krzywdę innym.

Księżniczka miała jedno zajęcie, dzięki któremu nie czuła się samotna. Uwielbiała czytać książki, ale robiła to tylko w bibliotece na poddaszu zamku. Codziennie wychodziła po drewnianych schodkach, otwierała drzwiczki i przenosiła się do krainy wyobraźni. Na poddaszu znajdowały się wysokie półki po brzegi wypełnione książkami. Były to książki gromadzone przez królewską rodzinę przez kilkadziesiąt lat. Dziewczynka potrafiła spędzić tam nawet kilka długich godzin. Przebywając tam, czuła, jakby leżała pod wielkim, starym drzewem, które chroni ją przed promieniami słońca, a wokół słyszeć tylko szum wiatru i śpiew ptaków. Mogła się tam zrelaksować. Wiedziała, że nikt nie będzie jej przeszkadzał i będzie sama. Wcielała się w różne postaci, często była czarodziejką, kosmitką czy superbohaterką. Gdy czytała, czuła się bardzo pewna siebie

i wiedziała, że jest kimś ważnym. Czas stawał wtedy w miejscu. Dla księżniczki liczył się wtedy tylko fakt, że dzięki jej bohaterce świat znowu może stać się lepszy. Książki, które czytała, kończyły się zwycięstwem dobra nad złem. Lukrecja nie zawsze jednak rozumiała sens tego, co przeczytała.

Po długim czasie przebywania na zamkowym poddaszu dziewczynka wracała do swojego pokoju, zamykała się w nim i dalej nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Tak wyglądała jej codzienność. Z dnia na dzień stawała się coraz bardziej nieufna i oderwana od rzeczywistości. Król i królowa nie wiedzieli, jak postępować, by księżniczka żyła tak jak jej rówieśnicy. Mijały dni, miesiące, a ona nadal nie dała się przekonać, by wyjść do ludzi. Uważała, że nie może spotykać się z kimś gorszym i biedniejszym od siebie.

Pewnego dnia, jak codziennie, dziewczynka wybrała się do zamczarowanej krainy książek, by znów rozpocząć podróż po swojej wyobraźni. Otworzyła drzwi biblioteki i rozpoczęła poszukiwania kolejnej powieści, która da jej poczucie pewności siebie. Nagle jej oczom ukazała się wielka, drewniana, zakurzona skrzynia. Mimo że dziewczynka spędziła w tym miejscu tyle czasu, nigdy wcześniej jej tam nie widziała. Zdziwiona, postanowiła podejść i zobaczyć, co kryje się w środku. Po uchyleniu wieka oczom Lukrecji ukazała się książka, ale nie taka jak te, które dotychczas przeczytała. Wcale nie wyglądała, jakby miała kilkadziesiąt lat – wręcz przeciwnie, miała błyszczącą okładkę, a jej kartki pachniały nowością. Lukrecja bez zawahania po nią sięgnęła. Ku jej zdziwieniu, książka nie opowiadała o żadnych supermocach czy też o ludziach, którzy ratują świat. Po kilku pierwszych stronach dowiedziała się, że książka będzie opowiadać o zwykłym, według niej, losie dziewczynki, która była sierotą i nie miała obok siebie nikogo. Księżniczka już chciała odłożyć książkę na bok, ponieważ zazwyczaj miała do czynienia z innymi opowieściami, a ta wydawała jej się nudna. Przypomniała sobie jednak, że kiedyś obiecała sobie, że jeśli już zacznie daną książkę, musi przeczytać ją do końca. I tak Lukrecja spędziła długie godziny na poddaszu, zagłębiając się w historię małej Anielki. Opowieść ta tak ją wciągnęła, że księżniczka nie chciała nawet wracać do swojego pokoju, dopóki nie dotrze do końca.

Podczas czytania zaczęła porównywać małą dziewczynkę do siebie. Przecież ją też mógł spotkać taki los, mogła być sama, opuszczona

i niechciana. Miała jednak szczęście, ponieważ została obdarzona kochającymi rodzicami, mieszkała w pięknym zamku, nigdy niczego jej nie brakowało. Jeśli tylko by chciała, mogła mieć wielu przyjaciół, tańczyć, skakać i śpiewać razem z nimi. Gdy tylko dziewczynka skończyła czytać, postanowiła, że nie może się tak dłużej zachowywać. Nie może być niemiła dla rodziców, którzy kochają ją całym sercem i zrobiliby dla niej wszystko, a także dla kolegów i koleżanek, którzy chcieliby tylko spędzić z nią trochę czasu na zabawie. Stwierdziła, że od teraz będzie się starała być uśmiechnięta, pogodna i pełna życia. Zapragnęła doceniać to, co ma, ponieważ jej życie naprawdę może być piękne, jeśli tylko będzie tego chciała. Jeszcze tego samego dnia pobiegła do króla i królowej i przeprosiła za swoje zachowanie. Król z tej okazji postanowił wyprawić wielką ucztę i zaprosić na nią całe królestwo, w tym wszystkie dzieci w nim mieszkające. Chciał, by jego córka poznała, czym jest przyjaźń i szacunek do drugiej osoby.

Na ucztę przybyli zaproszeni goście. Wszyscy świetnie się bawili, rozmawiali i śmiali się razem. Księżniczka Lukrecja w końcu spostrzegła, że wcale nie jest trudno być dobrym człowiekiem, a dobro i radość, które się rozdaje, powracają ze zdwojoną siłą. Dziewczynka wiedziała już, że trzeba cieszyć się każdym dniem spędzonym z bliskimi i przyjaciółmi, a w stosunku do drugiej osoby należy się zachować tak samo, jakbyśmy chcieli, żeby ona nas traktowała.

Kot Zdzisław. W poszukiwaniu szczęścia

Kot Zdzisław był królem i mieszkał na Wyspie Mlecznej. Posiadał ogromne królestwo z basenem, jachtem oraz prywatnym odrzutowcem. Miał wszystko, o czym tylko zamarzył. Każdego dnia leżał na swoim hamaku i nie robił zupełnie nic, poza wylegiwaniem się i wygrzewaniem na słońcu. Armia kłaniała mu się w pas i była na każde jego skinienie. Czy jednak czuł się szczęśliwy? Miał wszystko, ale i tak czegoś mu brakowało.

Pewnego dnia Zdzisław wpadł na szalony pomysł. Postanowił, że wybierze się w podróż w poszukiwaniu szczęścia. Zwołał swoją armię, by przygotowała dla niego wszystko, co potrzebne na wyprawę. Wraz z kilkoma służącymi wybrał się jachtem w podróż pełną przygód.

Pierwszym przystankiem w jego podróży była Wyspa Piernikowa. „Czyżby to nowe smakołyki były tym, czego mi brakuje?” – zaczął się zastanawiać.

Wszyscy na wyspie przyjęli go bardzo serdecznie. Ciągłe był częstowany piernikami, to na śniadanie, na obiad i tak samo na kolację. Niczego innego nie jadł. Niestety pewnego dnia Zdzisław poczuł się bardzo źle. Zaczął boleć go brzuch z przejedzenia.

„Jednak to nie jest to, czego szukam, pierniki nie dają mi radości, tylko ból brzucha. Czas wyruszyć dalej” – pomyślał.

Następnym przystankiem była Wyspa Zabawkowa.

„Czy to zabawki dadzą mi radość?” – zaczął się zastanawiać.

Najpierw wszedł do jednego sklepu, potem do drugiego i do kolejnego. Zaopatrzył się w zabawki każdego rodzaju – od pluszaków po mechaniczne samochodziki. Bawił się nimi przez długi czas.

„Bawię się nimi jak dziecko, mimo że jestem królem, hmm, to chyba nie to – pomyślał. – Czas na kolejną podróż, tu nie zaznam szczęścia”.

Następnym przystankiem była Wyspa Mody. Jej mieszkańcy od razu zabrali Zdzisława do przymierzania różnorodnych szat, od szarych, po kolorowe i oczywiście złote, jak przystało na króla. Mierzył również sandały, kapelusze, czapki i okulary. Zdzisław był zadowolony. Spędził na tej wyspie ponad tydzień. Już myślał, że to jest to, czego szukał. Jednak po tygodniu poczuł się zmęczony tymi wszystkimi przymiarkami, przebieraniem się w co rusz to nowe szaty. Odczuwał niezadowolenie i wściekłość. Dlatego zwołał służących, którzy zabrali go stamtąd jak najszybciej w kolejną podróż.

Następną wyspą, którą odwiedził, była Wyspa Muzyczna.

„Może muzyka to jest to?” – pomyślał.

Kiedy tylko dobił do brzegu, mieszkańcy wyspy wyciągnęli Zdzisława na parkiet, tańczyli, słuchali muzyki. Bawili się niemal całe dnie. Jednak po codziennych tańcach król był coraz bardziej zmęczony. Zarządził więc natychmiastowe opuszczenie wyspy.

„To koniec. Nie znalazłem tego, co dałoby mi szczęście na dłużej. Poddaję się” – pomyślał.

Jednak pewien służący, widząc smutek króla, podpowiedział mu, że istnieje jeszcze jedna wyspa o nazwie Miłość.

„Miłość...” – zastanawiał się król.

Po długim namyśle stwierdził, że ostatni raz spróbuje przekonać się, czy warto akurat ją odwiedzić. Był bardzo ciekawy, co tam zastać. Nie był do końca przekonany, lecz ostatecznie zarządził zmianę kierunku i już po chwili płynęli na wyspę Miłość.

Na tej wyspie król czuł się trochę inaczej. Przechadzając się po niej, widział, że wszyscy są dla siebie mili, uśmiechnięci. Panuje tam życzliwa atmosfera. Nikt nikomu nie robi krzywdy. Wszyscy odnoszą się do siebie z szacunkiem. Jego też przyjęli z miłością, nie wymuszali na nim niczego.

„Nie są bogaci, a dzielą się tym, co mają” – pomyślał.

– Dzień dobry królu – ukłonił się Szaroburek – kot z wyspy Miłości. – Co cię tutaj sprowadza? – zapytał

– Dzień dobry. Jestem tu po to, by odnaleźć swoje szczęście – odpowiedział mu król.

– Królu, szczęście to nie materialne bogactwa, ale przede wszystkim miłość i... – nie zdążył dopowiedzieć Szaroburek, bo przerwał mu król.

Kot Zdzisław. W poszukiwaniu szczęścia

– A co to jest ta miłość? Gdzie ją można dostać albo kupić? – zapytał król.

– Ach, miłość... – zadumał się kotek. – Miłość wkładamy w to, co robimy z serca dla innych, bezinteresownie. Miłości nie można nigdzie kupić, jest rozdawana za darmo – odpowiedział Szaroburek.

– Hmm, to piękne, co powiedziałaś – stwierdził król i zastanowił się.

Chciał jeszcze o coś zapytać Szaroburka, ale nim się spostrzegł, już go nie było.

„Wreszcie doznałem szczęścia i znalazłem skarb. Nauczyłem się, że bogactwo i władza nie dają pełnego szczęścia. Trzeba się cieszyć tym, co się ma, i pomagać innym, wkładając w to dużo miłości oraz serca. I tak zamierzam postępować po powrocie na swoją wyspę” – myślał król, wracając już do swojego domu.

**Odważnie sięgamy
po nasze marzenia**

O myszce, która odkryła swój talent

To był piękny, wiosenny dzień na polanie. Zza delikatnych chmur przyjemnie świeciło słońce, budząc do życia rośliny. Śnieg całkowicie stopniał, a polana odzyskiwała swoją zieleni, którą straciła przez długą i mroźną zimę.

Z tej okazji myszka postanowiła zaprosić do siebie przyjaciół: słowika i konika polnego. Od rana przygotowywała na ich wizytę chatkę, ścierając kurze i zamiatając podłogę. Zmieniała nawet firanki w oknach na bardziej radosne, kolorowe. Miała znakomity humor. Cieszyła się, że w końcu nadeszła upragniona wiosna, że znów będzie ciepło i zielono, przez co będzie mogła spędzać długie godziny z przyjaciółmi na świeżym powietrzu. Kiedy chatka już lśniła czystością, myszka zaczęła przygotowywać ciasteczka na poczęstunek dla gości. Nasypała mąki, połączyła ją z masłem i cukrem, po czym dodała resztę składników. Gotowe ciasto rozwałkowała i wykroiła z niego różne kształty. Położyła je na blaszce i włożyła do piekarnika. Każda czynność, jaką wykonywała, zajmowała jej więcej czasu z powodu jednej krótszej nóżki. Ale w niczym jej to nie przeszkadzało.

– Przecież nie muszę się śpieszyć! – powtarzała wesoło.

W chatce unosił się zapach ciasteczek. Kiedy myszka stwierdziła, że są już odpowiednio rumiane, wyjęła je z piekarnika i ozdobiła lukrem oraz czekoladową polewą. Uśmiechnęła się na widok gotowych, pięknie ozdobionych ciasteczek. Ułożyła je na talerzyku, który zaniósła na stół. Teraz wystarczyło już tylko czekać na przyjaciół.

Niebawem pojawili się i oni. Myszka zaprosiła słowika i konika polnego do stołu i zaparzyła herbatę. W chatce rozbrzmiewały wesołe rozmowy.

– Myszko, z okazji nadejścia wiosny chór słowików przygotowuje występ! – oznajmił konik polny. – Razem z innymi konikami mamy na nim zatańczyć.

– Wspaniale! – ucieszyła się myszka. – Na pewno przyjdę na przedstawienie.

Myszka była szczerze ucieszona. Bardzo lubiła słuchać pięknego śpiewu chóru słowików, do którego należał także jej przyjaciel słowik. Tworzyli piękną muzykę. Z kolei koniki polne potrafiły znakomicie tańczyć.

– Swoją drogą, myszko, ciasteczka smakują obłędnie – dodał konik polny. Myszka się uśmiechnęła. Lubiała piec ciasteczka dla swoich przyjaciół, a jeszcze miłsze było, kiedy chwalili jej wypieki. – Może miałabyś ochotę upiec więcej na jutro jako poczęstunek dla widzów naszego występu?

– O tak! Z przyjemnością – wykrzyknęła uradowana myszka.

Przyjaciele śmiali się i rozmawiali do późnego wieczora. Kiedy oddalili się już do swoich domów, myszka posprzątała po wizycie i położyła się spać. Jutro czekał ją dzień pełen wrażeń.

Myszka obudziła się wraz z pierwszymi promieniami słońca. Przedstawienie miało odbyć się już niebawem, więc musiała pośpieszyć do kuchni, by przygotować ciasteczka na tę okazję. Zapowiadał się kolejny piękny, ciepły dzień. Z gotowymi już ciasteczkami myszka wyruszyła na miejsce, gdzie zaplanowane było przedstawienie. Po drodze dołączył do niej pan zając, który także wybrał się na występ.

– Usiądź, myszko, na moim grzbiecie! Dotrzemy szybciej! – proponował.

Myszka wspięła się na grzbiet pana zająca i już po chwili oboje byli na miejscu. Myszka wyłożyła ciasteczka na przeznaczonym do tego stoliku, a później usiadła na widowni, by oczekiwać na występ. Już po chwili na scenę wyszły koniki polne, a za nimi chór słowików. Słowiki zaczęły śpiewać. Ich głosy brzmiały tak pięknie, że myszka wręcz miała ochotę zamknąć oczy, lecz wtedy taniec rozpoczęły koniki. Myszka nie chciała przegapić ani jednego ruchu. Przedstawienie było zdumiewające. Wszyscy widzowie podziwiali je z ogromnym zachwytem. Wtem Myszkę ogarnął wielki smutek. Jej przyjaciele mieli takie talenty – słowik pięknie śpiewał, a konik polny z gracją poruszał się w tańcu. Ona tak nie potrafiła. Nie umiała

śpiewać. Ilekroć próbowała, jej piskliwy głosik psuł każdy dźwięk. Wiedziała, że nie da się tego słuchać. Tańczyć także nie umiała. Jedna krótsza nóżka utrudniała każdy szybszy ruch. Co więcej, sprawiała, że myszka często się potykała i upadała. Profesjonalny tancerz nie popełnia takich gaf. Nie była tak dobra jak jej przyjaciele, nie była tak utalentowana.

„W ogóle nie jestem utalentowana” – pomyślała.

Ta myśl sprawiła, że nawet nie zauważyła, że przedstawienie dobiegło końca. Oprzytomniała, dopiero kiedy usłyszała wiwat widzów. Wszyscy byli zachwyceni występem. Tylko ona jedna wydawała się markotna i smutna.

– Jak było? – nagle podbiegli do niej słowik i konik polny. – Czemu jesteś smutna? Nie podobało ci się?

– Podobało. I to bardzo – odparła.

– Więc czemu się smucisz? Czy coś się stało? – pytali dalej.

– Po prostu... – zaczęła. – Ja tak nie umiem. Nigdy nie będę umieć. Nie mam żadnych talentów. Jestem do niczego – rozplakała się i skierowała w stronę domu. Słyszała za sobą kroki konika polnego i słowika. Nic jednak nie mówili. Wiedzieli, że myszka w tej chwili musi pobyc chwilę sama.

Nagle gdzieś z oddali usłyszała okrzyk. Spojrzała w tamtą stronę.

– Kto upiekł takie pyszności? – to był głos pana zająca.

Zatrzymała się.

– Myszka je piekła – odkrzyknął konik polny.

– Są obłędne! – pan zając podbiegł do myszki. – Myszek, masz ogromny talent!

Ku zdziwieniu myszki, kolejne zwierzęta zaczęły podbiegać do niej i z zachwytem gratulować pysznych wypieków.

– Chciałabym umieć tak piec!

– Jesteś taka utalentowana!

– To najlepsze ciasteczka, jakie w życiu jadłem!

Te i inne okrzyki rozbrzmiewały wokół myszki. Nie dowierzała.

– Ja i talent? Ale jak to?

– Słyszysz, myszko? Wszyscy są zachwyceni ciasteczkami! Nie musisz się smucić, że ja śpiewam, a konik polny tańczy. Ty pieczesz! Nikt na polanie nie potrafi upiec tak pysznych ciasteczek jak ty. To jest właśnie twój talent!

Pyszczyk myszki pojaśniał. Pojawił się na nim ogromny uśmiech.

O myszce, która odkryła swój talent

„Mam talent. Mam talent do pieczenia – myślała. Każdy z nas ma inny talent, a moim jest pieczenie ciasteczek”.

Była naprawdę szczęśliwa. W końcu odkryła swój talent. Mocno przytuliła przyjaciół. Stali tak w uścisku przez dłuższą chwilę. Wokół nich wciąż rozbrzmiewały kolejne pochwały i zachwyty dotyczące ciasteczek.

Solowy koncert trąbki

W pewnym mieście, na pewnej ulicy znajduje się duży i piękny budynek. To filharmonia. Jest tam scena, a na niej pełno instrumentów. Dużych i małych. Wydają one cudowne melodie. Wybrzmiewają tam wysokie i niskie nutki, które wirują po całej sali między instrumentami i gośćmi, którzy słuchają pięknych koncertów. Niedawno do rodziny instrumentów Filharmonii „Milutka” dołączyła trąbka. Była piękna i cała ze złota, jednak nigdy wcześniej nie grała ona żadnego koncertu. Pewnego dnia na próbie dyrygent, który kierował orkiestrą, oznajmił, że jeden z instrumentów zagra koncert solowy. Wszystkie instrumenty zaczęły wydawać dźwięki radości, licząc, że to właśnie one będą mogły same stanąć z dumą na scenie, zagrać przed publicznością i pochwalić się swoimi umiejętnościami oraz pięknym brzmieniem. Tylko jeden mały instrument siedział skulony i wydawał dźwięk niepewności – to trąbka.

– Wybrałem jeden instrument, który świetnie sprawdzi się w tym koncercie – oznajmił dyrygent.

– Kto to będzie? No kto? Może ja? Ja chcę! – przekomarzały się instrumenty, grając coraz głośniej.

– Nie, moi drodzy. Wszyscy jesteście wspaniali, jednak podjąłem decyzję, że będzie to nasza nowa koleżanka trąbka.

– Ale ja... jaaa... jaaak to? – zadrżała niepewnie trąbka.

– Ten koncert jest idealny dla ciebie – uśmiechnął się do niej dyrygent.

Trąbka spuściła głowę, gdyż wiedziała, że to wielki zaszczyt, bała się jednak, ponieważ nigdy wcześniej nie występowała sama przed publicznością. Próby odbywały się codziennie, a trąbka dzielnie ćwiczyła swój utwór. Z każdą próbą szło coraz lepiej, ale im bliżej było koncertu, tym bardziej trąbka się denerwowała, gdyż nie

wiedziała, jak to jest grać przed tyloma gośćmi i stać na ogromnej scenie. Wszystkie instrumenty śmiały się, grały i żartowały – niczym się nie denerwowały. Trąbka jednak ciągle siedziała z boku i bardzo się bała.

– Patrzcie na trąbkę, czego ona w ogóle się boi? – chichotały skrzypce.

– Przecież to nic strasznego – odpowiedział kontrabas.

Trąbka, pomimo że była bardzo dobrze przygotowana do koncertu, dalej bardzo się bała i lęk przed nieznanym jej nie opuszczał. W końcu przyszedł wielki dzień koncertu. Instrumenty czekały wystrojone i uśmiechnięte. Altówki piękne jak księżniczki, flety dumnie wirowały swoimi wysokimi nutkami po całej sali, a wiolonczele dostojnie siedziały ze smyczkami w górze. Mała trąbka, która czekała w garderobie, nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Drżała i nie chciała wyjść na scenę – nie wiedziała, co ją czeka.

– Nie bój się, złociutka, wszystko będzie dobrze – powiedział czule stary puzon do trąbki.

– Ale, ale ... bardzo się boję – odpowiedziała smutno trąbka.

– To twój pierwszy koncert. Wiem, że się boisz i nie wiesz, co się stanie. Czy goście będą zadowoleni, czy się nie pomylisz. Wszystko jest ci obce. Nie wiesz, co cię czeka tam na scenie.

– To... to... to prawda, puzonie. Bardzo się boję. Nie wiem, co tam się wydarzy. Nigdy nie grałam koncertu przed tak wielką publicznością.

– Wiesz... kiedy ja grałem swój pierwszy koncert, również bardzo się bałem, ciągle płakałem. Każdy instrument bał się swojego pierwszego występu. Każdy z nas tak ma – to normalne. Nie wiemy, co nas czeka. Jednak strach ma tylko wielkie oczy i okazało się, że to nic strasznego. To wspaniałe uczucie być na scenie. Jesteś świetnym instrumentem, włożyłaś ciężką pracę, by się przygotować – wszyscy są z ciebie dumni. Dam ci radę, trąbko. Zapamiętaj, że cała orkiestra jest z tobą, dyrygent również. Masz wielu przyjaciół, którzy będą w tej chwili z tobą, jeśli będziesz się bardzo bała, popatrz na nas i zobaczysz, że nie jesteś sama! Jesteśmy przy tobie.

Po tej rozmowie trąbka uśmiechnęła się, chociaż dalej była zmartwiona, a lęk jej nie opuszczał. W końcu nadszedł czas koncertu. Trąbka wyszła na scenę. Dookoła niej rozbrzmiało mnóstwo światła. A na sali pełnej publiczności rozbrzmiały brawa. Bardzo się bała

Solowy koncert trąbki

i nie mogła rozpocząć swojego utworu. Przypomniała sobie jednak słowa puzonu. Odwróciła się i nie wierzyła własnym oczom. Cała orkiestra uśmiechała się do niej, a dyrygent zacisnął kciuki, mrugając do niej porozumiewawczo. Trąbka poczuła się niezwykle bezpiecznie i wiedziała, że mając obok siebie całą orkiestrową rodzinę, poradzi sobie ze strachem. Nigdy nie jesteśmy sami, zawsze obok siebie mamy osobę, która pomoże nam przezwyciężyć lęk. Najważniejsze, by tak jak trąbka powiedzieć ważnej dla nas osobie, co nas martwi, czego się boimy, a zawsze obok znajdzie się ktoś, kto nas wesprze. To, co jest dla nas nieznane, wydaje się straszne, jednak trąbka pamiętała słowa puzonu, że strach ma tylko wielkie oczy.

Koncert w filharmonii przebiegł wspaniale. Publiczność była zachwycona, a mała trąbka otrzymała tysiące owacji. Przez następne dni wszyscy jej gratulowali i chwalili. Trąbka była niezwykle szczęśliwa i w pełni gotowa na kolejne solowe koncerty.

Historia gadożera

W pewnym miejscu, które było znane tylko ptakom z rodziny jastrzębiowatych, została założona Szkoła Łowców. Rodzice swoich pociech stwierdzili, iż co prawda oni sami potrafią polować, jednak wymiana spostrzeżeń i umiejętności pomiędzy różnymi gatunkami może zwiększyć skuteczność łowów. Otworzona została pierwsza klasa, do której zostały zapisane: kania czarna, błotniak stawowy, trzmielojad, krogulec i gadożer.

Gadożer miał siedem lat. Jego ulubionym zajęciem było spędzanie czasu z kolegami na grze w piłkę nożną. Uwielbiał być bramkarzem, ponieważ najbardziej ekscytowało go bronienie strzałów, które wydawały się niemożliwe do obronienia. Lubił również grać w planszówki z rodziną. Skoro o rodzinie mowa, to oprócz mamy i taty gadożer miał także dwóch młodszych braci. Nie zawsze potrafili się porozumieć, najczęściej jednak – sami lub z pomocą rodziców – godzili się. Młodsze bracia podziwiali siłę gadożera, który pomimo swojego młodego wieku bardzo dobrze opanował sztukę szybownia, a także bronienia na bramce.

Gadożer chętnie chodził do szkoły. W pierwszym roku wychowawcą klasy został orzeł bielik, cieszący się szacunkiem dorosłych ptaków, a także sympatią tych młodszych. Nauka skupiała się na poznawaniu okolicznych krain geograficznych, meteorologii oraz taktyk łowieckich. Młode ptaki z zapałem i radością angażowały się w pracę na zajęciach, a także sumiennie odrabiali zadanie domowe.

Po kilku miesiącach nauki kania czarna, błotniak stawowy, trzmielojad, krogulec oraz gadożer otrzymali niesamowite wyróżnienie od orła bielika. Wychowawca oznajmił im, iż w nagrodę za wysiłek włożony w zdobywanie wiedzy i umiejętności, kolejny dzień spędzą na próbie samodzielnego upolowania zdobyczy. Nazajutrz

podekscytowane młode ptaki wraz z orłem wylądowały na drzewie. Nauczyciel wydał komendę, a uczniowie ruszyli na łowy. Pierwszy przyleciał błotniak stawowy, który pochwalił się upolowaną rybą, którą oczywiście z radości od razu spożył. Następnie przyleciała kania czarna, która wykazała się dużą cierpliwością, przylatując z drobną myszką nie w żołądku, lecz w dziobie. Po piętnastu minutach zjawiły się jednocześnie trzmielojad oraz krogulec – pierwszy ze strony północnej, drugi z południowej. Gdy tylko zauważyli siebie nawzajem na horyzoncie, całą swoją uwagę skupili na tym, by jak najszybciej dolecieć do orła, zapominając o swoich zdobyczach trzymany w szponach. Choć krogulec zameldował się u nauczyciela pierwszy, to ostatecznie obaj byli zadowoleni z udanego polowania. Po kolejnych dwudziestu minutach przyleciał smutny i zapłakany gadożer. Wszyscy byli zainteresowani jego gorszym samopoczuciem, a gdy po pewnym czasie uspokoił się, oznajmił, iż jego łowy były nieudane. Choć zarówno koledzy, jak i nauczyciel starali się wesprzeć młodego adepta lotów, to gadożer wrócił do domu załamany.

Podczas wspólnego rodzinnego obiadu nie odezwał się ani słowem. Ostatecznie, po namowie młodszych braci, opowiedział o poniesionej porażce. Kiedy gadożer skończył opowiadać, zapanowała cisza. Tata ptaka postanowił szybko ją przerwać, proponując synowi wspólny trening polowania. Ojciec i syn umówili się na półgodzinną naukę polowania każdego dnia. Codziennie spędzali wspólnie czas na rozmowach oraz łowach. Z początku było to łatwe i przyjemne, lecz po pewnym czasie gadożer był zmęczony treningami. Tata jednak motywował go oraz wspierał w realizacji jego marzenia – samodzielnego upolowania pierwszej zdobyczy.

Mniej więcej dwa tygodnie po pierwszych szkolnych łowach orzeł bielik zarządził kolejne polowanie. Gadożer czuł treść, ponieważ nadal pamiętał swoją porażkę. Jednak wiedział też, że włożył dużo wysiłku w poprawienie swoich umiejętności. Młode ptaki wyruszyły na łowy. Trzmielojad, krogulec, kania czarna i błotniak stawowy powrócili dosyć szybko ze swoimi zdobyczami. W pewnym momencie zauważyli, iż nie ma z nimi gadożera. Można było wyczuć oczekiwanie pomieszane z obawą, że i tym razem ich kolega powróci z niczym. To, co zobaczyli chwilę później, przerosło ich najśmielsze oczekiwania. Przed nimi ukazał się gadożer, który prezentował się jak

Historia gadożera

król przestworzy, a w swoich szponach trzymał coś dużo większego niż ich myszki czy ryby: ponadmetrowego węża!

Gdy wylądował, każdy uważnie przyglądał się zdobyczy swojego kompana. Nie brakło radosnych okrzyków oraz serdecznych gratulacji, a także słów uznania. Nauczyciel zapytał gadożera, czy jest z siebie zadowolony, na co ptak twierdząco pokiwał głową. Wychowawca wykorzystał okazję, by wskazać na determinację gadożera, który zamiast poddać się, postanowił częściej trenować. Tego dnia młody drapieżca sam się przekonał, iż dzięki wysiłkowi włożonemu w naukę polowania stał się prawdziwym łowcą.

O ptaszku, który miał problem z lataniem

Było lato. Słońce swoimi promieniami ogrzewało całą ziemię, a zapach ziół i kwiatów unosił się w powietrzu. Ptaszek o imieniu Elemelek ćwiczył latanie. Umiał pięknie i głośno śpiewać, ale miał problem z lataniem. Nie przeszkadzało mu to w szybkim przemieszczaniu się, ponieważ potrafił dobrze skakać. We wrześniu miał wrócić do szkoły i wiedział, że do tego czasu musi się tego nauczyć, bo jak co roku odbędą się zawody klasowe w lataniu. Cały czas ćwiczył, ale wciąż mu to nie wychodziło. Elemelek nie chciał wracać do szkoły, bo nie miał tam przyjaciół i czuł się samotny.

Przyszedł wrzesień. Elemelek był bardzo zdenerwowany. Pamiętał, jak przed wakacjami ptaszki się z niego śmiały, że nie potrafi latać. Nie rozumiał, dlaczego wciąż mu się nie udaje, przecież tak bardzo się starał. Bał się dnia zawodów, bo wiedział, że fruwa zbyt wolno. Codziennie w ptasiej szkole były lekcje latania. Elemelek bardzo nie lubił tych zajęć, bo wtedy wszystkie ptaszki śmiały się z niego. Jednak chcąc jak najlepiej przygotować się do zawodów, codziennie ćwiczył. W końcu nadszedł dzień zawodów. Obowiązkiem każdego ptaszka było wziąć w nich udział. Elemelek bardzo się denerwował, ponieważ wiedział, że wciąż nie potrafi wystarczająco dobrze latać. Nie miał jednak wyjścia i musiał stanąć do zawodów. Jego drużynie szło bardzo dobrze, cały czas była na prowadzeniu. Ostatni miał frunąć Elemelek. Jeden z ptaszków krzyknął:

– Elemelku, mamy dużą przewagę, na pewno wygramy, tylko nie zepsuj tego!

Elemelek machał skrzydełkami z całych sił, jednak na nic się to zdało. Po kolei wyprzedzały go kolejne ptaszki. Drużyna Elemelka zajęła ostatnie miejsce. Koledzy byli bardzo zdenerwowani na Elemelka i krzyczeli:

- To wszystko twoja wina!
- Miałeś ćwiczyć przez wakacje, pewnie ci się nie chciało i znowu przez ciebie przegraliśmy!
- Jesteś do niczego!

Elemelek był bardzo smutny. Nie radził sobie tak dobrze jak inne ptaki, zawsze był ostatni. Mimo tego, że ciężko ćwiczył każdego dnia, jego skrzydełka były mniejsze niż skrzydła pozostałych ptaków. Dlatego właśnie nie potrafił tak szybko nimi machać.

Elemelek nie chciał chodzić do szkoły. Nie miał tam przyjaciół, bo nikt nie chciał się bawić z najłabiej latającym ptaszkiem w szkole. Pani nauczycielka, pragnąc, by klasa zaakceptowała Elemelka, proponowała, by po szkole ptaszki razem pofruwały. Koledzy z klasy nie byli zachwyceni tym pomysłem, ale postanowili zaprosić Elemelka na wspólne latanie.

Po południu wszyscy wesoło szybowali nad łąkami, podziwiali widoki, lecieli raz wyżej, raz niżej, robili różne figury w powietrzu. Ptaszki prezentowały swoją idealną technikę latania. Elemelek fruwał na samym końcu i wciąż starał się dogonić kolegów. W końcu, gdy mieli już wracać, postanowili przelecieć nad ogromnym jeziorem. Wtem zerwał się silny wiatr i zaczął padać deszcz. W mgnieniu oka zmoczył piórka wszystkich ptaszków. Musiały one wylądować na małej wysepce na środku jeziora. Wszystkie ptaszki były przestraszone i zmarznięte. Nikt nie wiedział, co dalej robić. Nagle Elemelek zobaczył, że z wysepki można się dostać na brzeg, skacząc po gałązkach, które pływają po jeziorze. Powiedział:

– Zobaczcie, po jeziorze pływają gałązki, możemy po nich skakać i dostaniemy się na brzeg.

Jeden z kolegów odpowiedział:

– Elemelku, my nie potrafimy skakać, potrafimy latać.

Ale Elemelek potrafił skakać. Gdy latanie mu nie wychodziło, a musiał szybko gdzieś się dostać, to skakał. Gałązki były śliskie, ale Elemelek postanowił spróbować, przecież ktoś musiał wezwać pomoc. Niebo pokryte było czarnymi chmurami i nie zapowiadało się, że szybko przestanie padać. W dodatku za chwilę miało zrobić się ciemno. Elemelek więc bardzo ostrożnie skakał na każdą gałązkę czy kamyczek. Nagle poślizgnął się. Ptaszki krzyknęły:

– Elemelku, uważaj, już niedaleko, dasz radę, wierzymy w ciebie!

O ptaszku, który miał problem z lataniem

Elemelek zachęcony tymi słowami dotarł do brzegu i szybko pobiegł wezwać pomoc. Na ratunek ruszyły duże ptaki, po paru godzinach wszyscy szczęśliwie wygrzewali się w swoich ptasich domach. Następnego dnia w ptasiej szkole nauczycielka pochwaliła Elemelka, mówiąc, że jest bardzo odważny. Pozostałe ptaszki z klasy były mu bardzo wdzięczne. Wołały:

- Elemelku, jak ty potrafisz szybko skakać!
- I jaki jesteś odważny!
- Przepraszamy, że śmialiśmy się z ciebie!

Ptaszki zgodnie stwierdziły, że nie każdy musi dobrze latać. W końcu dzięki temu, że Elemelek potrafił skakać, zostali uratowani. Elemelek był szczęśliwy i przestał bać się chodzić do szkoły, w której nareszcie znalazł przyjaciół. Nauczycielka stwierdziła, że od tej pory w szkole będą organizowane też inne zawody, nie tylko w lataniu, tak, by każdy ptaszek, mały czy duży, miał okazję pokazać, co potrafi robić najlepiej.

O rudziku, który bał się latać

W wielkim i pięknym lesie było mnóstwo dostojnych drzew, jedno z nich zamieszkiwały duże i z pozoru drapieżne ptaki, a inne małe i zwinne ptaszki. Wśród nich żył również mały rudzik, który bardzo bał się latać. Ptaszek uważał, że jest na to zdecydowanie za mały. Rudzik ze względu na swój niewielki rozmiar nauczył się zwinnie poruszać na swoich łapkach po konarach i gałęziach drzew. Niestety, strasznie się tego wstydził i nierzadko wychodził ze swojego gniazdka bardzo wcześnie, gdy inne ptaki jeszcze spały. Rudzik bardzo chciał być taki jak one. Często rozmyślał o tym, jak to jest latać i czuć wiatr pod skrzydłami. Marzył również o tym, by mieć kogoś, z kim będzie mógł się bawić. Był jednak zbyt nieśmiały i bał się, że inni wyśmieją go, że nie potrafi latać.

Pewnego mroźnego ranka, gdy inne ptaki jeszcze spały, rudzik wyszedł ze swojego gniazda i postanowił poszukać jedzenia, nie wiedział jednak o tym, że ktoś też już nie śpi. Gdy zwinnie przeskakiwał z gałęzi na gałąź, nagle usiadł obok niego duży dzięcioł. Rudzik aż podskoczył z przerażenia. Wtedy dzięcioł powiedział:

– Witaj, rudziku, obserwuję cię już od jakiegoś czasu i chciałbym...

Rudzik poczuł, jak robi się jeszcze mniejszy, i szybko zaczął uciekać na swoich małych nóżkach, podczas gdy dzięcioł nie zdążył jeszcze dokończyć zdania. Następnego ranka spotkanie wyglądało podobnie. Mały rudzik bardzo się martwił, że inne ptaki dowiedzą się o jego tajemnicy i będą się z niego wyśmiewać. Postanowił zatem nie wychodzić już ze swojego gniazda, by nie spotkać dzięcioła i innych ptaków. Jednak mijały dni i noce, a rudzik robił się coraz bardziej głodny. Jego nieśmiałość i lęk przed odrzuceniem były tak wielkie, że nadal nie wychodził ze swojego gniazda. Aż pewnego ranka ktoś zastukał do niego. Ptaszek zadrżał ze strachu, otworzył

O rudziku, który bał się latać

oczy i zobaczył dzięcioła i inne ptaki, małe i duże. Poczuł się bardzo nieswojo, jednak nikt się z niego nie śmiał. Dzięcioł odezwał się jako pierwszy:

– Drogi rudziku, nasze pierwsze i drugie spotkanie nie wyszło najlepiej, dlatego też wspólnie z innymi ptakami postanowiliśmy do ciebie przyjść. Wszyscy ogromnie chcemy ci pomóc.

Ptaszek otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Jego serduszko biło tak mocno, że słyszał je nawet w swojej główce. Pomyślał jednak o ciepłym spojrzeniu otaczających go ptaków i zrozumiał, że nie przyszedł do niego, aby się z niego wyśmiewać. Zaskoczony tym wszystkim rudzik zapytał:

– Jak chcecie mi pomóc?

– Każdy z nas był kiedyś mały i bał się latać, ale wtedy przychodziły nam z pomocą większe i starsze ptaki – odpowiedział dzięcioł. – Wszyscy chętnie udzielimy ci kilku lekcji, abyś mógł poczuć się pewniej i swobodniej podczas latania.

Rudzik był nieco zawstydzony, ale w sercu zrobiło mu się jakoś dziwnie miło. Z wielkim entuzjazmem przyjął zaoferowaną pomoc. Mały ptaszek zrozumiał, że wiedza i doświadczenie jego starszych przyjaciół jest skarbem nieocenionym. Rudzik przestał spoglądać na duże ptaki ze strachem i poczuciem niższości, wiedział już, że wszystko jest w zasięgu jego możliwości. Dzięki temu nie tylko nauczył się latać, ale także przełamał swoją nieśmiałość i pojął, jak ważne jest czerpanie wiedzy od innych. Wkrótce latał po wielkim lesie w poszukiwaniu nowych przyjaciół, przygód i wrażeń.

Klatka pozbawiona marzeń

W pewnej małej miejscowości położonej wśród pól, łąk i lasów mieszkał ze swoją rodziną mały, kolorowy i figlarny ptaszek o imieniu Bob. Jego rodzina składała się z wiecznie zabieganej mamy, zapracowanego taty oraz opryskliwego starszego brata. Wszyscy razem mieszkali w małym szarym domku nieopodal dużej fabryki szkła, będącej głównym punktem na mapie miasta. Z pokoju ptaszka rozpościerał się niewyobrażalnie smutny widok na olbrzymie kominy i unoszący się z nich szary, kłębiasty dym zasłaniający drzewa w oddali. W pobliżu domu ptaszka nie było niczego, co Bob mógłby nazwać miejscem przyjaznym i wesołym. Jego skromny domek, niewyróżniający się niczym spośród innych w tym mieście, położony był w najciemniejszej i najbardziej szarej części Smutowa, bo tak właśnie nazywało się to miasto.

Pewnego dnia, gdy ptaszek Bob wracał ze szkoły, przypadkowo znalazł się na wąskiej, cuchnącej ulicy, która zawsze wydawała mu się straszna i niebezpieczna. Tym razem było jednak inaczej i Bob znalazł swój mały raj. Przechodząc wzdłuż ulicy Gwiazdzistej, ptaszek dostrzegł niewielki kolorowy fragment plakatu, wyglądający spod obskurnej reklamy fabryki szkła. Bob nieśmiało podleciał do kolorowego kawałka papieru i pewnym, zamaszystym ruchem skrzydełka odstąpił małych rozmiarów szyld, na którym dumnie widniał duży napis: BIBLIOTEKA. W oczach ptaszka pojawił się dawno zapomniany blask. Bob wcześniej nie wiedział o istnieniu takiego miejsca w Smutowie.

Ptaszek z ekscytacją, niepewnością i nadzieją otworzył stare, żelazne drzwi, które stawiały wyraźny opór. Domyślił się, że nie jest to najchętniej odwiedzane przez mieszkańców miejsce. Po przekroczeniu progu biblioteki ptaszek poczuł ciepły, wilgotny, a zarazem

dziwnie przyjemny zapach niezbyt świeżego powietrza. Bob na chwilę zatrzymał się jak wryty. Jego oczom ukazał się najpiękniejszy widok, jaki mógł sobie wyobrazić – półki pełne kolorowych, mniejszych i większych książek. Do tej pory, poza nudnymi podręcznikami, miał wyłącznie jedną, prawdziwie piękną lekturę, którą przed laty znalazł w przydrożnym śmietniku. Teraz stało przed nim piękno w czystej postaci. Ptaszek nie był w stanie wyrazić uczuć i emocji, które towarzyszyły mu w tamtej chwili. Podniosły i wyjątkowy moment przerwał cichy, ale jednocześnie zachrypnięty głos dochodzący z głębi pomieszczenia:

– Skup ziaren jest po drugiej stronie ulicy – powiedział sędziwy kogut.

– Ale ja nie szukam skupu – nieśmiało oznajmił Bob.

– W takim razie czego tu szukasz, młodzieńcze? – zapytał bibliotekarz ze słyszalnym w głosie zdziwieniem.

Rozmowy toczyły się godzinami, Bob stracił poczucie czasu i pierwszy raz od bardzo dawna czuł szczęście. Stary kogut był nie mniej podekscytowany, zaaferowany i zdziwiony, że ktoś odwiedził jego kochaną, zapomnianą przez mieszkańców bibliotekę. Ten z pozoru zwykły dzień okazał się dla Boba wielkim wydarzeniem. Od tego momentu wszystko się zmieniło i mały, smutny ptaszek obudził w sobie marzenia, coś, o czym wszyscy w Smutowie dawno zapomnieli. Świat książek, bogaty w nieprawdopodobne historie i odważnych bohaterów, pozwolił poczuć ptaszkowi wolność i rozbudził chęć życia, a nie wyłącznie istnienia.

Ptaszek Bob udawał się w każdej wolnej chwili do biblioteki, aby chłonąć coraz to nowe pozycje z półek pokrytych grubą warstwą kurzu oraz prowadzić niezwykle ciekawe rozmowy ze starym bibliotekarzem. Po jednej z lektur mały ptaszek zapragnął zostać astronautą i polecieć na księżyc, który znał wyłącznie z podręczników. Był świadomy nierealności tego marzenia, ale jednocześnie chętnie zanurzał się w swoich fantazjach. Z całych sił chciał je zrealizować. Pewnego dnia w szkole podczas nudnej lekcji nauczycielka zapytała uczniów, kim chcieliby zostać w przyszłości. Przekrój odpowiedzi nie był tak duży, jak mógł spodziewać się ptaszek. Koledzy z klasy z dumą, przekonaniem, a nawet pewnością siebie udzielali odpowiedzi niewyobrażalnych dla Boba. Gdy przyszła kolej na ptaszka, z ekscytacją i zachwytem podzielił się z całą klasą swoim marzeniem:

– Ja chcę zostać KOSMONAUTĄ! – prawie wykrzyczał rozpromieniony ptaszek.

W klasie na moment zapadła cisza, wszyscy uczniowie wraz z nauczycielką popatrzyli na siebie, a następnie wybuchnęli gromkim śmiechem. W jednej chwili cały świat małego Boba runął w gruzach. Tego dnia ptaszek nie poszedł do biblioteki. Ponownie, jak za dawnych czasów, Bob ze spuszczoną głową wrócił do swojego smutnego pokoju, chowając wszystkie książki pod łóżko, tak jak chował niegdyś swoje marzenia. Ptaszek przez pewien czas był obiektem żartów wśród swoich rówieśników, którzy perfidnie, z nienawiścią w głosie wykrzykiwali na korytarzu: „kosmowariat!”. Mały Bob nie był przygotowany na przeżywanie tak okropnych chwil z powodu swoich marzeń. W domu rodzinnym również nie znalazł zrozumienia, a jego mama powiedziała:

– Zejdź na ziemię! Świat nie wygląda tak, jak w twoich książkach. Jesteś tylko zwykłym ptakiem.

Słowa te mocno utkwily Bobowi w głowie, a powracały do niego jakby echem. Mały ptaszek postanowił zwrócić wypożyczone książki do biblioteki. Stary kogut nie krył zdziwienia, smutku oraz zaniepokojenia tym, jak wyglądał i zachowywał się wcześniej radosny i rozpromieniony Bob. Ptaszek zdecydował się opowiedzieć staremu bibliotekarzowi o tym, co spotkało go podczas jednej z lekcji. Kogut słuchał z zaciekawieniem i niedowierzaniem, a w jego oczach można było dostrzec złość i smutek. Właśnie wtedy stary kogut wyciągnął wielkie albumy, mapy i plakaty. Mały ptaszek dostrzegł na zdjęciach młodego jeszcze bibliotekarza pośród szczytów gór, pięknych budowli oraz szczęśliwych towarzyszy. Obrazy były dla ptaszka do tego stopnia niesamowite, że przecierał oczy, aby upewnić się, że wszystko, co widzi, nie jest wyłącznie snem lub przywidzeniem. Stary kogut opowiedział historię chwytającą za serce.

Przed ptaszkiem stał teraz niepozorny bibliotekarz, który przed laty zdobywał szczyty swojej własnej wyobraźni. Bob nie mógł oderwać wzroku od koguta i wydusić z siebie ani słowa. Opowieści bibliotekarza wydawały się Bobowi bardziej niewiarygodne niż niejeden czytana przez niego powieść fantastyczna.

Bob zrozumiał, że miasto to klatka, a jego mieszkańcy stracili to, co najpiękniejsze – marzenia, pozwalające wzbijać się ponad to, co widoczne i osiągalne. Żywym przykładem dla Boba był stary

Klatka pozbawiona marzeń

kogut, który nie pozwolił innym zniszczyć w sobie marzeń i chęci dążenia do ich realizacji, przez co robił w życiu rzeczy, o których mieszkańcom Smutowa nawet się nie śniło. Ten dzień stał się dla Boba końcem pewnego etapu w jego życiu i początkiem nowego, pełnego radości, miłości i nadziei.

Do teraz w Smutowie wspomina się małego Boba, który jako jedyny uciekł z sidła przyziemności, przez co spełniał swoje cele i postanowienia, a młodzieńcze marzenie o podróży na księżyc stało się wyłącznie ułamkiem tego, co udało mu się osiągnąć. Ptaszek Bob swoją postawą, determinacją i chęcią zmian rozniecił iskrę w społeczeństwie Smutowa, w którym pojawił się uśmiech i ponownie zagościły marzenia.

Sikorka Basia, która bała się latać

Sikorka Basia mieszkała w pięknym, kolorowym domku wraz z innymi sikorkami: tatą Heniem, mamą Ziutką i braciszkiem Tomkiem. Basia miała swój pokój, a w nim wiele lalek, książek, klocków, misiów i zdjęć szybujących orłów. Basia była bardzo szczęśliwym ptaszkiem. Po szkole spotykała się ze swoimi koleżankami, całymi popołudniami bawiły się lalkami i opowiadały różne historie z nimi związane. Rodzice byli dumni z córki, ponieważ bardzo dobrze się uczyła, była grzeczna i chętnie pomagała wszystkim swoim przyjaciołom. Ale niestety sikorka Basia zmagала się z jedną ogromną trudnością – miała lęk wysokości i przez to bardzo, ale to bardzo bała się latać. Tata, mama i braciszek chętnie fruwali na długich dystansach. Basia za każdym razem, gdy na nich patrzyła, roniła łezkę, bo też by tak chciała.

– Bo co to za ptak, który boi się latać? Nikomu niepotrzebny – mówiła Basia sama do siebie, widząc całą rodzinę szybującą w powietrzu.

Sikorka Basia za każdym razem, gdy miała unieść się nad ziemię, odczuwała ogromny strach i zamykała oczy, by niczego widzieć. Tata i mama sikorka tłumaczyli Basi, że latanie to nic strasznego i nie musi się niczego bać, przecież wszystkie ptaki są stworzone do latania. Przekonywali Basię, że zrozumie, jakie to przyjemne, gdy uniesie się w górę i zobaczy piękne widoki, wszystkie budynki malutkie jak pudełka zapalek, a rzeczki i stawy jak kałuże. Tata mówił Basi, że zobaczy z góry swój domek, szkołę, park, ulubioną lodziarnię i swoich przyjaciół. Basia po tych tłumaczeniach upierała się, że nie chce nikogo widzieć z góry i dobrze jej, gdy widzi wszystkich blisko siebie. Za każdym razem, gdy rodzina albo przyjaciele wspominali Basi o lataniu, szybko biegła do swojego pokoju, zamykała drzwi i cichutko płakała. Na ścianach pokoju były powieszone fotografie

ptaszków szybujących w chmurach, Basia, patrząc na nie, mówiła do siebie:

– O, jakbym chciała fruwać jak one! Dlaczego boję się latać?

Pewnego dnia, gdy sikorka Basia wracała ze szkoły, zobaczyła, że jej mama zderzyła się w locie z innym ptakiem i utknęła wśród gałęzi na szczycie potężnego drzewa. Nie mogła się ruszyć i prosiła córkę o pomoc.

– Baaasiu! Baaaasiu! Pomóż mi! Przyleć tu do mnie – wołała.

– Mamo, nie bój się, wszystko będzie dobrze – uspokajała ją Basia.

– Basiu, jeśli boisz się do mnie przylecieć, to wezwij kogoś na pomoc – mówiła mama.

– Mamo, chcę ci pomóc! Dam radę! – krzyczała Basia.

Po chwili Basia stanęła nieruchomo i zaczęła głośno oddychać. Bardzo bała się latać, ale wiedziała, że tylko w taki sposób pomoże swojej mamie. Zamknęła oczy. Powoli, bardzo powoli, ruszyła skrzydełkami i poszybowała prosto na szczyt drzewa, na którym znajdowała się jej mama.

– Córeczko, zrobiłaś to! Przyleciałaś mi na pomoc – mówiła radośnie mama.

– Mamo, czy wszystko z tobą w porządku? Boli cię coś? – pytała Basia.

– Boli mnie tylko prawe skrzydełko i nie mogę sama latać, musisz mnie chwycić i przetransportować na dół – oznajmiła mama.

– Dobrze, mamu, złap się mnie i razem pofruniemy – tłumaczyła Basia.

Mała sikorka pomogła mamie wydostać się z gałęzi ogromnego drzewa i sfrunęła razem z nią na ziemię. Szybko zawołała tatę i pojechali wspólnie do lekarza. Okazało się, że mama zwichnęła skrzydełko i będzie chodziła przez tydzień w specjalnym bandażu. Musi ograniczać ruchy chorym skrzydełkiem i smarować je masłem, aż do momentu, gdy odzyska pełną sprawność. Po powrocie do domu mama bardzo dziękowała Basi za to, że przybyła jej z pomocą.

– Córeczko, pamiętasz, jak szybko przyleciałaś do mnie, gdy byłam na drzewie? – pytała mama.

– Tak, mamusi. Bardzo bałam się latać, ale wiedziałam, że chcę ci pomóc i tylko o tym myślałam – powiedziała Basia.

Sikorka Basia, która bała się latać

– Basiu, czy to znaczy, że już pokonałaś swój lęk wysokości? – zapytała mama.

– Chyba... chyba tak! W sumie to nie było nic strasznego i nawet mi się spodobało – oznajmiła z uśmiechem Basia.

– Widzisz, strach ma wielkie oczy! W życiu można wielu rzeczy spróbować, żeby dowiedzieć się, czy naprawdę się tego boimy, a także oswajać swoje lęki – odpowiedziała mama, przytulając córkę.

Po dniu pełnym wrażeń wszyscy byli bardzo zmęczeni i marzyli tylko o tym, by położyć się spać. Gdy Basia pożegnała się ze swoimi lalkami, ptaszkami wiszącymi na ścianie i leżała już w swoim łóżku, przyszedł do niej tata.

– Córeczko, kocham cię! Jestem z ciebie bardzo dumny. Cieszę się, że pomogłaś dziś mamie, a przy okazji pokonałaś swój strach przed lataniem – powiedział tata.

– Tato, ja też się bardzo cieszę! Nareszcie mogę się poczuć stu-procentowym ptakiem, bo już nie boję się latać! – odpowiedziała z uśmiechem Basia.

Kocie przyjęcie

Kotek Filemon popijał mleczko w swoim pokoju, zastanawiając się, jaki strój założy na zbliżający się koci bal.

„Najlepiej będzie, jak założę coś, w czym wtopię się w tłum, i nikt mnie nie zauważy” – myślał sobie.

Przyjaciele zachęcali go, by założył coś olśniewającego. Filemon jednak nie chciał tego robić, od zawsze był bardzo nieśmiały i brakowało mu wiary w siebie.

Problemy Filemona zaczęły się, gdy zaczął chodzić do kocięgo przedszkola. Przerazało go, że musi opuścić swój przytulny domek, swoich rodziców i starszą siostrę Tosię i rozpocząć swoją edukacyjną przygodę. Dobrze mu było w domu, wszystko tam było znane i miłe. Filemon przepłakał pierwsze pół roku w kocim przedszkolu. Nie chciał rozstawać się z rodzicami, stresowały go zajęcia, bał się głośno odzywać i głównie bawił się tam sam w kącie sali swoją ulubioną przytulanką, którą codziennie zabierał z domu. Z upływem czasu polubił się z kotkiem Felkiem i kotką Stasią, którzy pewnego dnia zaprosili go do wspólnej zabawy. Od tego momentu było mu troszkę rażniej, ale dalej wolał siedzieć cichutko i nie mógł się doczekać powrotu do domu.

Zbliżał się karnawał i pewnego dnia nauczycielka Filemona ogłosiła, że wkrótce odbędzie się koci bal. Każdemu uczniowi wyznała jakieś zadanie, za które był odpowiedzialny. Filemon i jego przyjaciele mieli przygotować dekoracje. Dodatkowo nauczycielka powiedziała, że każdy może się przebrać i przyjść w niecodziennym stroju. Wszystkie kotki były bardzo szczęśliwe i z ekscytacją zaczęły odliczać dni do zabawy! Wszystkie, z wyjątkiem Filemona...

– Nie pójde na ten głupi bal! – krzyczał, kiedy jego mama pytała, co chciałby założyć na tę okazję.

– Ależ Filemonie, na pewno będziesz się świetnie bawił! Będą twoi najlepsi przyjaciele, będzie dużo zabaw – przekonywała go mama.

– Mamo, ja nie chcę tam iść! Będę się tylko tym wszystkim stresować... – płakał Filemon.

Przyjaciele Filemona nie kryli zachwyty i radości z powodu imprezy:

– Ja przebieram się za Królową Śnieżkę – opowiadała Stasia.

– A ja będę strażakiem, a ty Filemonie? – dopytywał radośnie Felek.

– Nie chcę być na tym balu, bardzo się boję ... – smucił się Filemon.

– Przecież wiesz, że nie zostawimy cię samego na tym przyjęciu! Pójdziemy tam razem i będziemy się świetnie bawić. Może warto chociaż spróbować... Bardzo cię lubimy i chcemy, byś był tam razem z nami. Pomożemy ci wybrać strój – zachęcali go cały czas przyjaciele.

– Ale obiecacie mi, że jak będzie niefajnie, to szybko wrócimy do domu ...

– No przecież mówimy, że cię nie zostawimy!

Kilka dni później Filemon wybrał się z mamą i przyjaciółmi na zakupy. Kotek nieśmiało przyglądał się strojom na wystawach. Odwiedzili kilka sklepów, ale nic zbytnio im się nie spodobało. Przed nimi był ostatni sklep. Filemon już z daleka wypatrzył pewien kostium. Początkowo onieśmielony zapytał:

– Czy mogę przymierzyć ten?

– To kostium superbohatera, myślę, że będzie pasował do ciebie! – powiedziała wesół pani sprzedawczyni i podała mu wieszak z ubraniami.

Filemon wszedł do przymierzalni i założył kostium. Długo przeglądał się w lustrze. Nigdy wcześniej nie czuł się jak superbohater, był przecież tylko małym przestraszonym kotkiem. W przebraniu poczuł, że koci bal może się okazać naprawdę dobrym pomysłem.

„Przecież to ode mnie zależy, czy będę się dobrze bawił. Nigdy nie byłem superbohaterem, ale mógłbym nim zostać. To może być naprawdę dobra zabawa. Będą ze mną moi najlepsi przyjaciele...”, zaczął zastanawiać się w myślach.

– Filemonie, wyjdź i pokaż nam się, bardzo chcemy cię zobaczyć – niecierpliwił się przyjaciele i mama.

Kocie przyjęcie

Kotek wyszedł z przymierzalni i wszyscy byli zachwyceni. Każdy komplementował Filemona i jego przebranie. Kotek z uśmiechem na ustach wyszedł ze sklepu z zakupionym strojem.

Nadszedł dzień balu. To wydarzenie odmieniło życie naszego kotka. Filemon przyszedł na nie ze swoimi przyjaciółmi przebrany za superbohatera. To właśnie wtedy po raz pierwszy poczuł, że ma prawdziwą moc. Pomimo tego, że nadal odczuwał lęk, wiedział, że da sobie radę, bo jest bardzo dzielny. Po tej myśli Filemon poczuł przyływ wielkiej odwagi i uświadomił sobie, że to właśnie od niego wiele zależy. Uwierzył, że może nie jest najodważniejszy, największy czy najsprytniejszy, ale ma wielką moc. I z tą mocą ruszył w świat!

Skrzydła Marcelinki

Dawno temu w wyjątkowo pięknym ogrodzie mieszkała Marcelinka – urocza gąsienica. Nie widzicie jej? Ach, tak... Marcelinka zamieszkała teraz w kokonie. O tam, na gałęzi drzewa. Wkrótce przejdzie ogromną przemianę. Tak! Stanie się przepięknym motylem. Rodzice Marcelinki z niecierpliwością oczekują tego dnia, gdyż chcą pokazać jej wszystkie ciekawe zakątki ogrodu.

Wreszcie nadchodzi ten długo wyczekiwany dzień i Marcelinka opuszcza kokon. Rozpościera swoje piękne, czerwone skrzydła, na których mienia się w słońcu niebieskie i żółte wzory. Jest szczęśliwa. Wraz z rodzicami spędza miły wieczór w ich kwiatowym domku, gdzie snują plany na najbliższe dni. Już nazajutrz mają zamiar wyruszyć na wycieczkę po najbliższej okolicy. Marcelinka cieszy się, ale odczuwa też pewne obawy i nie może zasnąć. Postanawia jednak odpocząć przed jutrzejszą wyprawą.

Rankiem wszyscy są już gotowi, lecz pojawia się pewien problem. Marcelinka zmieniała zdanie i nie chce nigdzie lecieć. Chce zostać w domu i tam się pobawić. Rodzice motylka nie potrafią zrozumieć, co się stało. Dziewczynka poczuła ogromny brak pewności siebie przed lotem. Czuła, że wzbicie się w powietrze będzie dla niej bardzo trudnym zadaniem. Poprzedniego dnia próbowała poćwiczyć latanie. Widziała jednak, że obserwują ją mali mieszkańcy ogrodu, przez co czuła się zawstydzona. Stała na skraju gałęzi i nie miała odwagi unieść się w powietrze. Czuła strach – nie chciała zrobić sobie krzywdy, ale również obawiała się, że gdy jej się nie powiedzie, inni ją wyśmieją. Nie wierzyła w swoje możliwości. Rodzice rozmawiali z Marcelinką o jej obawach, w żaden sposób nie zmuszali jej do latania. Bez przerwy wspierali ją i cierpliwie czekali na to, aż dziewczynka pokona swój lęk i zechce poćwiczyć wraz z nimi swoje umiejętności.

Pewnego ranka w ogrodzie odbywało się cotygodniowe zebranie mieszkańców, na które wybrali się także rodzice Marcelinki. Ona w tym czasie została w domu. Właśnie zaczęła malować obraz, kiedy nagle usłyszała krzyk:

– Pomocy! Ratunku!

Wyrzała przez okno i daleko w dole ujrzała małą muszkę leżącą w trawie. Zastanawiała się przez chwilę, co zrobić, postanowiła w końcu dowiedzieć się, co się stało, i nieśmiało zawołała do muszki:

– Czy wszystko w porządku?!

Muszka roztrzęsionym głosem odpowiedziała, że nie jest zbyt dobrze. Jej skrzydełko zaplątało się w trawie, przez co utknęła i nie może sama się wydostać. W dodatku bardzo się spieszy, ponieważ leciała do swojej chorej babci, żeby dać jej obiad i pomóc jej w niektórych czynnościach domowych. Wołanie o pomoc nie przynosiło żadnych skutków, ponieważ pobliscy mieszkańcy byli na zebraniu. Wkrótce miało zacząć się ściemniać, więc nikt z nich nie zdążyłby wrócić na czas, aby pomóc muszce. Marcelinka nie wiedziała, co robić. Ciągle myślała o tym, że boi się latać, ale bardzo chciała pomóc. Muszka była coraz bardziej niespokojna. Marcelinka zdecydowała, że koniecznie musi dostać się na dół. Zebrała w sobie wszystkie siły i wyszła przed dom. W myślach ciągle powtarzała sobie, że wszystko na pewno się uda. Wspięła się na brzeg kwiatu, wzięła głęboki oddech, uniosła skrzydła i wzbiła się w powietrze. Szczęśliwa, głośno zaczęła się śmiać i nie kryła swojej radości.

– Udało się! Umiem latać!

Szybko opanowała swoją wielką radość i poleciała do muszki. Ta przedstawiła się:

– Jestem muszka Rozalka.

Marcelinka pomogła uwolnić jej skrzydełko z trawy. Niestety, gdy wcześniej Rozalka próbowała się wydostać, lekko podrapała skrzydełko, a w dodatku miała pełny koszyk jedzenia i z trudem unosiła się w powietrze. Marcelinka szybko poszybowała do domku po apteczkę i opatrzyła skrzydełko muszki. Zaproponowała, że z chęcią pomoże jej dotrzeć na miejsce. Muszka z radością zgodziła się na to. Marcelinka zostawiła w domu wiadomość dla rodziców, o tym, co się wydarzyło, aby nie martwili się o nią. Wraz z muszką wyruszyły w podróż do babci – muszka z zaufaniem usiadła na plecach motylka, a ten pewnie złapał koszyk w swoje łapki. Ponieważ Marcelinka nie znała

Skrzydła Marcelinki

okolicy, Rozalka udzielała jej wskazówek, w jakim kierunku powinna lecieć. Bezpiecznie dotarły na miejsce, jeszcze zanim zrobiło się ciemno. Rozalka była bardzo wdzięczna nowej koleżance za pomoc.

Przełamując swój lęk, Marcelinka wiele zyskała. Przede wszystkim wielką przyjaźń z Rozalką, z którą od tej pory wspólnie spędzały czas i przeżywały wiele ciekawych przygód. Dzięki temu, że uwierzyła w swoje możliwości i stała się bardziej pewna siebie, może zdobywać wiele nowych doświadczeń, lepiej poznawać świat i przełamywać kolejne lęki. Wszyscy byli dumni z Marcelinki i z jej bohaterskiej postawy. Rodzina Rozalki okazywała też ogromną wdzięczność za pomoc udzieloną muszce. Rodziny dziewczynek bardzo się ze sobą zbliżyły, a Marcelinka chętnie przemierza kolejne odległości na swoich skrzydełkach. Jest dumna z każdej swojej przemiany i z każdego kroku, jaki podejmuje, aby być szczęśliwą i pewną siebie.

Śpiewający Tymek

Pewnego pięknego poranka w Lesioniwach żółwik Tymek szykował się do szkoły. Bardzo się cieszył, gdyż dzisiaj były zajęcia muzyczne u pani słowikowej. Po obfitym śniadaniu z rodziną Tymon czym prędzej poszedł po języka Szymona i przyjaciele razem udali się do szkoły. Lekcje przyrody i matematyki szybko minęły. Wreszcie nadszedł czas na upragnione przez Tymka zajęcia muzyczne. Już przygotowywał swój instrument, gdy nagle pani słowikowa przemówiła do klasy:

– Dzień dobry, moje leśne słodziaki – zaczęła radośnie nauczycielka. – Dzisiaj instrumenty nie będą wam potrzebne, ponieważ zajmujemy się śpiewaniem.

Na tę wiadomość wszystkie zwierzątka się ucieszyły. Tylko Tymek był trochę zaskoczony, bo jeszcze nigdy nie śpiewał. Pani słowikowa, nie tracąc czasu, natychmiast rozdała tekst piosenki. Cała klasa zaczęła go głośno czytać. Następnie pani słowikowa zaśpiewała sama, po czym poprosiła, aby klasa spróbowała zaśpiewać razem z nią.

– Wspaniale wam poszło. Jestem zachwycona. Mam nadzieję, że tak samo rewelacyjnie wyjdą wasze solowe popisy za tydzień na lekcji.

Gdy tylko Tymek to usłyszał, serce zabiło mu mocniej. Bardzo się przeraził na myśl o wystąpieniu na środku przed panią słowikową, a do tego jeszcze przed całą klasą.

– A może ktoś chciałby spróbować teraz? – zapytała nauczycielka, rozglądając się po sali – Hmm... może Tymek?

Na dźwięk swojego imienia Tymek z przerażeniem spojrzał na panią słowikową. Już chciał się schować do skorupy, gdy nagle zadzwonił dzwonek na przerwę.

– Ufff... – odetchnął z ulgą żółwik.

– No cóż – powiedziała pani słowikowa – szkoda, że nie zdążyliśmy, ale, proszę, przygotujcie się na przyszły tydzień. Do widzenia!

– Do widzenia! – odpowiedziała chórem klasa.

W drodze do domu, widząc smutnego Tymka, Szymon zagadał do przyjaciela:

– Tymon, co się stało? Co cię tak martwi?

– Ehh – westchnął Tymek. – Bo wiesz... chodzi o ten śpiew. Nigdy nie śpiewałem sam przed publicznością i bardzo się stresuję tą sytuacją.

Jeżyk z uwagą słuchał przyjaciela. Po chwili namysłu rzekł:

– Spokojnie. Nie panikuj. Słuchaj, ja też się denerwuję przed występami, dlatego wtedy mam przy sobie mojego gniotka-stresorka – po chwili Szymon dodał – Wiesz co? Mam pomysł. Przyjdź do mnie jutro na podwieczorek. Może i dla ciebie coś wymyślimy. Zgoda?

– Dobrze, dobrze. Z chęcią przyjdę – odparł żółwik.

– Świetnie. Jesteśmy umówieni. Tylko weź tekst. To do jutra! – pożegnał się pod domem Szymon.

– Do jutra! – odpowiedział Tymon, odmachując koledze.

Tymek wrócił do domu już trochę mniej zdenerwowany. Przy kolacji opowiedział o całym zdarzeniu rodzicom. Wysłuchawszy syna, mama powiedziała:

– Oj, nie martw się, Tymuś. Jestem przekonana, że jeżeli będziesz systematycznie ćwiczył śpiew, na przykład przed lustrem, to żaden stres cię nie pokona, bo będziesz bardzo dobrze przygotowany.

– Dokładnie – odezwał się tata.

– Chyba macie rację – przytaknął żółwik i uśmiechnął się do rodziców.

– Dobrze, a teraz pora iść spać, bo już późno. Dobranoc, Tymuś – rzekła mama.

– Dobranoc, kochani – odparł Tymek, szybko uściskał rodziców i poszedł spać.

Następnego dnia Tymon nie mógł doczekać się podwieczorka u Szymka. Postanowił również wziąć sobie do serca rady rodziców, dlatego nie marnując czasu, zaczął czytać tekst piosenki, by dokładnie się z nim zapoznać. Potem zjadł obiad, posprzątał pokój i czym prędzej udał się do Szymona. Jeżyk bardzo się ucieszył na widok oczekiwanego gościa. Chłopcy zjedli w salonie przepyszny jabłecznik. Po słodkiej uczcie przyjaciele poszli do pokoju. Ku zdziwieniu

Tymka, czekała tam na niego już cała klasa wraz z panią słowikową – a raczej pluszaki Szymka z narysowanymi na kartce twarzami kolegów i nauczycielki.

– Jejku, Szymon, coś ty wymyślił? – powiedział zdumiony Tymon.

– Musisz ćwiczyć radzenie sobie z tremą. Myślę, że może to pomoże ci rozładować napięcie. Mi się tak właśnie udało. To co, gotowy?

– Gotowy. Zaczynamy – odpowiedział z pewnością siebie Tymek.

Żółwik czym prędzej wziął tekst i stanął na środku pokoju. Już chciał zacząć, lecz gdy spojrzał na twarze publiczności, nogi zaczęły mu się trząść. Chciał się schować do skorupy, ale język, widząc zachowanie przyjaciela, zaczął do niego mówić:

– Tymek, spokojnie. Spójrz na mnie – i uśmiechnął się.

Na widok szczerego przyjacielskiego uśmiechu żółwik uspokoił się. Po chwili zamknął oczy, wziął głęboki wdech i zaczął śpiewać pierwsze słowa piosenki. Trochę drżał mu głos, jednak z czasem nabierał pewności siebie. Tymek tak się rozśpiewał, że Szymon z chęcią dołączył do niego. I tak chłopcy razem ćwiczyli przed piątkowym występem, śmiejąc się i wygłupiając przy tym do wieczora. Wróciwszy do domu, Tymek od razu pochwalił się rodzicom, jak długo ćwiczył u Szymona.

– Ooo! To cudownie synku! – ucieszyła się mama.

– Może po kolacji nam zaśpiewasz? – zaproponował tata.

– Pewnie – odparł bez namysłu Tymek i poszedł przygotować się do kolacji.

Po posiłku żółwia rodzina wygodnie rozsiadła się w salonie przy kominku. Tymon postanowił skorzystać z okazji i zaprezentować się rodzicom. Stanął więc na środku pokoju z tekstem piosenki. Nogi delikatnie zadrżały. Tymon, lekko spanikowany, rozejrzał się po salonie. Znów chciał się schować do skorupy, ale napotkał uśmiechniętą twarz mamy. To wystarczyło. Tymek się uspokoił, zamknął oczy, wziął głęboki wdech i rozpoczął swój solowy występ. Kiedy żółwik skończył śpiewać, rozległy się gromkie brawa i pochwały rodziców. Takie zakończenie dnia bardzo się podobało młodemu artyście. Tymon nie osiadł na laurach. Przez cały tydzień wytrwale ćwiczył raz dziennie wieczorem. Nadszedł piątek. Tymon od rana był bardzo ożywiony. Wychodząc do szkoły, usłyszał od rodziców:

– Powodzenia, Tymuś! Trzymamy kciuki!

Śpiewający Tymek

Lekcje w szkole minęły żółwikowi bardzo szybko. W końcu przyszła pora na długo wyczekiwane zajęcia muzyczne u pani słowikowej. Podczas lekcji Tymek z uwagą słuchał, jak śpiewają jego koledzy z klasy. Kiedy śpiewał Szymon, zauważył, że faktycznie jego przyjaciel ma przy sobie swojego gniotka–stresorka.

– To teraz zapraszam Tymona – zabrzmiał głos pani słowikowej.

Usłyszawszy swoje imię, żółwik z lekką treścią wyszedł na środek klasy. Stojąc, postanowił spojrzeć w kierunku przyjaciela. I to był dobry pomysł, gdyż jego uśmiech sprawił, że Tymon jak zwykle zamknął oczy, wziął głęboki wdech i zaczął śpiewać. Po udanym występie Szymon natychmiast podbiegł do Tymka, by mu pogratulować.

– Jejku, Tymek! Super ci poszło! Dałeś radę! – wykrzyknął język.

– Dzięki – odpowiedział z uśmiechem Tymek. – Wiesz... chyba odkryłem swój sposób na treść. Wystarczy, że wśród widowni znajdzie się bliska mi osoba, uśmiechająca się do mnie. Wtedy, zamykając oczy, uświadamiam sobie, że jest ktoś, kto mnie wspiera i wierzy w moje możliwości. To z kolei sprawia, że ja również zaczynam wierzyć, że mi się uda. Biorę więc głęboki wdech i pokazuję, na co mnie stać.

– No widzisz! Doskonale. I o to chodzi. Cieszę się, że i tobie udało się znaleźć sposób na treść.

– Ja też się cieszę – powiedział Tymek. A po chwili dodał – Skoro nam tak dobrze poszło śpiewanie dzisiaj, to może wypadłoby ten fakt jakoś uczcić? Co powiesz na podwieczorek u mnie?

– Z największą przyjemnością – odparł z uśmiechem Szymon i obaj ruszyli w stronę domu Tymona, by wspólnie świętować sukces.

Skrzydelka wróżek

Dawno temu, gdzieś w Magicznym Lesie, gdzie noga ludzka nie sta-
nęła, jest wyjątkowe miejsce. Żyją w nim najróżniejsze istoty. Skrzaty
ze szpiczastymi czapeczkami oraz motylki ze złotymi skrzydłami
i pyłkiem, który zostawiają na kwiatach, aby rosły szybciej i były
piękne i kolorowe. W małych domkach w koronach drzew mieszkają
z kolei malutkie wróżki. Każda z nich jest inna. Jedna ma kolorowe
skrzydełka, druga potrafi rozmawiać ze ślimakami, pszczołami i bie-
dronkami, a jeszcze inna pięknie maluje płatki kwiatów.

W jednym z domków na wysokiej brzozie mieszka Klara wraz
z rodzicami. Klara chodzi do pierwszej klasy szkoły wróżek. W klasie
jest jedną z najlepszych uczennic, z czego jej rodzice są bardzo dumni.
Mała wróżka jednak nie lubi chodzić do szkoły i często rano płacze,
ponieważ jej koledzy i koleżanki z klasy bardzo jej dokuczają. Klara,
kiedy przyszła na świat, nie wyglądała jak inne wróżki. Urodziła się
bez skrzydełek, co wyróżnia ją na tle rówieśników. Z tego właśnie
powodu dzieci się z niej śmieją i wytykają ją palcami. Nikt nie chciał
się przyjaźnić z Klarą, co sprawiało ogromną przykrość małej wróżce.
Dzieci bawiły się razem na przerwach, spotykały po lekcjach, a Klara
każdą chwilę spędzała samotnie.

W szkole wróżek zbliża się bardzo ważny dzień dla wszystkich
uczniów. W pierwszy dzień wiosny mają odbyć się różne gry, zaba-
wy oraz konkurs talentów, podczas którego będą się prezentowały
wszystkie wróżki ze szkoły. Klara była tym faktem bardzo poruszona.
Bała się występów publicznych, a dodatkowo sądziła, że nie posiada
żadnego talentu, którym mogłaby się pochwalić przed uczniami
i nauczycielami.

Nadszedł pierwszy dzień wiosny. W szkole wróżek nie ma dziś
zajęć, a wszyscy uczniowie zbierają się na sali gimnastycznej, gdzie

ma się odbyć konkurs talentów. Klara tego dnia bardzo nie chciała pójść do szkoły, jednak rodzice namówili małą wróżkę do wzięcia udziału w tym wydarzeniu. Kiedy każdy uczeń zaprezentował swój talent, nadszedł czas na Klarę. Wróżka wyszła na środek i zamilkła. Koledzy z klasy zaczęli się z niej śmiać. Nagle do wróżki podeszła jakaś dziewczynka, której Klara nie знаła, i zapytała, co najbardziej lubi robić. Klara odpowiedziała, że lubi śpiewać, kiedy jest sama w domu, tak żeby jej nikt nie słyszał. Klaudia, bo tak nazywała się wróżka, która podeszła do Klary, chwyciła ją za rękę i zaczęła śpiewać ulubioną piosenkę wszystkich wróżek. Po chwili Klara także zaczęła śpiewać i okazało się, że głos małej wróżki jest najpiękniejszym głosem w całym Magicznym Lesie. Uczniowie oraz nauczyciele byli pod ogromnym wrażeniem, że ta mała wróżka bez skrzydełek potrafi tak pięknie śpiewać. Po skończonej piosence wszyscy na widowni wstali i zaczęli głośno klaskać. Klara nie spodziewała się, że jej głos się spodoba i zdobędzie pierwsze miejsce w konkursie talentów. Od tamtej pory Klara bierze udział we wszystkich apelach oraz jeździ na konkursy piosenki do pobliskich szkół, by reprezentować tę, do której chodzi. Znalazła także prawdziwą przyjaciółkę na dobre i na złe – Klaudię.

Mimo że wróżka ta była inna od pozostałych wróżek z Magicznego Lasu, to nie zamknęła się w sobie. Zdobyła prawdziwą przyjaciółkę i odkryła, że ma rzadki talent, który podoba się wszystkim.

**Wspólnie
odpoczywamy**

Między grządkami lawendy

Lena cały wieczór nie mogła sobie znaleźć miejsca. Krążyła między swoim pokojem a pokojem rodziców, kuchnią i pokojem brata. Nie wiedziała, czego szuka. Zwyczajnie nie mogła usiedzieć na miejscu, czuła, że musi coś zrobić, zmienić otoczenie, po prostu się przejść. Coś nie pozwalało jej się zatrzymać, odpocząć. W końcu mama wyrwała Lenę z tego pędu i powiedziała:

– Jutro masz występ, widzę, że się denerwujesz.

– Wcale nie myślę o występie, ale nie mogę się uspokoić. Nie mogę sobie znaleźć miejsca, moje myśli krążą jak szalone. Nie wiem, może masz rację. Tylko co zrobić, żeby się uspokoić?

– Usiądź na chwilę, zaraz przyniosę ci lawendową herbatę. Na pewno poczujesz się lepiej.

Mama zniknęła w kuchni, by niebawem wrócić z herbatą. Nad kubkiem unosiła się para. Mama kazała Lenie usiąść w fotelu i zająć wygodną pozycję.

– Zamknij oczy i powąchaj – powiedziała.

Lena opuściła powieki i poczuła bardzo przyjemny zapach.

– Teraz możesz się napić.

Lena spróbowała herbaty. Smak był równie przyjemny jak zapach.

– Poczuj, jak ciepło herbaty przyjemnie rozlewa się po twoim ciele – poradziła mama i zaczęła mówić przyciszonym głosem – podążaj za smakiem i zapachem. Zaprowadzą cię do bardzo przyjemnego miejsca, zaufaj im. Gdzie dotarłaś? Prosto na lawendowe pole. Zatrzymaj się. Poddaj się zapachowi, kolorom i dźwiękom. Słońce co prawda chce się już chować za horyzontem, ale wciąż przyjemnie przygrzewa. Wystaw twarz do słońca i złap jego ostatnie promienie. Poczuj, jak przyjemnie łaskoczą twoją twarz. A teraz rozejrzyj się wokół. Wszędzie, gdzie nie spojrzysz, fiolet grządek lawendy

Między grządkami lawendy

przeplata się z zielenią ścieżek. Fioletowy, zielony, fioletowy, zielony, fioletowy i zielony... Raz jedno, raz drugie, ułożone w idealnym porządku. Jest tak spokojnie. Tylko wiatr delikatnie wprawia w ruch łodygi lawendy, a jej zapach staje się jeszcze bardziej intensywny. Weź głęboki wdech. Czujesz? Lawenda kołysze się powoli w prawo, potem w lewo, w prawo, znowu w lewo i cichutko szumi. Teraz ty wpraw lawendę w ruch, przejdź się wolnym krokiem ścieżką pomiędzy grządkami. Niech łodygi delikatnie muskają twoje nogi. Przyjemne, prawda? Spójrz, schroniło się tu kilka gatunków ptaków. Ty też możesz się tu schronić. Posłuchaj ich wesołego śpiewu. Jest im tu naprawdę przyjemnie. A tobie? Jest pięknie, cicho i spokojnie. Twoje ciało też jest spokojne. Delikatnie masują je kwiaty lawendy. Słońce prawie zaszło, pora wracać... Chyba właśnie wypitaś ostatni tyk herbaty. Jak się teraz czujesz? – zapytała mama.

– Mamo, jak ty to zrobiłaś? Jestem taka spokojna – odpowiedziała Lena. – Mogłabym tak siedzieć i siedzieć. Już nic nie każe mi być w ciągłym ruchu.

– Zapamiętaj to uczucie i przypomnij je sobie, jeśli znowu poczujesz, że coś cię niepokoi. Stres czasem atakuje znienacka, ale można go łatwo pokonać. Podążaj wtedy wzdłuż ścieżki między fioletowymi grządkami lawendy. Weź głęboki wdech i wyobraź sobie, że czujesz jej kojący zapach.

